



650

1441

1913

ks. abc. 1913

<http://rcin.org.pl>



Alc III Scena VI

J.P. Werowski / w roli Paruwiedesa w Melodramacie t. n.

Szlachetny Gwston z ławuchami na szczy! eha! eha! eha!

Tom V. Prve Dramatyczne J. S. Jasinskiego

PRACE

DRAMMATYCZNE

J. S. JASIŃSKIEGO.

Za pozwoleniem Cenzury Rządowej.

PRACE

DRAMMATYCZNE

TLUMACZONE I ORYGINALNE

J. S. JASIŃSKIEGO

A. D. T. W.

TOM V.

WARSZAWA.

1838.

**INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA**

00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 71

Tel. 28-68-63

<http://rcin.org.pl>

SPIS SZTUK

W TOMIE PIĄTYM ZAWARTYCH.

1. *Landara* czyli *Gościnność*, Komedjo-
Opera w jednym akcie 5
 2. *Paraviédes*, *Bankier hiszpański*, Melo-
drama we trzech aktach 63
 3. *Emma* czyli *Dwie siostry*, Komedja we
dwóch aktach 161
 4. *Maż wdowy*, Komedja w jednym
akcie 223
-



22963/5

LANDARA

CZYLI

GOŚCINNOŚĆ

KOMEDJO-OPERA

W JEDNYM AKCIE

z francuskiego

pp. Picard i Mazères.

TEUMACZONA.



GRANA PIERWSZY RAZ

NA TEATRZE ROZMAITOSCI

dnia 22 Kwietnia 1835 r.

O S O B Y.

GAUTIER, właściciel i wójt	JP. <i>Baraniecki.</i>
PANI GAUTIER, jego żona	JPi. <i>Kostecka.</i>
ZOFJA, ich córka	JPa. <i>Rostkowska.</i>
SAINT-MARCEL	JP. <i>Jastrzębski.</i>
DUCREUX, chórzysta	JP. <i>Jasiński.</i>
STANGRET	JP. <i>Śmiałkowski.</i>
ZUZANNA) domownicy	JPa. <i>Baraniecka.</i>
JÓZEF) p. Gautier	JP. <i>Buliński.</i>
Ogrodnik.	

(*Scena w mieszkaniu P. Gautier*)

LANDARA

CZYLI

G O Ś C I N N O Ś Ć.

(Scena przedstawia wejście do ogrodu, w głębi mur, i brama, przy wejściu dzwonek, z jednej strony pawilon, z drugiej stodoła, mająca dymnik nade drzwiami i blok ze sznurem)

SCENA I.

DUCREUX, STANGRET, ZUZANNA, JÓZEF.

STANGRET. (przy bramie dzwoniąc)

Ah, jaka burza! jaki czas niegodziwy!

ZUZANNA. (za sceną)

Już idę, już idę.

S T A N G R E T.

Spodziewam się, że nam pozwolą zatrzymać się tu chwilę.

DUCREUX. (*za sceną*)

Daléj, stangret, ruszaj! czemuż nie jedziemy?

STANGRET.

Jakto, czemu? a deszcz!

DUCREUX.

Na mnie nie pada.

STANGRET.

Czy tu pogłuchli, czy nie chcą otworzyć?

ZUZANNA. (*przebiega scenę, trzymając chustkę nad głową*)

Czekajże, już idę! biedny stangret musiał cały przemoknąć! (*otwiera bramę*)

STANGRET. (*wchodząc*)

Dziękuję ci ładne dziewczę, czybym ja tu nie mógł gdzie ukryć mojej landary i moich koni?

ZUZANNA.

O parę kroków ztąd na lewo jest wozownia.

STANGRET.

To dobrze. (*wracając niby do powozu*)
No, wysiądź pan, czy i pana mam ukryć w wozowni?

DUCREUX.

To bardzo nieprzyjemnie! czyby mi niemożna dać parasola?

ZUZANNA.

Właśnie go Józef niesie.

JÓZEF. (*niosąc parasol*)

Oto jest, proszę. Ah, co za burza! a dzisiaj rano było tak pięknie.

Z U Z A N N A.

Nawet przed chwilą. Tak od razu padać zaczęło. Prosimy pana, niech pan wysiądzie.

DUCREUX. (*wchodząc na scenę pod parasolem*)

Ah dziękuję wam moi przyjaciele, dziękuję (*śpiewa*)

Być w podróży roskosz tkliwa.

Nigdy wzrok mój nie spoczywa.

J Ó Z E F.

Człowiek mający powóz na deszcz wystawiony! Biegnę uwiadomić mojego pana! przyjmie cię zapewne dobrze. (*odchodzi*)

D U C R U E X

Co! dobrze mię przyjmie? (*śpiewa*)

Wszystko tu ma miłą postać,

Jestem tu, i chcę tu zostać.

Z U Z A N N A.

Niezawodnie, ponieważ pan przybywasz powozem.

DUCREUX. (*n. s.*)

Dobrze więc uczyniłem jadąc landarą, a tem bardziej, że oszczędził kosztu na dyliżans.

ZUZANNA. (*do stangreta*)

Tędy mój przyjacielu, na lewo; tam, tam, bądź cierpliwy, przysię obiad dla ciebie i dla twoich biednych koni.

DUCREUX.

A więc moja mała, nie odmówisz nam gościnności? (*śpiewa*)

Tu na twoim dworze,

Czekamy w pokorze.

ZUZANNA.

Gościnności! Ah to dziwna! pan wymówiłeś ten sam wyraz, który nasz pan ma zawsze na języku. Oh mój Boże! dla pana, pani i panny, to będzie najprzyjemniej nie odmówić gościnności.

DUCREUX. (*śpiewa*)

Ah brawo Ducreux, jakżeś szczęśliwy!

Tyś jest prawdziwy fortuny brat...

Pan, pani i panna! to całe towarzystwo.

ZUZANNA.

I dobre towarzystwo, ręczę za to: pan Gautier jest zacny człowiek. Pójdę do niego. (*odchodzi*)

SCENA II.

DUCREUX, STANGRET

DUCREUX.

Ah, pan Gautier... zdaje się, że Gautier się nazywa.

S T A N G R E T.

Te pocziwe konie! jak mię to cieszy, że z takim apetytem zajadają. (*staje pod parasolem przy Ducreux*)

D U C R E U X.

Uważajże mój kochany! zabierasz cały parasol, ramię mi zupełnie zmokło. (*śpiewa*)

Jeżeli pan stać będziesz na boku...

S T A N G R E T.

Ah, mój panie, za pozwoleniem, ja ci dałem miejsce w landarze, możesz i ty mi dać pod twoim parasolem. Ale zatrzymaj go sobie, bo już deszcz nie pada.

D U C R E U X.

Prawda! (*śpiewa*)

Burza minęła sroga!

Pogodny dzień powstaje.

Ty, mój kochany, choćbyś się zaziębił nic nie ryzykujesz, i możesz dla tego powozić; staugret zakatarzony może być bardzo dobrym staugretem! gdy tymczasem śpiewak kiedy się zaziębi, artysta...

S T A N G R E T.

Pan jesteś artystą?

D E C R E U X.

Tak jest, artystą lirycznym. Nazywają mię Ducreux, Chryzostom Ducreux... Idę do Pa-

ryża, wzywają mię bowiem, abym wystąpił jako pierwszy chórzysta w teatrze królewskim Odeon.

S T A N G R E T.

Odeon?

D U C R E U X.

Tak jest, drugi teatr francuzki, gdzie śpiewają tylko włoską muzykę z textem niemieckim.

S T A N G R E T.

Ale pan coś niebardzo spiesznie jedzie do Paryża?

D U C R E U X.

Po kilka godzin tylko jadę na dzień. Wyjechałem z Montpellier przed dwoma miesiącami, będę w Paryżu za dni 15. Do kata! tobie wszystko mogę powiedzieć mój przyjacielu! (*śpiewa*)

Mój Cynna mi pozostał, jak przyjaciel stały. Tak, jak mię widzisz od 15 lat jestem aktorem, a od 14 wszędzie jestem gwizdany.

S T A N G R E T.

Jakto! więc przez rok byłeś pan z oklaskami przyjmowany?

D U C R E U X.

Nie, bron Boze, i przez ten rok byłbym gwizdany, alem był chory.

S T A N G R E T.

To musi być okropnie, słysząc tak zawsze gwizdzących.

D U C R E U X.

Pierwszy raz, to prawda — ale przyzwyczajamy się do tego... zwłaszcza, kiedy kto jest filozofem. Muszę ci wyznać, że mam odrazę do oklasków; słyszałem je tylko raz w mojem życiu, i nie mało cierpień przez nie doznałem. Posłuchaj tego zdarzenia. Zaangażowałem się właśnie wtenczas do 25go okręgu teatralnego na tenorzystę w rolach Laisa i Martin. Przybywam do Carcassonne, występuję pierwszy raz, gwizdzą; dobrze; do Pezenas, gwizdzą; i to dobrze; do Narbonne, gwizdzą; bardzo dobrze! W całej Langwedocji, gdzie przyjadę, gwizdzą; to przedziwnie. Tam jak i gdzieindziej nie potrzebowałem się uczyć moich rol, bo mi nigdy dokończyć nie pozwolono. Nakoniec przybywam do stolicy tego departamentu..

S T A N G R E T.

Ah! to pan! słyszałem coś o tém...

D U C R E U X.

Tak mój przyjacielu, ja to, ja. Słyszałeś o tém, to mię cieszy. Przeszłej Niedzieli, zapowiadają Hilarego, pierwszy raz ukazałem się

w tej roli, ubieram się, śliczny ubiór, pożyczę płaszcz od jednego z pokazujących sztuki na linie... Wchodzę na scenę: oklaski! okropnie! już zaczynam tracić głowę. Śpiewam, znowu oklaski! jestem w rozpacz. Ale bo też śpiewałem doskonale, i w istocie musiałem dobrze śpiewać, bo słyszałem w kulissach aktora grającego tenże sam rodzaj rol, jak kaszłał z zazdrości. Pierwszy akt odpaliliśmy. Z rozpacz wydzieram' sobie włosy z głowy za kulissami. Drugi akt się zaczyna, ja nie chcę wyjść na scenę, oznajmiam to dyrektorowi, który mi grozi, znieważa; publiczność od kwadransa czekając na mnie, szemrze, tupie nogami, nakoniec woła mię z krzykiem: wypychają mię na scenę; idę przed suflera, kłaniam się trzy razy podług zwyczaju i mówię: »Prześwietna i łaskawa publiczności! Pewny zwykłego przyjęcia, jakim publiczność zawsze oceniała mój słaby talent, w nadziei, że nie dokończę mojej roli, nauczyłem się tylko pierwszego aktu.« Na te słowa wszyscy oburzeni zarzucili mię pieczonemi jabłkami; ze wszech stron pac, puc, paf, wyglądałem jak ogromny komput z jabłek,

Prefekt obecny na tém widowisku, kazał mi przyjść do siebie nazajutrz.

S T A N G R E T.

Widziałeś pan prefekta?

D U R C R E U X.

Widziałem, pan St. Marcel, piękny mężczyzna; gdym przyszedł do niego, powiedział mi z całą łagodnością, jaka charakteryzuje urzędników: «Mój przyjacielu, musisz wyjechać z miasta.» Ale, JW. prefekcie... »Nie ma żadnego ale; to jest jedyny sposób uniknięcia nieprzyjemności, jaka zagraża jutrzejszemu widowisku.« Zdaje się, że chciano mię wybić, mówiono, że już nie każą piec jabłek. Cóż miałem czynić? zabrawszy mój tłómaczek, dzisiaj pieszo opuściłem tę przeklętą prefekturę, kiedym ciebie napotkał o ćwierć mili...

S T A N G R E T.

Przyznaj pan, to szczęście, że jestem tak dobry, i pozwoliłem ci wsiąść do landary.

D U C R E U X.

Za to kupiłem ci śniadanie.

S T A N G R E T.

To prawda, ale gdyby mój pan o tém wiedział...

D U C R E U X.

I nie będzie wiedział! nie mówiłeś mi, że masz wieczorem po niego przyjechać ztąd o dwie mile?

S T A N G R E T.

Tak jest, tam pojedę po niego.

D U C R E U X.

A więc odpoczniemy i znowu dalej w drogę!

S T A N G R E T.

Mam ochotę przespać się w landarze.

D U C R E U X.

To ci zaszkodzić nie może.

S T A N G R E T

To prawda, ale właściciel tego domu będzie myślał, że ta landara jest twoją.

D U C R E U X.

Cóż z tego? I to ci zaszkodzić nie może, a tém bardzioj mnie, dla czegóżbym ja nie mógł mieć powozu? Alboż to nie ma bogatych Lordów i bogatych miledy w Paryżu, ja gdybym był kobietą, za nic na świecie nie zmieniłbym naszego stanu.

SPIEW NRO 1.

Zdobna w wdzięki, okazałość,

Chociaz tylko pożyczane,

Zda się niecić, karać śmiałość,

Lecz jej dobre serce znane.

Lord ulegnie jej powadze,
Sypie złoto i kadzidło,
Któż mógł mniemać, by tę władzę
Mieć mogło róż i bielidło.

*

Gwineami jak Lord błysnie,
Choć się serce trochę wzdraga,
Jednak prośba się przecisnie,
Gdy go złota nęci waga.

Teatralnej wnet bogini,
Surowość i opór znika,
Dar przyjmie serca władczyni,
I nagradza śmiertelnika.

S T A N G R E T.

Zostawiam pana, za godzinę przyjdę po niego. (*odchodzi*)

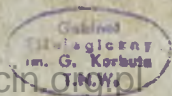
SCENA III.

DUCREUX. (*sam*)

Tak, za godzinę, albo za dwie... albo może jutro! Jeżeli pan Gautier jest dobry człowiek, mam wielką ochotę zostać u niego. Ale wyjeżdżając udam się prosto do Paryża, wyrzekam się prowincji. Na co mam się puszczać na pierw-

Tom V.

2



sze role, kiedy mogę sobie spokojnie prowadzić mój skromny zawód w teatrze.

SCENA IV.

DUCREUX, ZUZANNA, GAUTIER.

Z U Z A N N A.

Mój pan zaraz przyjdzie.

D U C R E U X.

Tem lepiej; powiedzże mi, czem jest twój pan?

Z U Z A N N A.

Wójtem. Lubi bardzo przyjmować podróżnych, szczególnie przyjeżdżających powozami.

D U C R E U X.

I ja także przyjechałem powozem.

Z U Z A N N A.

I jadących do Paryża.

D U C R E U X.

Tam właśnie jadę.

Z U Z A N N A.

Bo widzisz pan, on ma nadzieję, że tacy panowie będą mu użyteczni.

D U C R E U X.

Oh, ja mu będę bardzo użytecznym, i tego właśnie pragnę. (n. s.) Nie ma niebezpieczeń-

stwa! Wójt, to nie tak wielka rzecz; mówiąc do niego, używać będę wyrazów nadętych, frazesów wyszukanych, a przy postaci uczonej, pewno mię weźmie za jaką znakomitą osobę, nakoniec zobaczymy...

Z U Z A N N A.

Otóż i on...

GAUTIER. (*przybiegając z Józefem*)

Podróżny w landarze... człowiek do rzeczy, bardzo do rzeczy! (*wita p. Ducreux*) Panie...

D U C R E U X.

Panie... (*n. s.*) to jakaś dobra dusza, udawajmy incognito. (*śpiewa*)

Szczęście, radość, niech ci służy...

G A U T I E R.

Mimo nieprzyjemności, jakich pan doznałeś z przyczyny strasznej ulewy, która dzięki niebu już ustała...

D U C R E U X.

Tak jest, właśnie co ustała, (*śpiewa*)

Wesołe słońce świeci.

G A U T I E R.

Pozwól mi pan cieszyć się z tego wypadku, ponieważ jemu winienem, iż go w domu przyjmuję.

D U C R E U X.

Mości panie, ta burza jest mi bardzo przyjemna, bo mi podała sposobność zaznajomie-

nia się z panem Gautier, wójtem tej wsi... Gdzież są inne domy? bo ja tylko pański widziałem...

G A U T I E R.

O kilka kroków za pagórkiem. Mój zamek stoi sam przy drodze, i jeżeli się wydarzają podobne przypadki, mam się za szczęśliwego, że mogę ofiarować gościnność...

D U C R E U X.

Powiedziano mi to właśnie, pan nie umiesz zamykać ani serca, ani drzwi swojego domu, dlatych, którzy pragną w niem znaleźć schronienie. (*n. s.*) Idzie bardzo dobrze, aby tylko tak dalej było...

G A U T I E R.

Ah panie! Gościnność jest dla mnie powinnością; ja tak lubię mieć podróżnych u siebie!..

D U C R E U X.

I aby ci ich nie zabrakło, gotów jesteś pan pokopać doły, a nawet kolej przed twojemi drzwiami, jak ten komik w Powozach Przewróconych, ten komik, którego tak doskonale gra Martin. Bardzo przyjemny człowiek ten pan Martin, ma piękny głos, piękną żonę, wyborny sposób obejścia! Czy pan znasz pana Martin?

G A U T I E R.

Nie, nie znam. (*n. s.*) Dla czego się o to pyta?

D U C R E U X.

Ja, często z nim spotykałem się w Perpignan, w Lugdunie, w Marsylji, w Strazburgu; był to mój przyjaciel, i często mawiałem do niego, patrząc na jego żonę... (*śpiewa*).

Od dawnego to już czasu.

Zwiedzając różne krainy...

GAUTIER. (*n. s.*)

Oryginalny człowiek. (*głośno*) Mogęz wiedzieć, z kim mam zaszczyt mówić.

D U C R E U X.

Bezwątpienia, możesz pan wiedzieć; (*n. s.*) trzeba użyć frazesów... (*głośno*) Tak, mości panie, dowiesz się, bo mu to wyjawię... Ah, ja nie jestem z tych tajemniczych i bezimiennych osób, które dopiero przy rozwiązaniu poznać dają swoje nazwisko, kiedy już wszyscy od dawna o niem wiedzą, ja zaraz przy wejściu na scenę je wymieniałam. Nazywam się Ducreux; aż dotąd zajmowałem dosyć piękne miejsce na prowincji; ale dzięki wrodzonym zdolnościom, z których nigdy się nie chępię, dzięki nabytym talentom, z których wolno mi jest pochlubić się, zostałem wezwany do Paryża.

2*

G A U T I E R.

Do Paryża?... pan jedziesz do Paryża!...

D U C R E U X.

Tak... do Paryża; ale nie kabata, nie intryga
mię wzywa, tylko zdolność znana wszędzie. Ja-
dę sobie zwolna, dzisiaj rano wyszedłszy na
drogę, wsiałem w moją landarę... kiedy zna-
gła okropna burza (*śpiewa*)

Tu chmura z chmurą się szamocze,

A księżyc traci światło swoje...

ta burza przymusiła mię, wiesz pan resztę.

G A U T I E R.

A to miejsce, które pan masz zająć w Pary-
żu... jest w jakim ministerjum?

D U C R E U X.

Ale... tak, to ministerjum. Jeżeli pan chcesz,
abym mu powiedział, to jest... ministerjum...
jest to administracja, należąca do ministerjum
domu królewskiego.

Z U Z A N N A.

Oh!

J Ó Z E F.

Tam do djabła!

GAUTIER. (*n. s.*)

Otóż człowiek, który, może mi dopomódz.
(*głośno*) Panie, pozwól mi korzystać z szczę-
śliwego zdarzenia; ponieważ pan odbywasz po-

dróż tylko po kilka godzin na dzień, możesz mi uczynić zaszczyt, zabawienia u mnie przez czas niejaki. Wstaliśmy od stołu, wiadomo panu, że na wsi obiad jedzą wcześniej...

DUCREUX. (n. s.)

Już po obiedzie.

G A U T I E R.

Lecz jeżeli pan zechce przyjąć skromny obiadek.....

DUCREUX. (n. s.)

Tam do katedra, skromny obiadek. (*głośno*) Tak się to panu podoba mówić, pewny jestem, że on nie będzie skromny (*śpiewa*)

Ujrzyjcie jak trzymając dzban,
Zaśpiewam wam, zaśpiewam...

G A U T I E R.

Będę miał zaszczyt przedstawić panu moją żonę i córkę.....

D U C R E U X.

Bardzo mi będzie przyjemnie poznać je.

G A U T I E R.

Tymczasem, pozwól pan umieścić się w tym pawilonie, będzie tam bardzo wygodnie. Jest to dla podróżnych...

D U C R E U X.

To jest świątynia gościnności!

GOUTIER. (*n. s.*)

Jakie wyszukane wyrażenia! (*głośno*) Będę miał zaszczyt zaprowadzić pana sam do jego pokoju. Józefie, nakryj do stołu.

DUCREUX.

Tu, tu, pod temi drzewami. (*śpiewa*)

Te brzoza kilka, ten bieg wody...

W istocie panie dobrodzieju, jestem zawstydzony tą grzecznością.

G A U T I E R.

Jakto! czyliż nie godzien jesteś? (*n. s.*) Ministerjum domu króla! (*głośno*) Więc pan jesteś na dworze?

DUCREUX.

Tak, na dworze... z mojego powołania zawsze należę do świty książąt...

G A U T I E R.

Do świty książąt?

DUCREUX.

I księżniczek... często jestem przy boku króla... i wtenczas tylko oddalam się, kiedy chcą być sami (*n. s.*) i śpiewać mają wielką arję lub duet.

G A U T I E R.

Przy boku książąt i księżniczek! Wielmożny panie Ducreux, pana nie nie nagli, uszczęśliwiłbyś mię, gdybyś przez jeden dzień z nami zaba-

wił. Moje łózka są wyborne... pojedziesz pan jutro rano, odpocząwszy sobie wygodnie...

D U C R E U X.

Na honor panie Gautier, ofiara jego jest tak miłą... że... przyjmuję. (*n. s.*) Chociaż wiem, że jutro pójdę pieszo.

G A U T I E R.

Przyjmujesz pan! ah jakżem szczęśliwy! Józefie, przygotować natychmiast pokój w pawilonie.

D U C R E U X. (*śpiewa*)

Uleż trzeba władzy twej,

Któż ci się oprzeć zdolny,

(*n. s.*) Tylko wino w kielich lej,

(*głośno*) Ah, będę ci powolny.

G A U T I E R. (*n. s.*)

Cóż u kata, że on zawsze śpiewa?

D U C R E U X.

O, gdybyś wiedział człowieku pełen uprzejmości, człowieku pełen dobroci, jak jestem wzruszony, zachwycony... (*śpiewa*)

Za dawnych lat,

Tylko takim był świat...

Patrz, płacę, jestem bardzo tkliwy.

G A U T I E R.

Panie Ducreux, rokoszą dla mnie, przyjmo-

wać moich bliźnich, i wszyscy bez różnicy stanu i majątku.....

D U C R E U X.

To naturalnie!... (*śpiewa*)

Daléj, daléj bracia,

Niech każdy z was w tym domu...

SCENA V.

CIŻ I ST. MARCEL.

(*St. Marcel wchodzi środkiem, ubrany w surdut, kamazki, kij wręku; ubior cokolwiek w nieładzie, jak człowieka, którego burza napadła. Zuzanna, postrzegłszy go wydaje krzyk.*)

Z U Z A N N A.

Oh Boże!

G A U T I E R,

Cóż to jest?

Z U Z A N N A.

Jakiś człowiek... patrzcie państwo.

ST. MARCE. (*zdejmując kapelusz*)

Przebaczcie mi panowie, przemokłem cały, widząc kratę otwartą, sądziłem, że właściciele nie odmówią mi gościnności.

D U C R E U X.

Ten człowiek mi się nie podobał, postać nie szczególna. (*śpiewa*)

Ta posępna jego mina,

Coś straszego wróży nam.

Radzę panu powiedzieć mu, żeby sobie poszedł w swoją drogę.

G A U T I E R.

Ah nie! biedny podróżny, znużony, słaby... czy jest świeża słoma w stodole?

Z U Z A N N A.

Jest panie.

G A U T I E R.

A więc zaprowadź tam tego dobrego człowieka. (*do Ducreux*) A pana, proszę, racz udać się ze mną do pawilonu.

SPIEW NRO 3.

Przysięgam, wierzyć mi pan proszę,

Każdego przyjmuję z gości,'

To dla mnie zawsze roskosze,

Słuchać głosu gościnności.

Temu, co się skrył przed słotą,

Stodoła za pokój służy...

Z U Z A N N A.

Jak można?...

G A U T I E R.

Czemuż wśród burzy,

Odbywał podróż piechotą. (*odchodzi*)

SCENA VI.

ZUZANNA, ST. MARCEL.

Z U Z A N N A.

Prawie się pana przelekłam...

S T. M A R C E L.

To prawda, że mój ubiór z przyczyny burzy jest cokolwiek w nieładzie, nie każe mi bardzo ufać, mam postać...

Z U Z A N N A.

Oh, ja tego nie mówię, ale...

SCENA VII.

CIŻ I ZOFJA.

Z O F J A.

Powiedziano mi, że przybył jakiś podi ózny...
Ah, mój Boże!

S. T. M A R C E L.

Otóż znowu i panna się przelekła!

Z U Z A N N A.

Niech się panna nie obawia, to jakiś dobry człowiek.

Z O F J A.

Jakto! ten pan przyjechał w tej pięknej landarze?...

Z U Z A N N A.

Oh nie, ten pan co przyjechał landarą jest w pawilonie, z ojcem pani; co się tego tycze, łatwo poznać, że przyszedł piechotą.

Z O F J A.

Jak musi być utrudzonym, usiądź pan proszę.

S T. M A R C E L.

Dziękuję. (*n. s.*) przyjemna, i zajmująca dziewczyna.

SCENA VIII.

CIŻ I PANI GAUTIER.

PANI GAUTIER.

Moja córko, tak biegniesz... (*postrzegłszy panna St. Marcel*) Co to za człowiek?...

ST. MARCEL.

Pani!

ZOFJA.

Ah mamó, to biedny podróżny, który nie mógł znaleźć schronienia podczas deszczu, a wyznam ci szczerze, że nie tak pragnę widzieć tego pięknego jegomości, który landarą przyjechał, jak dopomóż temu nieszczęśliwemu, który przyszedł piechotą; prędeż, prędeż Zuzanno, trzeba dla niego przygotować pokój...

ZUZANNA.

Pan kazał umieścić go w stodole...

ZOFJA.

Jakto! w stodole?...

ST. MARCEL.

Tego mi tylko trzeba, nie jestem wymagającym, kiedy byłem w wojsku, w czasach wojny, często się i słomy nie miało na posłanie. Dziękuję za waszą dobroć, pokaż mi tedy mój pokój sypialny.

Tom V.

3

Z U Z A N N A.

Proszę pana, proszę tu. (*otwiera drzwi sto-
doły, St. Marcel wchodzi*)

PANI GAUTIER. (*do Zuzanny*)

Nie wiem co to za człowiek... Zuzanno, wszy-
stko starannie pozamykać, kiedy się ma nie-
znajomych u siebie... gdzież więc jest ten pan
co przyjechał landarą?...

Z U Z A N N A.

Oh, ten pan każe sobie usługiwać, tak jakby
miał do tego prawo, on jest bez ceremonji, ma
głos donośny, i umieszczony przy dworze.

P A N I G A U T I E R

Co! przy dworze? gdyby p. Gautier przyjmowa-
wał ludzi tylko tego rodzaju, tobym nie ganiła
jego gościnności.

SCENA IX.

GAUTIER, PANI GAUTIER, ZOFJA,
ZUZANNA, JÓZEF.

G A U T I E R.

Pani Gautier, kochana Zofjo, szczęście samo
sprowadziło nam tego pana, zobaczycie go na-
tychmiast! łatwo poznać, że to jest człowiek
znakomity.

Z U Z A N N A.

Sądząc po jego sposobie postępowania, dosyć ma złą minę.

G A U T I E R.

I cóż to dowodzi?

SPIEW NR 4.

Gdy przedemną człowiek staje
Z postacią skromną jak wryty,
Nie śmie mówić, poznać daje,
Że to człowiek pospolicity;
Lecz w obejściu Jeżeli dumny,
Postać wzniosła, moc w spojrzeniu,
Mowa nadęta, krok szumny:
To pewno człowiek w znaczeniu.

P A N I G A U T I E R.

I wieszże ty, kto on jest?

G A U T I E R.

Pan Ducreux... nazywa się Ducreux. Pan Ducreux, zajmuje miejsce w ministerjum domu Króla... Po tém wszystkiém co mi powiedział zgaduję, że jest w wielkiem znaczeniu, a tém samym otrzyma dla swoich protegowanych wszystko co tylko zechce.

P A N I G A U T I E R.

Tém lepiej! wszakże wiesz, że już od dawna prosiłam prefekta, aby mię mianowano damą towarzystwa dobroczynności w departamencie.

G A U T I E R.

I ty wiesz także, iż od pięciu lat proszę o dekoracją legji honorowej... jeżeliby pan Ducreux chciał nas polecić...

Z O F J A.

Ah, gdyby on mógł otrzymać nominacją dla Henryka, do korzystniejszej posady w biurze prefektury.

P A N I G A U T I E R.

Ty tylko myślisz o twoim Henryku!

Z O F J A.

Alboż mi mama nie mówiła, że jeżeli Henryk otrzyma wyższą posadę, przyjmiesz go za zięcia?

G A U T I E R.

Tak, tak, Henryk jest dobry chłopiec, ale młody, ty także moja Zofjo; macie czas oboje czekać, gdy tymczasem mnie i Pani Gautier bardzo pilno. Józefie, idź, poszukaj mojej prośby, leży na biurku, ona tam jest zawsze. (*Józef wychodzi.*)

P A N I G A U T I E R.

Tak jest! wyborna myśl! Zuzanno, na stoliku, przy którym zwykle pracuję, znajdziesz listy, papiery, przynieś je. (*Zuzanna wychodzi.*)

Z O F J A.

Ja nie mogę pisać za panem Henrykiem.

PANI GAUTIER.

Ja damą towarzystwa dobroczynności! ty kawalerem legji honorowej!

GAUTIER.

Jaki zaszczyt!

PANI GAUTIER.

Jakie szczęście!

GAUTIER.

Bo teżby to było wstydem, że może jeden jestem z wójtów, który nie ma krzyża! Cicho, oto nasz człowiek, chciałem mówić nasz pan!

SCENA X.

CIŻ, DUCREUX.

(W czasie téj sceny, Jozef i Zuzanna przyniosłszy prośby, nakrywają stół pod drzewami.)

DUCREUX.

Panie! mam zaszczyt.. *(n. s.)* śmiało Duceux przyjacielu, niechaj ton i ułożenie potwierdzą to, że przybył w landarze. *(głośno)* Pani... to małżonka pana?... Pani, cieszę się, jakem to przed chwilą oświadczył jej kochanemu mężowi, że nie umiałbym dosyć błogosławić dobroczynnej burzy, która mię w to mieszkanie sprowadziła, w tę ustron wdzięków i enot... *(śpiewa)*

Otóż to wdzięków mieszkanie,
Zbliźmy się do tej matrony...

PANI GAUTIER. (*n. s.*)

Są oryginalni czasem ci znakomici ludzie.

DUCREUX.

To zapewne córka pana. (*śpiewa*)

Tak piękna jak papa.

To gwiazda, tak, jest powtarzam gwiazda, która wszystkie serca zapala; mówię to, i mówiąc nie lękam się przygasić pochodnię prawdy... (*śpiewa*)

Jej widzieć oczy,

Cudowne lica...

PANI GAUTIER.

Ukłońże się, odpowiedz mościa panno, gdy mówią do ciebie.

ZOFJA.

Panie... nie zasługuję...

DUCREUX.

Czy wiesz o tém panie Gautier, że jesteś szczęśliwym śmiertelnikiem; niewiadomo, co więcej uwielbiać, czy piękność zamku, w którym mieszkasz, czy też sposób obejścia szlachetny, uprzejmy, ceremonjalny, z jakim przyjmujesz błędnych rycerzy ukazujących się w twoim progu... (*śpiewa*)

Ileż prac, ileż mąk,

Ile to trzeba rąk,

By imię ludzkiego pozyskać!

czy też zachwycające wdzięki dam, które składają twoją rodzinę, bo nie zapominając nawet młodej służącej, która ma postać pełną życia.
(*śpiewa*)

Lubo tylko jestem służącą...

Pani Gautier jest jeszcze...

P A N I G A U T I E R.

Jest jeszcze? Co się to ma znaczyć... Panie Gautier...

D U C R E U X.

Kiedy mówię jest jeszcze... to się znaczy będzie zawsze; tak, dla pani czas zatrzymał się swojego ramienia. (*śpiewa*)

Jeszcze piękniejszej osoby

Nie oglądał świat,

Wszystkie ma w sobie ozdoby

(*n. s.*) Ten już zwiędniały kwiat.

Ah, tak papo Gautier, tak przyjemnej paniencie nie zbraknie wielbicieli. Prawdziwie przykro mi, że interessa równie ważne jak nagłace, oddalają mię od tych miejsc; nie dla tego to mówię, abym nie wiedział, że w moim wieku

już nieco dojrzałym... ale wyznam ci, że miałem zawsze szczególniejsze upodobanie do życia wiejskiego i pasterskiego. (*śpiewa*)

Jest mi najlepsza ma lepianka,
Wzruszam się na jej widok sam,
Ah, tam jest ma kochanka,
I moje szczęście tam.

PANIGAUTIER. (*n. s.*)

Cóż to, czy on nie może mówić nie śpiewając? (*głośno*) Pan, jak mówią, jedziesz do Paryża, zająć znakomite miejsce?

DUCREUX.

Tak jest pani, w wydziale sztuk pięknych! Kto tylko czuć umie, są one roskoszą życia...

GAUTIER.

Czy pan już zna Paryż?

DUCREUX.

Oh znam, co rok prawie bawiłem w nim dni czternaście, tydzień przed wielką nocą, tydzień po wielkiej nocy.

PANIGAUTIER.

Pan zapewne bardzo wzięty jesteś w wielkim świecie?

DUCREUX.

Naturalnie, znam wszystkich chórzystów... chcę mówić artystów z stolicy...

G A U T I E R.

Panie Dobrodzieju, my mieszkańcy prowincji, jesteśmy dobrzy, gościnni; ale zarzucają nam, może nawet i słusznie, żeśmy nieco natrętni; wyznaję, że chciałbym panu małą prośbę przedstawić.

D U C R E U X.

I cóż to takiego?

P A N I G A U T I E R.

Idzie tu o poparcie prośby.

G A U T I E R.

Dwóch prośb.

D U C R E U X. (n. s.)

Do kata, trzeba się pokazać. (*głośno*) Przebaczcie, ale w mojem położeniu, stałe przedsięwziętem nie protegować lekkomyślnie, nie polecać nikogo...

P A N I G A U T I E R.

Jakto, nikogo?

D U C R E U X.

Nie idzie zatem, żeby dla tak dobrych przyjaciół jak wy... pomówimy o tem. Ale coś nie widać obiadu. (*śpiewa*)

Mieć stół dobry, to rokosz jedyna,

I jakaż inna, powabniejsza w skutku...

G A U T I E R.

Oto właśnie Józef przyniósł na stół...

DUCREUX.

Pocziwy sługa Józef... (*śpiewa*)

Do stołu!

Gdy śpiewak kilka wychyli czar...

Panie pozwolą...

GAUTIER.

My panu usługiwać będziemy.

DUCREUX.

Jakto! oh, nie zniósłbym...

GAUTIER.

Panie Ducreux, proszę... znam obowiązki gościnności, czy wiesz, że u starożytnych uchylć im, było zbrodnią? To właśnie codziennie powtarzam mojej żonie.

DUCREUX.

I słusznie.

GAUTIER.

U wszystkich ludów ta cnota jest wykonywaną.

DUCREUX.

To prawda, na przykład... (*śpiewa*)

U mieszkańców tych szkoekich gór,

Darmo daje się gościnność...

GAUTIER.

Należy wszystko dzielić z temi, których mamy szczęście przyjmować u siebie.

D U C R E U X.

Bez wątpienia, w jakimciś kraju żonę nawet swoją ofiarują podróżnym.

P A N I G A U T I E R.

Co za zgroza!

D U C R E U X.

Oh, ja nie żądam, aby pani Gautier... Pani, przecię nie jesteśmy laponczykami... ale obiad wystyga, idę zająć miejsce...

SCENA XI.

CIŻ, ST. MARCEL. i

(Ducreux siada przy stole pod altaną, Gautier, pani Gautier, Zofja, otaczają go; Józef i Zuzanna wchodzi i wychodzą)

D U C R E U X.

Przepyszny stół! i w miejscu tak rokoszném ustawiony! widok wspaniały, ta równina urozmaicona, ożywiona... *(je chciwie)*

ST. MARCEL. *(przed stodołą, do Zuzanny)*

Dziękuję ci moje dziecię za schronienie mi dane, już odpocząłem; ale szedłem pieszo od rana i jestem jeszcze na czczo.

Z U Z A N N A.

Czekaj, czekaj... *(idzie do Zofji, mówi z nią cicho, a potem zanoszą p. St. Marcel kurczę, chleb i wino.)*

D U C R E U X.

Do ciebie papo Gautier.

ZUZANNA. (*do St. Marcel*)

To ci przysłała nasza panna.

D U C R E U X.

Papo Gautier, masz wino wyborne. (*spiewa*)

Przy takim wieku tém,

Pożeniłbym z Turcją Rzym.

Ten pasztet ma śliczną minę, muszę mu parę słów powiedzieć.

Z U Z A N N A.

Jak jeden tak i drugi są przy dobrym apetycie.

D U C R E U X.

Dalej Józefie... dawaj pić, pić, nalewaj...

Do wschodu słońca,

Pij wciąż bez końca.

Ah, z winem żyć,

Kochać i pić.

S T. M A R C E L

Twoja młoda pani jest bardzo dobra. Ah, gdybym mógł jej zawdzięczyć to, co dla mnie uczyniła.

D U C R E U X.

Do was papo Gautier! Mówiłeś mi, nieprawdaż, że masz mi jakąś prośbę pokazać.

G A U T I E R.

Tak jest, szanowny panie... chciałbym...

Z O F J A.

Chcieliśmy panu polecić pana Henryka.

D U C R E U X.

I panienska także... prawdziwie cieszę się bardzo... (*pije*) Zdrowie panny! A więc cała rodzina ma do mnie jakieś prośby; jako kawaler, galant, powinienem zacząć od panny (*n. s.*) i sądzę, żebym nie źle na tem wyszedł. (*śpiewa*)

Ah, poznaj pani serce to,

Twoim na zawsze być chcę.

O cóż idzie?

Z O F J A.

Gdybyś pan był łaskaw polecić pana Henryka W. prefektowi.

D U C R E U X.

Pana Henryka, cóż to za jeden, papo Gautier, proszę wina. (*śpiewa*)

Dawaj więcej,

Dawaj więcej.

G A U T I E R.

Jest to młodzieniec bardzo interesujący, chcielibyśmy go posunąć na wyższą posadę przy panu St. Marcel, prefekcie naszego departamentu... Pan znasz naszego prefekta?

D U C R E U X.

Znam... oh i dobrze znam.

Tom V.

4

G A U T I E R.

Dobry człowiek, ale który nie bardzo zajmuje się swoim obowiązkiem.

D U C R E U X.

Ah... zgaduję... panna Zofja, pan Henryk... miłość... (*śpiewa*)

Gdy spotkam twe wejrzenie...

Ah tak prawda..... (*śpiewa*)

Raz jest raz, zatem nie kończ,

Jeden kielich z drugim łącz...

Papo Gautier, proszę wina!

Z U Z A N N A.

Ah! otóż panienska mówi za p. Henrykiem.

S T. M A R C E L.

Cóż to za jeden, ten p. Henryk?

D U C R E U X.

A teraz deser, kawa, likier, jak mówi Baron Montefiaskone... (*śpiewa*)

Zawsze uczyty, bale, gody,

Po obiedzie zawsze lody,

Bo ja lubię smaczno jeść,

I wina gatunków sześć.

A potem pomówiemy o interesach.

Z U Z A N N A.

Młody człowiek, urzędnik w prefekturze, któ-

regobyśmy chcieli widzieć na wyższym urzędzie,
i gdyby ten pan chciał.....

S T. M A R C E L.

Znam go, dobry chłopiec, uczynię wszystko
dla niego.

ZUZANNA (*n. s.*)

Biedny człowiek, mówi, że wszystko dla in-
nych uczyni... żeby się pierwój postarał coś dla
siebie uczynić...

S T. M A R C E L.

Czekając polecenia tego pana, czy nie mo-
głabyś mi dać tego co potrzeba do pisania?

Z U Z A N N A.

Natychmiast, bardzo chętnie. (*wchodzi do
pawilonu*)

D U C R E U X.

A więc to jest mokka, jeszcze kieliszek pro-
szę. A pan, papo Gautier, cóż dla ciebie uczy-
nić mogę?

G A U T I E R.

Oto przygotowana prośba.....

DUCREUX. (*czytając*)

Tam do kata! krzyż legji honorowej! to tro-
chę za wiele, tak sam nie przychodzi. (*Pod-
czas tej sceny, Zuzanna przyniosła wszystko
co potrzebne do pisania p. St. Marcel*)

G A U T I E R.

Oh! ja mam prawo! już od 5 lat proszę o niego.

D U C R E U X.

To pan masz prześliczne prawa!

G A U T I E R.

Jestem wójtem od ośmiu miesięcy.

D U C R E U X. (*już podchmielony nieco*)

To rzecz naturalna! pan masz prawo do krzyża, bo jesteś wójtem, a gdybyś miał krzyż, miałbyś prawo być wójtem, rozumiem... zdrowie twoje papo Gautier. (*śpiewa*)

Ah papo kochany

Kielich nie nalany. (*pije*)

Teraz pani, mamu Gautier,

P A N I G A U T I E R.

Ja.....

D U C R E U X.

Nie, zdrowie pani. Do kata, pani chcesz być damą towarzystwa dobroczynności, czyż pani nią nie jesteś?

G A U T I E R.

Pani Gautier chciałaby...

D U C R E U X.

Rozumiem... pani Gautier, jestże damą dobroczynną? czy nie jest? czy zbiera jałmużnę? daje ubogim? Zdrowie pani, mamu Gautier.

G A U T I E R.

Pani Gautier jest bardzo wspaniałomyślną,
ale chciałaby.....

D U C R E U X.

Tak, wiem! chciałaby mieć patent i być do-
broczynną z upoważnienia, a to właśnie wszy-
stkim się nie daje. Ale prawda, na cóż być do-
broczynnym, kiedy o tem nikt nie wie. Są lu-
dzie, którzy tylko wtenczas są dobroczynnemi,
kiedy na nich patrzą. Pani byś chciała, żeby by-
ło w pismach, ale bo to nie tak łatwo..... (*pije*)
Gdyby chciała łoże otwierać, ale damą towa-
rzystwa dobroczynności to inna rzecz!

G A U T I E R.

My tylko prosimy, abys pan przypisać się
raczył.

D U C R E U X.

Przypisać się? ah! jeśli tylko o przypisanie
idzie, przypiszę się... na lewo, na prawo, u dołu,
gdzie zechcecie. Pióra, kałamarza i wina.

Z U Z A N N A.

Oto jest wszystko co panu potrzeba. (*przy-
nosi pióro i kałamarz od St. Marcel*)

S T. M A R C E L.

Idzie tylko o zanieśenie tego listu, jakże
się ucieszy ten młody człowiek odbierając go.

4*

D U C R E U X.

Jak najusilniej was polecę... Oh, bądźcie spokojni, w sposób godny skreślę wasze pochwały.

G A U T I E R.

Ah, ileż wdzięczności będziemy winni.

SCENA XII.

CIŻ I STANGRET.

(St. Marcel i stangret, przed drzwiami stodoły, wszyscy inni otaczają p. Ducreux, który pisze)

S T A N G R E T.

Dalipan, przespalem się doskonale, i myślę, że teraz możemy jechać. *(sposzregając p. St. Marcel, zdejmuje kapelusz z uszanowaniem)*
Co widzę? W. pan tu!

S T. M A R C E L.

Milezenie! *(cicho)* Czy to ty przywiozłeś w landarze tamtego pana?

S T A N G R E T.

Spotkałem go na drodze, i przez ludzkość...
Biedny człowiek...

S T. M A R C E L.

To dobrze, wsiądziesz na konia...

S T A N G R E T.

Dobrze panie.

S T. M A R C E L.

I galopem udasz się do miasta, oddasz ten list podług adresu, i przywieziesz mi odpowiedź.

S T A N G R E T.

Dobrze pannie.

S T. M A R C E L

Małe ćwierć mili, wrócisz przed pół godziną.

S T A N G R E T.

Dobrze, nie będę długo bawił.

S T. M A R C E L.

Słuchaj, przynies walizę do tej stodoły.

S T A N G R E T.

Biegnę Panie. (*wychodzi*)

S T. M A R C E L. (*do Zuzanny*)

Moje dobre dziewczę, byłaś dla mnie tak grzeczną, pozwól mi wywdziękzyć się. (*daje jej pieniądze i wchodzi do stodoły.*)

Z U Z A N N A.

Ah mój Boże! dukat! cóż ja dopiero od tego dostanę, co przyjechał landara!

SCENA XIII.

GAUTIER, DUCREUX, PANI GAUTIER,

ZOFJA, ZUZANNA.

D U C R E U X.

Oto są. (*oddaje prośby*) Papo Gautier na twojej prośbie jest żyd ogromny, a pani, nieco pognieciona; ale to nic nie szkodzi? A teraz, kiedy interessa pokonczone... a ty panienko jakże?... (*śpiewa*)

Dla czego drżysz,
Kochanek cię twój błaga?
Czy chcesz, żebym pisał za panem Henrykiem?

Z O F J A.

Niech pan tylko moim rodzicom wyświadczy
dobrodziejstwo, to jedyna moja prośba. (n. s.)
Ten człowiek nie mógłby nic uczynić dla mo-
jego Henryka.

DUCREUX. (*pijany*)

Teraz... oddajmy się wesołości. (*śpiewa*)

Głosem pustot, wesołości,

Każda chwila niech tchnie dla nas.

A panienka, czyli nas nie uraczy jaką śpiewką.
(*śpiewa*)

Zaklinam cię na imię przyjaźni,

Daj mi szklanę wina!

G A U T I E R.

Jeszcze!

D U C R E U X.

Widzę, że nie jesteś przy głosie. A więc ja
śpiewać będę, mam humor wesoły.

G A U T I E R,

On pijany zupełnie, nie wesoły.

D U C R E U X.

SPIEW NR 4.

Posłuchajcie: mówię wam szczerze,
Gdy wino zrumieni lica,

Intonacją czyściej się bierze,
W dowód, to mój głos z Frejszyca:
Cóż zrówna na świecie
Myśliwskiej ochocie?
I komuż przyjemniej
Fortuna się śmieje?..

Teraz z Westalki słuchajcie finału:
Zdejmcie z niej te święte znamiona,
Już niezdolne, niezdolne ozdabiać jej łona,
Niechaj ta kapłanka skażona,
Oddaną będzie w oprawców dłonie.

A teraz głos kobiet:

Tyle urody — Niech ginie!
W młodości wiosnie — Niech ginie!
Zniknąć ma — Westalka.
I ma poledz w grobie. —
Litosne nieba! — Niech ginie!
Litosne nieba! — Niech ginie!

Chcecie weselszych śpiewów?..

Hop, hop, tra, la, la.... (*usypia*)

G A U T I E R.

Otóż i zasypia.

P A N I G A U T I E R.

Szkaradny człowiek. Widzisz na co nas wy-
stawia twoja śliczna mańja gościnności, którą
jesteś przejęty.

G A U T I E R.

Przynajmniej nie dał się długo prosić, w przypisaniu się do naszych prośb.

P A N I G A U T I E R.

Oh, ja myślę, że jego podpis bardzo nam pomoże!... Patrz! co to znaczy? poleca mię jak najmocniej, aby mi udzielono znak honorowy.

G A U T I E R.

A ze mnie chce uczynić damę towarzystwa dobroczynności! Oh, to już za wiele!

Z O F J A.

Od chwili, jak tu wszedł, same niedorzeczności popełnia.

Z U Z A N N A.

Oh pani, jak łatwo omylić się można, ten drugi, który przyszedł piechotą, i którego pan kazał umieścić w stodole, mnie się zdaje, że musi być jakiś niepospolity człowiek; bo patrzcie państwo, co mi dał, za to tylko, że miałam być grzeczną dla niego.

P A N I G A U T I E R.

Lujdor... Znowu się omyliłeś panie Gautier, posyłasz do stodoły człowieka, który twojej służącej daje lujdora, a przyjmujesz do twoich pokojów...

G A U T I E R.

Cicho... ale moja pani Gautier, dla czegoż on pieszo podróż odbywa?

P A N I G A U T I E R.

Dla czego? dla zabawy, z dziwactwa, takie upodobanie... ja sama nie wiem!

Z O F J A.

Jako Zuzanno, ten pan, którego powierzchowność była tak nie uderzającą...

ZUZANNA. (*widząc wchodzącego St. Marcel*)

Patrzcie państwo, czy jego powierzchowność jeszcze nie uderzająca?

SCENA XIV.

CIŻ I ST. MARCEL.

ST. MARCEL. (*ubrany przyzwoicie, znak honorowy przy dziurce od guzika*)

Raczie mi państwo darować, żem dotychczas nie złożył podziękowania za gościnność, jakiej od was doznałem; a szczególnie proszę o przebaczenie, żem się ośmielił przybyć tu nie będąc znanym.

P A N I G A U T I E R.

Panie, to my raczej mamy sobie do wyrzucenia... (*do męża*) Jego trzeba było prosić o przypisanie się na suplice, o uzyskanie znaku honorowego; może prosić o znak dla drugich ponieważ go już sam uzyskał.

G A U T I E R.

W istocie... Panic, jestem zawstydzony...

P A N I G A U T I E R.

To wina p. Gautier, nie umie sądzić o ludziach.

S T. M A R C E L.

Prawda, że powierzchowność moja, kiedym się ukazał w ich domu, nie wiele nakazywała zaufania...

P A N I G A U T I E R.

To wszystko jedno, jabym była natychmiast dostrzegła... ale zapominamy... Zuzanno, prędzej obiad dla pana.

S T. M A R C E L.

Proszę nie trudzić nikogo. (*patrzac na Zo-
ffe*) Dzięki pamięci, jaką miano o mnie, nie
nie potrzebuję zupełnie.

SCENA XV.

C I Ź I J O Z E F.

J Ó Z E F.

Proszę pani, nie mogę zdjąć nakrycia — ten pan położył się do połowy na stole, spi... marzy, czy słyszycie państwo?...

DUCREUX. (*przez sen śpiewa*)

Zdrajco podły i zuchwały

Gardzę wiecznie ręką twą.

G A U T I E R.

Czekaj, wyborna myśl. (*do St. Marcel*) Pa-
nie, jeżeli chcesz przebaczyć nam niegrzeci-

ność naszą, racz być tak łaskawym, zabaw u nas do jutro.

PANI GAUTIER

Prosimy pana.

ZOFJA.

Prosimy pana.

ST. MARCEL.

Byłbym nieprzyjacielem samego siebie, gdybym odrzucił tak przyjemną obiarę.

GAUTIER

Ah, to przedziwnie, będziesz pan mieszkał w pawilonie przygotowanym dla tego hollyera.

PANI GAUTIER.

Tak, pozbędziemy się go wkrótce; wypędzimy go.

GAUTIER

Ah, pani Gautier! gościnnoci przedewszystkiem, niech się w stodole. Józefie, Zuzanno, niech was pomocą ogrodnik, i niech go uszychmiot do stodoly przeniosą.

Szaw Nau 5.

Pan z nami, a ten wesoły,

Za słowności idąc głosem,

Przeniesiony do stodoly,

Niech się godnym cięży losom.

Naszą temną niech to będzie,

Tom V.

5

Na klucz dobrze zamknąć go.
Śmiał się w panów mieścić rzędzie,
Słuszną karą będzie to.
Lecz cicho, milczenie,
Nie budźcie go.

W S Z Y S C Y.

Lecz cicho, milczenie,
Nie budźcie go.

*(Ogrodnik i Józef wnoszą na stolku Duc-
creux do stodoły, on śpiewa przez sen)*

D U C R E U X.

Dam za krowę,
Trzy talary, a za dwieście,
Kupię w mieście,
Kamienicę.

*(Gautier, pani Gautier, St. Marcel i Zofja,
wchodzą do pawilonu)*

SCENA XVI.

JÓZEF, ZUZANNA, DUCREUX. *(w stodole)*

Z U Z A N N A.

Dobrze, zamknij go panie Józefie, nie wie-
my co może taki człowiek jak ten; a potem ty-
le pił, zapewne wino tego mu głowę zawróciło.....

JÓZEF. (*wyjmując klucz*)

Teraz panie Ducreux możesz śpiewać.

DUCREUX. (*w stodole sztuka*)

J Ó Z E F.

Otóż masz, obudził się.

Z U Z A N N A.

Sztukaj... sztukaj, przeklęty śpiewaku; teraz nie jesteś niebezpiecznym.

J Ó Z E F.

Sztukaj, wybijaj, djabeł cię usłyszy.

Z U Z A N N A.

Otworzemy mu, jak stangret będzie chciał z nim wyjechać, pójdę go uwiadomię. (*wychodzi za bramę z Józefem*)

SCENA XVII.

DUCREUX, (*ukazuje się w poddaszu stodoły*)
(*śpiewa*)

Ah przepaść sroga,

Piekiel droga!

Co się to ma znaczyć? gdzie to ja jestem? Zda-
je mi się, zem zasnął, i obudzam się w jakimś
spichlerzu, pełnym słomy; szczęściem po-
strzegam drabinę, włączę, i tu się znajduję. Wi-
dzę... (*siada na oknie*) Do kroć set czartów, wi-
dzę, poznaję ogród p. Gautier... altanę, pod któ-

ra, tak smacznie zjadalem, pitem tak dobre wino. (*śpiewa*)

Ta chatka tam i ta brzoza,

A pod nią krzak różowy...

Ale co to wszystko znaczy? To zapewne figiel służących, bo niepodobna aby ten dobry p. Gautier i jego wyborna małżonka, tak mię zdradzić mieli!.. Do stu katów! najpilniejsza rzecz wyjść z tąd. (*patrzac na dół*) Za wysoko! Ah! zapomocą tej liny i tego bloku, mógłbym się spuścić, tak łatwo jak pęk siana. Dalej Ducreux, śmiało i odważnie..... (*śpiewa*)

Tylko śmiało i wytrwało,

A przyjaciel pomoc da... (*chwytą linę*)

SCENA XVIII.

DUCREUX, ZUZANNA, JÓZEF,

ZUZANNA. (*wchodząc z głębi*)

Ah mój Boże! zabije się!

DUCREUX. (*śpiewa*)

Agata rzuca się w głębinę!

J Ó Z E F.

Otóż i Agata na ziemi.

Z U Z A N N A.

Czy pan nie skaleczony?

D U C R E U X.

Nie jestem skaleczony, ale wściekły!... idźcie uwiadomić mojego stangreta, że jadę natychmiast. (*śpiewa*)

Już was rzucam,

Włoskie kraje.

Z U Z A N N A.

Stangret pański! Nie wiem co się z nim stało, równie jak z jednym jego koniem, jeden tylko stoi w wozowni.

D U C R E U X.

Jako! ten łotr wziął mi jednego z moich koni... kiedy mówię jednego z moich koni...

JÓZEF. (*patrząc za kratę*)

Ah, otóż i on... stangret i koń.

SCENA XIX.

CIŻ I STANGRET.

STANGRET. (*wbiega pędem trzymając list*)

A co? wszak niedługo bawiłem?

D U C R E U X.

A jesteś tu panie hulta... panie stangret, czy to tak?...

S T A N G R E T.

Zwolna, chola, mój mości, dla tego, żem cię z łaski na drodze wziął do landary... sądzisz, że masz prawo przemawiania do mnie jak pan.

5*

Z U Z A N N A.

Wziął go z łaski na drodze?

S T A N G R E T.

Mojemu panu, mojemu prawdziwemu panu
mam oddać ten list.

D U C R E U X.

On nie wie co mówi, gdziez twój pan, nie do-
brego?

SCENA XX I OSTATNIA.

CIŻ, ST. MARCEL, GAUTIER, PANI GAUTIER,
ZOFJA, STANGRET.

STANGRET. (*oddając list p. St. Marcel*)

Oto jest.

D U C R E U X.

Pomówię z nim, i dam mu poznać, że czło-
wiek jak ja... Co widzę?... tak, nie myślę się to
JW. pan prefekt.

W S Z Y S C Y.

Prefekt!

DUCREUX. (*śpiewa*)

Drzę cały i truchleję,

Smutek nie wzruszy go.

G A U T I E R.

Co? ja miałem u siebie pana prefekta?

S T. M A R C E L.

Tak, prefekta, który nie bardzo się zajmu-
je swojemi obowiązkami, a który jednakże, jak

widzisz, pieszo zwiedza wioski w okolicy, aby się przekonywał o wypełnianiu poleceń. (*patrząc na p. Ducreux*) Ale, jeżeli mię pamięć nie myli...

DUCREUX. (*n. s.*)

Poznał mię niezawodnie, widzę go jeszcze w jego łoży tuż przy scenie, w chwili wrzasku i jabłek pieczonych...

ST. MARCEL. (*do Zofji*)

Powiedziałem ci, lubę dziecię, że może będę tak szczęśliwym uczynić ci jaką przyjemność...
racz przeczytać ten list.

ZOFJA. (*czytając*)

»Panie, nie wiem jak wyrazić moją wdzięczność. Umieszczony z dobroci twojej w przyboczném biurze, dołożę wszelkich starań, aby się stał godnym takich względów.

Henryk Derval.»

Ah panie!

ST. MARCEL. (*do pani Gautier*)

Nie zapomnę, że pani pragniesz zostać damą towarzystwa dobroczynności; co się tycze znaku honorowego, tego przyrzec nie mogę, niech własne zasługi przemówią za panem, one będą najlepszym poleceniem.

G A U T I E R.

Ah panie prefekcie, jakże się wstydzę, że cię tak źle przyjął z początku.

D U C R E U X.

A ja dziękuję panu za przyjęcie mnie tak gościnne z początku... potem, o stodole już się nie mówi... Wielmożny prefekcie, racz przyjąć najszczerze dzięki za laudarę i przebaczyć mi...

S T. M A R C E L.

Wiem, przyjechałeś w moim powozie.

D U C R E U X.

Deszcz padał niezmierny... (*śpiewa*)

Zanurzony w słodkiem marzeniu,

Zszedłem sobie z drogi w bok...

S T. M A R C E L.

Mniejsza oto, panie Ducreux, nie gniewam się wcale.

P A N I G A U T I E R.

Pan prefekt zna tego pana?

S T. M A R C E L.

Ponieważ pan Ducreux wydał moje incognito, może mi wolno powiedzieć kto on jest?

D U C R E U X.

Oh, W. panie, wolno mu wszystko mówić.

S T. M A R C E L.

A więc, powiem panu szczerze, że nie bardzo dobrze grałeś Hilarego.

D U R C R E U X.

Ah, JW. pan prefekt jest zbyt dobrym! Ale już mi się to drugi raz nie przytrafi; trzeba być szalonym, żeby chcieć grać pierwsze role i dostać kilkanaście jabłek pieczonych, gdy tymczasem w ukryciu, nieznany od świata, sławnym być mogę.

G A U T I E R.

Co słyszę... a więc byliśmy oszukani?

D U C R E U X.

Bynajmniej panie Gautier, tego mi zarzucić nie możesz... mam zaszczyt być chórzystą w teatrze królewskim Odeon, a Odeon zależy od ministerjum domu króla, a więc...

G A U T I E R.

Idź do diabła.

DUCREUX. (*śpiewa*)

Już widzę i poznaję,

Ze się panu przykrym staję...

Jednakże miło mi jest poznać w was przyjaciół gościnności; wprawdzie stanowicie niejaką różnicę w przyjmowaniu osób, ale radzę wam, wyrzeknijcie się tak jak ja, chęci grywania ról pierwszych, a to jest najlepszy sposób, aby nie zostać nigdy ostatnim.

SPIEW Nro 6.

Życzliwość wasza wszak nasz los stanowi,
Wy pobłazacie, choć małej zdolności,
Niech dobroć wasza i dziś nie odmówi,
Dla nas i sztuki, względów gościnności.

K O N I E C.

PARAVIÉDÉS

BANKIER HISZPAŃSKI,

MELODRAMA

WE TRZECH AKTACH.

TLUMACZONA Z FRANCUZKIEGO.

Muzyka J. P. Danse.

Tańce układu J. P. Maurice.



PREDSTAWIONA PIERWSZY RAZ

NA WIELKIM TEATRZE

dnia 22 Lipca 1838 r.

O S O B Y.

PARAVIEDES	JP. <i>Werowski.</i>
LEONIDA, jego żona	JPa. <i>Radzyńska.</i>
GASTON DE SAVIGNY	JP. <i>Komorowski.</i>
BARONOWA D'OMBRE	JPi. <i>Żółkowska.</i>
FANNY, jej siostrzenica	JPa. <i>Dobrzańska.</i>
VERNAUT	JP. <i>Karasiński.</i>
GUISGNAC, strażnik	JP. <i>Markowski.</i>
RIBIÉ, ogrodnik	JP. <i>Świergocki.</i>
MARJA, służąca	JPa. <i>Bońkowska</i>
BRYGADJER	JP. <i>Buliński.</i>
1) SŁUŻĄCY	JP. <i>Jędrzejewski.</i>
2) SŁUŻĄCY	JP. <i>Husakowski.</i>
WIEŚNIAK	JP. <i>Królikowski.</i>
JEDEN Z CYGANÓW	JP. <i>Wróblewski.</i>
Żołnierze. — Wieśniacy. — Cyganie.	

(Rzecz dzieje się w Francji. Między pierwszym a drugim aktem upływa sześć lat.)

PARAVIÉDÈS.

AKT I.

(Scena przedstawia pokój.)

SCENA I.

MARJA, później GASTON.

MARJA. (*wychodząc, mówi za sceną*)

Dobrze pani, dowiem się...

GASTON. (*wchodząc*)

Marjo, czy pan Paraviédès jest w domu?

MARJA

Nie ma go; ale wróci niebawem; chciał pan
zaczekać na niego u pani.

GASTON.

Nie, Marjo, nie mogę; wymów mię przed

Tom V.

6

nią... albo raczej, nie wspominaj wcale, że tu byłem; bo interessa wielkiej wagi...

M A R J A.

A jakby się pani dowiedziała, że mówiłam z panem! Nie, muszę... (*słychać dzwonek*) Oh! już chce wiedzieć, z kim rozmawiałam, i...

G A S T O N.

Kiedy ci powtarzam, że niepodobna... (*chce wyjść.*)

MARJA. (*z uśmiechem*)

Ah mój Boże! piękne oczy andaluzyjskie przestraszają pana?...

G A S T O N.

Marjo!...

MARJA. (*zartując z niego*)

Marjo! Ten' wyraz twarzy nieco za wyniosły, ale bardzo panu z nim dobrze.

GASTON. (*łagodniej*)

No, powiesz panu Paravièdes, że wrócę niedługo. (*słychać jeszcze dzwonek.*)

M A R J A.

Oh, poznaję po sposobie dzwonienia, że pani dziś w nienajlepszym humorze. Usłyszę co przez pana, który jesteś tak dobrym, tak przyjemnym; kiedy chcesz...

G A S T O N.

Ah, na koniec niecierpliwisz mię... odchodzę.

SCENA II.

CIŻ, LEONIDA, później SŁUŻĄCY.

LEONIDA.

Cóż to Marjo! czekam cię... dla czego?... Ah!
Pan Gaston de Savigny!

GASTON.

Tak pani. Pragnął czekać przy niej powrotu
pana Paraviedes; ale interessa zwłoki nie ciera-
piące....

LEONIDA.

Ah, nie opuścisz tak biednej samotnicy, któ-
rej zbyt rzadko trafia się sposobność pomówie-
nia z kim innym, nie z Marją. Małzonka ban-
kiera, oddanego zupełnie interessom, nie ma
ani chwili czasu, nie może podzielać zabaw,
którychby mogła używać w swoim położeniu,
ponieważ ten bankier jest Hiszpanem, a tém sa-
mém zazdrosnym...

GASTON. (*z uśmiechem*)

I właśnie dla tego... nie chcę obudzać jego
podéjrzenia...

LEONIDA.

Wiesz dobrze, że cię uważa jak brata... albo
raczej jak syna... ponieważ mój miły mąż już
nie jest w pierwszej młodości.

M A R J A.

Ale bardzo zacny...

LEONIDA. (*wyniosłe*)

Któż cię pyta o zdanie? (*do Marji*) Zostaw mię samą; a ponieważ pan Gaston nie śmie czekać w moim pokoju powrotu mojego męża, ja pozostanę tu aż do przybycia pana Paraviédès. (*Marja wychodzi.*)

GASTON. (*n. s.*)

Oh Boże! nie mogę uniknąć rozmowy... i kiedy pomyślę, że dzisiaj wieczór nawet...

LEONIDA. (*usiadła, i wskazując Gastonowi krzesło, mówi do niego, ale już nie tym tonem lekkości, który aż dotąd zmyślała.*)

Usiądź Gastonie... chcę pomówić z tobą, i lubo miejsce mniej stosowne... gabinet mojego męża, ty sam je wybrałeś.

G A S T O N.

Cóż znaczy tenton uroczysty, Leonido?

LEONIDA. (*tkliwie*)

Jeszcze więc przypominasz sobie moje imię?

G A S T O N.

Mów ciszej, gdyby nas usłyszano!...

LEONIDA. (*z ironją*)

Oh, jakże się stał bojaźliwym, trzpiot, nierozważny i śmiały Gaston de Savigny.

GASTON. (*z uśmiechem*)

Bo dzięki radom twojego męża, Gaston został negocjantem; bo ten śmiały i odważny Gaston już nie jest w Hiszpanji, jako nieprzyjaciel Hiszpanów, a przyjaciel ich żon, ale we Francji, i połączony najściślejszym węzłem przyjaźni z tym, którego uważał za rzecz bardzo naturalną... zwodzić w jego kraju.

LEONIDA.

Stałeś się bardzo sunnym Gastonie. Ale, jeżeli się nie mylę, to dopiero od balu danego w St. Germain, przez wasze miłe towarzystwo, na którym znajdowała się pani Baronowa d'Ombre i jej siostrzenica.

GASTON. (*wstając*)

Leonido, mylisz się... ja...

LEONIDA.

A więc siadaj Gastonie... bo utwierdzisz we mnie ten domysł, żeś odgadła prawdę. Zostaw mi przynajmniej wątpliwość.

GASTON.

Leonido, chciałaś mówić ze mną, o czemże?

LEONIDA.

Mozeszli mnie pytać o to?... o twojej obojętności. Czy tak dotrzymujesz twoich przysiąg, pełnych

ognia, które zapaliły duszę Leonidy, kiedy spokojna w mojej rodzinnej ziemi, żyłam szczęśliwa w ustroni, czysta i niewinna, jak łąka, którą oko wyrwania. Ale dość już wyrzutów... Gdybyś wiedział, ile cierpiałam, kiedy mój mąż, nie wiem dla czego, postanowił stale zamieszkać we Francji, w Paryżu. »Do widzenia Leonido, powiedziałaś mi, miłość nasza nie może zgasnąć, do widzenia.« Zinniejszyło się cierpienie, opuszczając moją ustron rodzinna, słaby promyk nadziei rozpraszał lekko pamrok mojej lekkiej głowy. Zobaczyłam cię tu znowu... Przy pierwszym naszym spotkaniu, usłyszałam te pocieszające wyrazy, które tak ożywiły duszę, jak wieczorna rosa po dziennym upale ożywia kwiaty. »Dobrze ci powiedziałem, do widzenia.« Radość odejmowała mi zmysły... i... od tego balu... zupełna zmiana... oziębłość!... Cóżem ci uczyniła?... jeżeliżnika wdzięk Gastonie, to twoja wina, nie moja, łzy bezprzerwane za niewiernym unoszą świeżość oblicza.

G A S T O N.

Leonido! nie ta przyczyna zmienia moje postępowanie, posłuchaj mię, znam ciebie, będziesz tak myśleć jak ja...

L E O N I D A.

Słucham — ale bądź szczerym Gastonie.

G A S T O N.

W roku 1823 wszedłem do Hiszpańji, płochy, młody, z sercem kochającym. W Kadyxie widzę Hiszpankę idącą do kościoła; spieszę za nią, i kiedy przy wyjściu dawała jałmużnę ubogim, spostrzegłem prześlicznej białości czoło, które ozdabiały z wdziękiem rzucone uploty włosów. Znikła z moich oczu, a jeszcze ją widziałem! Pytam o jej nazwisko. Odpowiedział mi jeden z biednych, którym udzielała wsparcie: »Jest to żona bogatego bankiera Paraviédes, tak cnotliwa jak piękna.« A jej mąż w jakim wieku? »Ma lat blisko 50.« Czy zazdrosny? »Hiszpan« odpowiedział mi żebrak głosem ponurym. Nie wiem, jakie uczucie powstało w mojej duszy; ta zdobycz zdawała mi się droższą nad upokorzenie Hiszpańji, i szczęśliwy Gaston za tem tylko ubiegał się, aby hiszpańskiego bankiera przemienić w paryzkiego męża...

L E O N I D A.

Ta lekkomyślność...

G A S T O N.

Przebacz mi... pozostałość przyzwyczajenia.

Zwyciężyłem wszystkie trudy i niebezpieczeństwa. Paraviédès nie domyślił się, oh nie... bo byłby mię wyzwał... i...

L E O N I D A.

Hiszpan nie wyzywa nigdy, szuka tylko zemsty... i nie wie zapewne, ile cierpi jego żona...

G A S T O N.

Leonido! ujrzałem cię znowu we Francji, jeszcze piękniejszą jak byłaś; lecz twój mąż już nie był moim nieprzyjacielem, przymuszonym uśmiechać się do zwycięzcy; nie, to był przyjaciel, i mamże ci wyznać prawdę? jego dobrodziejstwa zmuszają mię wstydzic się mojego postępowania. Gdybyś wiedziała, ile mi dał dotychczas dowodów przyjaźni, ile mi ich codziennie daje, dziś nawet, w tej chwili. Tak, czego nie mogły zamki, sztylety i groźby, to jedno spojrzenie dobroci dokonało. Kocham Paraviédésa, i wierz mi Leonido, przyjaźń skłania nas do największych ofiar.

L E O N I D A.

Zręcznym jesteś Gastonie... ale serce kobiety zgaduje prawdę... Jedno słowo... czy miłość dla Leonidy odzywa się jeszcze w tobie?

G A S T O N.

Mógłbym cię nie kochać?!...

LEONIDA.

Kochasz mię!... oh jak ten wyraz uszczęśliwia!... Gastonie, przypomnij sobie te chwile miłości i obawy, kiedy za powiewem wiatru, który liściem zaszeleścił, porywałeś się do broni... Oh widzę, jak oko twoje ozywia się wspomnieniem tych chwil... a ja... czuję, że cię mocniej jeszcze kocham... (*słychać wywrócenie sprzętu w przyległej izbie, oboje przerażeni*) Słyszałeś?

GASTON.

Któs nas podsłuchiwał?

LEONIDA.

Idź... zobacz... byłżeby to on! (*Gaston idzie*)
Czekaj, gdyby to mój mąż... zabiłby ciebie.

GASTON.

Tak sądzisz?

LEONIDA.

Ah, jego usność we mnie jest tak wielką...
gdyby się dowiedział...

GASTON.

Nic... nic... to zapewne wiatr obalił jaki lekki sprzęt. (*biorąc ją za rękę*) Widzisz Leonido... zawsze przestrach miesza się do naszych rozmów, i cały ich urok niweczy.

L E O N I D A.

Niegdyś ten przestraszył był tych rozmów urokiem.

G A S T O N.

Leonido, oto są twoje listy, ręką miłości kreślone...jeden uroniony mógłby zamieszać twoją spokojność, a ona jest mi tak droga! Niech je ogień zniszczy, ale niech twoja ręka ten ogień roznieci... ja nie miałbym odwagi palić to, co stanowiło zbiór moich najprzyjemniejszych marzeń... Ale w zamian... powróć mi moje... wiesz dobrze, że nie lękam się o siebie... ale dopóty nie będę o twój los spokojnym, dopóki nie będę wiedział, że go już nic narazić nie może.

L E O N I D A. *(ze łzami w oczach)*

A więc zrywasz te słodkie ogniwa?

G A S T O N. *(zmieszany)*

Nie... nie... ale tak rozsądek każe...

L E O N I D A.

Rozumiem cię panie... Ah!... Gaston!...

SŁUŻĄCY. *(wchodzi)*

Powóz pana zajechał na dziedzienniec.

G A S T O N.

I cóż Leonido?

L E O N I D A.

Dziś je odbierzesz.

SCENA III.

CIŻ I PARAVIÉDES.

P A R A V I É D E S

Jesteś tu mój kochany Gastonie!... ah!... miałem posłać po ciebie, mam z tobą pomówić.

GASTON. (*n. s.*)

Przynosi mi śmierć lub życie.

P A R A V I É D E S

Dzień dobry, moja kochana Leonido... wydasz mi się być niespokojną... czy cierpisz?

L E O N I D A.

Tak... cokolwiek, i...

PARAVIÉDÉS. (*z troskliwością*)

Marjo, Piotrze... jak najprędzej po doktora, wzięść karete, niech natychmiast przyjedzie.

L E O N I D A.

To niepotrzebne... tylko lekka słabość.

P A R A V I É D E S.

Tak się lękam o twoje zdrowie... panie Gastonie, jak będziesz miał żonę, przekonasz się, jak nieznacznie przywiązujemy się do tych niewdzięcznych istot, które nas nieraz potępiają, a bez których niepodobna się obejść... to nasz byt, nasze wszystko...

G A S T O N.

Nie każdy jest tak szczęśliwy znaleźć Leonidę.

P A R A V I É D E S.

Ah, pochlebco!... ale przyznaję... mało takich jak ona... Idź, spocznij sobie, a jak ukończymy nasze interesa, któreby cię nie bardzo zabawiły, interessa handlowe... może ci przyśle Gastona, naszego wspólnego przyjaciela, nie będziesz się nudzić sama.

GASTON. (*n. s.*)

Ta ufność mię zabija — oh! tak, moje postanowienie niewzruszone.

P A R A V I É D E S.

No, zostaw nas. (*całuje Leonidę w czoło, ona odchodzi.*)

SCENA IV.

PARAVIÉDES, GASTON, później SŁUŻĄCY.

G A S T O N.

I cóż? jaka wiadomość?

P A R A V I É D E S.

I cóż? właśnie wracam od Baronowej d'Ombre.

G A S T O N.

A skutek?...

P A R A V I É D E S.

Czekaj... postępujemy porządkiem. (*bierze listy leżące na stoliku i otwiera z nich kilka.*)

Ah! z Marsylji, zobaczmy... „Statek Fortuny”.

już pod żagle; sztafeta wyexpedjowana, natychmiast po wypłynieniu, przybędzie, najpóźniej kilka godzin po oddawcy tego listu. • Dobre nowiny. Gastonie, dziś jeszcze będziesz bogatym.

G A S T O N.

A pani Beronowa d'Ombre?

P A R A V I É D E S.

Otóż mamy!... głowa młodego... dziś dzień stanowczy, pozwólże mi poinformować ze sobą rozsądnie... Gastonie de Sevigny... porzuciłeś twoje powołanie i wzięłeś się do handlu...

G A S T O N.

Nie mówmy o tem... Jednakże komuś przez myśl przeszło, że Gaston, dawniej oficer, dziś w przybyciu okrętu oczekuje swojego szczęścia, lub rozpacz, i nic dziwnego... strata 50,000 franków dla ciebie byłaby drobnostką... ale dla mnie, to cały mój majątek.

P A R A V I É D E S.

Dla czegoż pokochałeś stworzenie Bernonowej d'Ombre, kobiety, która o sobie tylko myśli, która poświęciłaby wszystko dla kilku tysięcy więcej... powierz mi twoje połączenie. Mam 50,000 franków, powiadasz do mnie... ale

Tom V.

7

dla Baronowej ta summa wydaje się za szcuppłą; ona żądałaby przynajmniej trzy razy tyle, aby mię połączyć ze swoją siostrzenicą.

G A S T O N.

A wtenczas z jakąż wspaniałością ofiarowałeś mi tę spekulacją, która może o czterykroć zwiększyć mój skromny majątek...

PARAVIÉDES. (z dobrocią)

Widziałem cię w takiej rozpacz... tak, zdaje mi się, że ten interes nie może omylić i dziś wieczorem dwakroć sto tysięcy będziesz mógł złożyć u stóp Baronowej.

G A S T O N.

A od chwili kiedy moje ubogie mienie wystawione na obrót fortuny, któż mi dopomaga ukazywać się przed światem z godną mojego stanu świetnością, która zachwyca Baronową... ty...

P A R A V I É D E S.

I na cóż mielibyśmy przyjaciół, gdybyśmy ich nie znajdowali w potrzebie? A więc, widziałem się z Baronową... ah! nie śmiesz mi już przerwać... obawiasz się, abym odetchnieniem nie przyćmił tego zwierciadła. w którym chciałbyś widzieć wszystko... Dobrze czynisz ...Margrabia

de Salne, mający lat 60, bogacz milionowy, ma dziś wieczór zaślubić pannę Fanny d'Ombre.

G A S T O N.

O nieba! co mówisz?

P A R A V I É D E S.

Ma zaślubić... ale jej nie zaślubi... bo jeżeli, co pewna, wiadomość, której oczekujemy będzie przyjazna, dziś wieczór szczęśliwy Gaston, zaślubi pannę Fanny d'Ombre!

G A S T O N.

Ah!

P A R A V I É D E S.

Trzeba dobrze prowadzić twoje interessa; ponieważ dotychczas nie ośmieliłeś się wyznać twojej miłości młodej osobie... cóż to drzysz!... wstydź się... Przeczuwając, że tu już znajdę list, prosiłem pani Baronowej, aby mnie odwiedzić raczyła... bankiera!... to nie kompromituje... a tem bardziej, że to małżeństwo uważa jako interes pieniężny... przybędzie więc do mnie za kilka chwil z Fanny... Otóż mamy, znowu drzenie, ja z panią Baronową pójdę do ogrodu. Fanny tu nas oczekiwać będzie, pan Gaston ukryty w tym gabinecie... i kiedy my załatwiać będziemy interessa pieniężne, ty staraj się pozyskać serce siostrzenicy, i odważ się oświadczyć...

G A S T O N.

Oh, tyle dobroci... jak zawdzięczyć.....

P A R A V I É D E S.

Nieprawdaż, to zabawnie widzieć, jak 50letni starzec używa wybiegów młodzika, aby podać sposobność widzenia się dwojgu kochankom... bo też ciało liczy już pół wieku... ale dusza zawsze jeszcze młoda. Kocham Leonidę jak bóstwo, i dla tego pojmuję twoje cierpienie..

GASTON. (*n. s.*)

I ja miałebym teraz zdradzać tego szlachetnego przyjaciela... raczej umrzeć... a potem Fanny... Fanny... oh! tracę głowę.

S Ł U Ź A C Y.

Panie d'Ombre.

P A R A V I É D E S.

Spieszę je przyjąć, ty prędko do gabinetu.

(*Gaston wchodzi do gabinetu. Paraviédès idzie na spotkanie dam*)

SCENA V.

BARONOWA, FANNY, PARAVIÉDES.

PARAVIÉDES. (*podając rękę Baronowej*)

Ah, pani Baronowo! Ten pośpiech, z jakim raczysz odwiedzić bankiera Paraviédès, jest dla mnie bardzo pochlebnym.

B A R O N O W A.

Wiesz pan, że nie wiele mamy czasu do stracenia, i że dzisiejszy wieczór nawet...

FANNY. (*n. s.*)

Mniemałam, że go tu znajdziesz.

P A R A V I É D E S.

Panna zapewne nie wie jeszcze o co tu idzie... zdaje się, że powinna wiedzieć o wszystkiem.

B A R O N O W A.

A to dla czego? Fanny wie dobrze, że ja tylko jej szczęście mam na względzie, i z ufnością prowadzić się pozwoli swojej ciotce.

FANNY. (*trwożliwie*)

Tak jest, pani Baronowo.

P A R A V I É D E S.

A więc, ponieważ pani żądasz tego, zamilczę, ale przejdźmy do ogrodu... (*podaje rękę Baronowej*) Panna mi przebaczy... są tu dzienniki mody, zabaw się, przejrzyj; moja żona wkrótce służyć jej będzie. Ah, pozwól mi pani wziąć ten list, o którym wspominałem... (*do Fanny*) Przykro mi, że...

B A R O N O W A.

Bez tych wymówek Panie Paraviédés... Fanny, zaczekaj tu na nas. (*wychodzą.*)

SCENA VI.

FANNY, później GASTON.

FANNY.

Cóż tu układają przeciwko mnie? drzę cała... a on... a on... spodziewałam się, że go tu zobaczę... oh! czy też choć pomyśli o mnie?

GASTON.

Fanny! Boże! dodaj mi odwagi! (*głośno*)
Pani!...

FANNY.

Pan tutaj... pozwól mi oddalić się...

GASTON.

Mój widok przestrasza panią... przebacz, przebacz... ja odchodzę.

FANNY. (*prędko*)

Przestraszał... nie, nie, panie Gastonie, mylisz się.

GASTON.

Pozwalasz mi więc zostać?

FANNY.

Tego nie powiedziałam.

GASTON.

Fanny, od balu w St. Germain, gdzie miałem szczęście tańczyć z tobą, pierwszy raz widzę cię samą... miałem ci tysiąc rzeczy powiedzieć, a teraz wyrazy nikną, myśli mieszają się, i nie mogę znaleźć ani jednego słowa...

F A N N Y.

Uspokój się panie Gastonie... no... i cóż miałeś mi powiedzieć?...

G A S T O N.

Czy przypominasz sobie pani ten bal?

F A N N Y.

Oh! tak, przypominam sobie; ja, która pierwszy raz, opuściwszy zakład królewski w St. Denis, znajdowałam się na tym wieczorze... z jaką rokoszą tańczyłam... te światła, te bogate ubiory, wszystko było nowém dla mnie... ale co nie może wyjść z mojej pamięci, to ta dama tak piękna, czarno ubrana, Hiszpanka, jak mówiono, która ściagnęła na siebie wszystkich spojrzenia wdziękiem, jaki się rozlewał w całej jej postaci, gdy wykonywała taniec swojego narodu; ukryta w tłumie, omal nie zazdrościłam tych holdów, które jej wszyscy sprawiły składali.

G A S T O N.

Tak... zdaje mi się, że przypominam sobie..

F A N N Y.

Oh! pan nie nie powiniećś był zapomnieć, bo widziałam cię, żeś z nią wychodził...

G A S T O N.

Jakto?... widziano?...

FANNY. (*niewinnie*)

Oh! nie, nie wszyscy... ale ja... i kiedy pan... i kiedy ta Hiszpanka oddaliła się, nie wiem dla czego, ale już się nie bawiłam więcej... te światła, które wzrok mój ćmiły... zdawały się niknąć; te ubiory, które mi się wydawały tak piękne, już mię nie zajmowały, i kiedy moja ciotka wspomniała o wyjeździe, byłam szczęśliwa, ja, której zdawało się, że ten bał z żalem opuścę.

G A S T O N.

Dla tego też za powrotem napróżno szukałem mojej pięknej tancerki, już jej nie było. Od tej chwili jużem jej nie widział bez świadków... i gdyby nie przyjaźń pana Paraviedes...

F A N N Y.

Czy pan znasz tego, który zawsze ma tyle do mówienia na osobności z moją ciotką?

G A S T O N.

Bezwątpienia; mówi on teraz o mojem przyszłem szczęściu. (*n. s.*) Tak, odważę się wyznać, ile ją kocham. (*głośno*) Dowiedz się Fanny!...

SCENA VII.

CIŻ, LEONIDA.

LEONIDA. (*n. s.*)

Byłam tego pewną!

GASTON. (*n. s.*)

Leonida! Ah, co to za traf nieszczęsny!

FANNY.

Co widzę! piękna Hiszpanka z balu w Saint Germain?

LEONIDA.

Zona bankiera Paravièdes.

FANNY. (*n. s.*)

Zdawał się z trudnością przypominać sobie tę damę... co to znaczy?

LEONIDA.

Nie zapomniałaś więc panna...

FANNY.

Tęgo tańca, takim ozdobionego wdziękiem! tak wolnego od przesady! wszyscy mężczyźni uwielbiali panią.

LEONIDA.

Tak, wszyscy otaczali mię hołdami... inna kobieta byłaby dumną z tego... (*spoglądając troskliwie na Gastona*) chciałam się tylko jednemu podobać.

FANNY. (*niewinnie*)

Twojemu mężowi, nieprawdaż.

LEONIDA. (*zawstydzona*)

Tak... tak... mojemu mężowi... ale jak się to stało, że panna tutaj sama się znajduje?

FANNY.

Moja ciotka jest w ogrodzie z mężem pani;
miała tylko chwilę zabawić, idę więc...

LEONIDA.

Prócz tego, jakież może mieć dla ciebie
skrytości?

FANNY. (*odchodząc, n. s.*)

Nie wiem dla czego, ale ta kobieta niepodo-
ba mi się.

SCENA VIII.

GASTON, LEONIDA.

GASTON. (*n. s.*)

Ah, gdyby Leonida...

LEONIDA. (*n. s.*)

On ją kocha! byłam tego pewną.

GASTON.

I cóż... czy myślałaś?... te listy?...

LEONIDA.

Ah! masz dobrą pamięć, oto są... (*Gaston
odbiera*) Ale Gastonie, nie wyrównać nie zdo-
ła mojej obawie, dwóch brakuje.

GASTON.

Czy podobna?... jesteś pani pewną Marji?

LEONIDA.

Były w ukryciu mnie tylko wiadomem, nie
pojmuję co się z niemi stało?

G A S T O N.

Oh! pani je wynajdziesz!.. nie wątpię... (*chce wyjść.*)

L E O N I D A.

Zatrzymaj się Gastonie, chcę tego... Jakto! gdy idzie o stratę, która może narazić mój honor, moje życie... ty...

G A S T O N.

Powrócę, powrócę... muszę... już za późno... Baronowa d'Ombre! drżą cały.

SCENA IX.

CIZ, PARAVIÉDES, BARONOWA, FANNY.

B A R O N O W A.

A więc Panie Paraviédés, oczekuję cię dziś u siebie z twoją małżonką!... Ah, pan Gaston tutaj!

GASTON. (*n. s.*)

Tracę siły.

BARONOWA. (*z wdziękiem*)

Uczynisz nam pan ten zaszczyt i raczysz towarzyszyć panu Paraviédés?

G A S T O N.

Co słyszę?

B A R O N O W A.

Dziś w wieczór u mnie.

Paraviédés odprowadza damy. Gaston spogląda za Fanny, pełen najwyższej radości. Leonida chwytą go za rękę z mocą.

L E O N I D A.

Gastonie! dwóch listów brakuje.

G A S T O N.

Oh, pani je wynajdziesz... (n. s.) Ja! ja! u niej; w domu jej ciotki!... ah, głowę tracę!...

L E O N I D A.

Te dwa listy... któż je mógł wziąć?...

G A S T O N.

Ponieważ tylko pani sama znalazłaś to ukrycie...

P A R A V I E D E S. (*wraca*)

Zwycięztwo! zwycięztwo Gastonie.

G A S T O N.

Oh, jakże ci zawdzięczyć, ty jesteś mojem bóstwem opiekuńczem.

P A R A V I É D E S

Dalej, siadaj w tilbury, przebierz się; za godzinę czekam tu na ciebie... (*Gaston odchodzi*) Ah Gastonie! dwa słowa... (*cicho*) będą grać.. nasza upragniona wiadomość niebawem nadejdzie; ale może te sunny nie będą zaraz mogły być do twego rozrządzenia, weź ten pugilares... jest w nim kilka biletów tysiąc-frankowych... pan młody powinien się pokazać i przegrywać wspaniale.

G A S T O N.

Każdy twój postępek zdumiewa mię, zawstydzają... ale jakimże sposobem zdołałeś?...

P A R A V I É D E S.

Sposobem bardzo prostym... Dziś wieczór miano podpisać intercyzę ślubną z margrabią de Salné, pokazałem jej list, który mi donosi, że za kilka godzin... ty także będziesz bogatym, umiałem jej przedstawić twoje zalety, nic dobrego, i...

G A S T O N.

Paraviédes... moje życie do ciebie należy.

P A R A V I É D E S

Zobaczemy, zobaczemy... Dalej, śpiesz przebrać się. (*Gaston wychodzi pełen radości*)

SCENA X.

PARAVIEDES, LEONIDA.

LEONIDA. (*n. s.*)

Odchodzi, nie pomyślawszy nawet, że mi zagraża śmiertelne niebezpieczeństwo... nie kocha mnie!... niewdzięczny... oh, moja głowa... moja głowa!...

P A R A V I É D E S.

Ten dobry Gaston, jak szczęśliwy!... Leonido, to wszystko powinno ci się niepojętem wydawać; bo prowadziliśmy rzecz całą w najgłębszej tajemnicy. Ale teraz chcę ci opowiedzieć...

L E O N I D A.

Wiesz dobrze, że nie jestem ciekawą... a potem muszę pomyśleć o moim ubiorze.

Tom V

8

P A R A V I É D E S.

Ah! mamy czas. Wyobraź sobie, ten biedny Savigny kocha Fanny do szaleństwa.

LEONIDA. (n. s.)

Boże! dodaj mi odwagi.

P A R A V I É D E S.

Miał zbyt szczupły majątek, aby pomyśleć o posiadaniu jej ręki, 50,000 franków! mojem staraniem ten kapitał do dwóchkroć się podniesie, i wydrę Fanny Margrabiemu de Salné, temu 60-letniemu starcowi, który był tak bezwstydnym, że chciał zaślubić.....

L E O N I D A.

Pozwól mi udać się do mojego pokoju, i...

PARAVIÉDES. (*śmiejąc się*)

Przyznaj sama, czy to nie jest bezwstydnosc chcieć połączyć wiek, który się kończy, z wiekiem, który się zaczyna? Wiem dobrze, że mogłabyś mi powiedzieć: a ty?... Ah! ja... to co innego... ja znalazłem skarb, kobietę, której podobną nie łatwo znajdzie w pośród dam francuzkich. Tak, jeżeli uczułem w sobie słabość margrabięgo de Salné, to dla tego, że cię znałem, że czułem w sobie cały ogień młodości, i moc charakteru... Ten de Salné, jego żona pewnie-

by go zwiódła... i cóżby uczynił?... zrodzony w tym ciepłym kraju, przyjąłby to może obojętnie... możeby płakał. Ja czułem, że gdyby moja żona zwiódła mię kiedy, dwudziesto-letni młodzieniec z mniejszym zapalem dążyłby do zemsty; byłaby to dla niej i dla niego śmierć ciągła, bez przerwy, śmierć moralna wszystkich chwil ich życia... i wtenczas dopiero, kiedyby im łez zabrakło, wtenczasby dopiero krew sączyć się zaczęła...

LEONIDA. (*n. s.*)

Ah! dreszcz mię przejmuje.

PARAVIÉDES. (*śmiejąc się*)

Ale widzisz, ja najłagodniejszy z ludzi, unoszę się na samo przywidziane nieszczęście; lecz nie chcę zatrzymywać cię dłużej.. Oh, proszę cię, ubierz hiszpańską suknię, jedną z tych, w których ci tak pięknie... które mi tak przypominają mój kraj.

LEONIDA. (*wychodząc*)

Oh, te listy!... co się z niemi stało?...

SCENA XI.

PARAVIÉDES, później SŁUŻĄCY.

PARAVIÉDES. (*siada przy biurku.*)

Cztery godziny, nie ma czasu do stracenia.

(*pisze, potem dzwoni, służący wchodzi*) Czy Pedro już jest?

S Ł U Ż A C Y.

Tak panie.

P A R A V I É D E S.

Dobrze, niech będzie gotów. Wię co ma czynić, i jak tylko pan Gaston de Savigny wjedzie na dziedziniec, niech wykona moje rozkazy...

S Ł U Ż A C Y.

Rozumiem! (*wychodzi*)

P A R A V I É D E S.

Ten kochany Gaston...jak długo się ubiera! chce się przedstawić jak najkorzystniej... A ja, czyliż odniosę żądany skutek?... Oh! tak, tyle zabiegów nie spełznie na niczem... Tego poranku już klęczałem na zimnym marmurze w kościele... w chwili stanowczej, drzę jeszcze. (*odstania niszę w murze, w której jest umieszczony obraz świętego*) Nierozważny, gdyby kto wszedł... żartowanoby z pobożnego Hiszpana, który szczerze wierzy, w tym kraju, gdzie w nic nie wierzą. (*zamyka drzwi i klęka przed wyobrażeniem świętego*) Opiekunie mojej rodziny, ty widzisz mię z górnego twojego pobytu, czy

pochwalasz mię?... Oh, tak! czuję to po radosnej spokojności, której doświadczam dzisiaj, a której tak długo byłem pozbawiony... (*połączony w modlitwie klęczy; kiedy słysząc turkot pojazdu, przebudza się z zamyślenia*) To Gaston!... (*zasłania niszę, i otwiera drzwi*)

SCENA XII.

PARAVIÉDES. GASTON później SŁUŻĄCY.

GASTON. (*wchodzi ubrany balowo*)

I cóż, czy długo dałem na siebie czekać mój przyjacielu?

PARAVIÉDES.

Oh! nie. Niechże ci się przypatrzę!... Jakże ci pięknie w tym ubiorze... Ta postać szlachetna... ten wyraz szczęścia rozlany w całej twarzy..

GASTON.

Bo też jestem prawdziwie szczęśliwym! Przepędzić wieczór obok Fanny, mówić jej o mojej miłości; nie obawiać się powiedzieć: Fanny, poświęcam ci serce zupełnie tobie oddane... majątek, podwójnie drogi, ponieważ mi go pozyskał przyjaciel, ojciec... i ta, która może władać mojem życiem, władać będzie moim majątkiem, mającym dla tego tylko cenę

w moich oczach, że mi pozwala nazwać cię żoną.

P A R A V I É D E S.

Ta małżonka jakże cię uczyni szczęśliwym, tak dobra!

G A S T O N.

Piękna!

P A R A V I É D E S.

Skromna.

G A S T O N.

Tak niewinna!

P A R A V I É D E S.

Będzie dobrą matką... A jakie wasze dzieci będą piękne! Zdaje mi się, że je widzę, jak drobnymi paluszkami bawią się z jedwabnemi włosy twojej żony, ty klęcząc przy niej, wpatrujesz się w ten obraz godny pędzla Rafaela.

G A S T O N.

Dosyć, dosyć mój przyjacielu!... chcesz, ażebym rozum utracił ze zbytku szczęścia!

SŁUŻĄCY. (*wchodząc*)

List do pana!

PARAVIÉDES. (*żywo*)

Ah, daj! z Maisylji!... (*do służącego*) Poproś mojej żony do tego pokoju, niech podziela powszechną radość.

GASTON. (*drżąc*)

A gdyby też los zawiódł nasze nadzieje!

PARAVIÉDES.

To niepodobna!... nazbyt przezornie postąpiłem. (*otwiera list*) »Kochańcy i szanowny Paraviédès, okręt twojem staraniem wysłany w porę pomyślną przybył do Hawanny. Sprzedaz towarów przewyższyła twoje nadzieje... »

GASTON.

Co za szczęście!

PARAVIÉDES.

»Twój pełnomocnik za 6 razy większą sumę spieniężył wszystko.»

GASTON. (*rzucając się w jego objęcia*)

Ah mój przyjacielu!... Fanny jest moja!

SCENA XIII.

CIŻ, LEONIDA, później SŁUŻĄCY.

LEONIDA.

Kazałeś mię prosić...

PARAVIÉDES.

Tak, abys była świadkiem szczęścia naszego przyjaciela Gastona. Zaślubi dziś wieczór nawet tę, którą kocha.

GASTON.

Zaledwie oddychać mogę z radości.

LEONIDA. (n. s.)

O niej tylko myśli!... a ja!...

(*Paraviédès uśmiechając się, gdy go Gaston ścisła.*)

P A R A V I É D E S.

A o mojej żonie, zapominasz.

G A S T O N.

Ah, przebacz pani! (*idzie do niej*)

LEONIDA. (n. s.)

A listy?

G A S T O N.

Nie lękaj się pani... wynajdą się... Dzisiaj tylko radość mię zajmuje.

LEONIDA. (n. s.)

Niegodny!

G A S T O N.

I czy donoszą, że wkrótce?...

PARAVIÉDES. (*uśmiechając się*)

Nie pozwoliłeś mi dokończyć... »za sześć razy większą summę spieniężył cały ładunek, ale »ten nieczemny człowiek nadużył twojego zaufania. Sprzedawszy wszystko, wsiadł skrycie »na okręt; nie wiadomo co się z nim stało, i »z najżywszą boleścią donoszę ci, że nie ma żadnej nadziei, aby go doścignąć moźira.«

G A S T O N.

Ah!

LEONIDA. (*n. s. z radością*)

Jestem pomszczoną!

GASTON. (*wydzierając list*)

To niepodobna, tam nie ma tego, nie może być! (*czyta*) Ah nieszczęśliwy!...

PARAVIÉDES.

To zdarzenie okropne... ale odważnie.. pójdźmy do pani d'Ombre, nim ta fatalna nowina dojdzie jej wiadomości... raz dane słowo... będziemy mogli...

GASTON.

Byłoby to oszukać ją...

PARAVIÉDES

Wolisz więc utracić Fanny?

GASTON.

Ah ta myśl!... jedźmy przyjacielu!

PARAVIÉDES. (*wołając*)

Prędko, założyć konie...

SŁUŻĄCY.

List do pana Gaston de Savigny.

GASTON.

Dawaj! (*czyta*) »Baronowa d'Ombre ma zaszczyt uwiadomić pana o połączeniu swojej »siostrzenicy z Margrabią de Salne.« (*pada na krzesło*) Ah!

PARAVIÉDES.

Gastonie, Gastonie! jakaż przyczyna tej roz-

paczy?... może ci złota potrzeba, chętnie ci pożyczę...

GASTON. *(w rozpaczy)*

Zaślubiona! zaślubiona!...

PARAVIÉDES.

Uspokój się!...

GASTON.

Zostaw mnie, już nie ma przyjaźni, już nie ma nic dla mnie na świecie...

PARAVIÉDES.

Pociesz go Leonido, może będziesz miała nad nim więcej władzy jak ja.

LEONIDA. *(zbliżając się do niego)*

Czujesz teraz, co to jest cierpieć?

GASTON.

Oddał się, ty powlokłaś nieszczęściem całe moje życie.

LEONIDA. *(bez sił prawie)*

Ah, to cios najdotkliwszy... *(oddala się z boleścią)*

PARAVIÉDES. *(zadowolony, wybuchając przymuszonym śmiechem, mówi do siebie)*

Gastonie! ty czyniłeś sobie igraszkę z mojego serca! ah, oto masz odwet. Gastonie, wydarłeś mi honor!... teraz na mnie kolej twojego cię pozbawic. *(zbliża się do Gastona i stara się go przywrócić do życia. Zasłona spada.)*

AKT II.

(Scena przedstawia przepyszny ogród, w głębi taras, dający widok na wieś.)

SCENA I.

BARONOWA, PANI DE SALNÉ (ubrana czarno), RIBIÉ.

PANI DE SALNÉ.

Ja tak chcę, bez uwag!

RIBIÉ.

Ale niech pani pozwoli zwrócić łaskawie uwagę, że teraz mamy wielu włóczęgów, ludzi podejrzanych, i codziennie prawie straż...

BARONOWA.

A potem, możemy na inny czas odłożyć naszą przechadzkę.

PANI DE SALNÉ.

Nie, dziś jeszcze chcę obejrzeć piękny most du Gard i pojedziemy... Powiedz Franciszkowi, że pojedzie z nami.

R I B I É.

Ale on tak niezręczny.

P. DE SALNÉ. (z niegrzecznością)

Każ zaprzęgać, i powiedz Franciszkowi, aże-
by był gotów.

R I B I É.

Ha! ponieważ taka wola pani!... (wychodzi)

SCENA II.

BARONOWA, P. DE SALNÉ, później RIBIÉ.

B A R O N O W A.

Prawdziwie, nie poznaję cię Fanny.

P A N I D E S A L N É.

Kochana ciotko, byłam zawsze posłuszną two-
im radom, ale postaw się na mojem miejscu;
sześć lat spędziłam w towarzystwie starego mę-
ża, którego słabość zawsze zatrzymywała w do-
mu i w towarzystwie twojem... teraz kiedy jestem
wolną, niechże przynajmniej odzyskam czas
stracony.

B A R O N O W A.

Czyliż dla tego masz bezustannie zwiedzać
wszystkie miejsca?...

P A N I D E S A L N É.

Czuję, że ta niezwykła czynność ożywia mo-
je siły; za kilka miesięcy wrócę do Paryża, któ-
regom od sześciu lat nie widziała... z jakąż
przyjemnością powezmę wiadomość o dawnych
moich znajomych.

B A R O N O W A.

O panu Gaston, o którym nie wierzy dotąd?... który może ożenił się...

P A N I D E S A L N É.

Nie, moja ciotko, on nie ma żony... Ah, gdybyś była usłyszała tak jak ja ten krzyk rozpaczy, kiedy u stóp ołtarza, wymawiałam słabym głosem przysięgę Margrabiemu de Salné..... ten krzyk, słyszę go jeszcze, dusza go wydała... oh, moja ciotko, głowa może się czasem zapomnieć, ale dusza nigdy.

B A R O N O W A.

Gdyby tak było jak mówisz, byłby się starał widzieć cię; w każdym względzie, twoje szczęście miałam na celu.

P A N I D E S A L N É.

Powiedz raczej moja ciotko, że chciałaś mieć moje szczęście na celu, a uwierzę ci... ale, sama się przekonywasz, że nasze rozmowy zawsze przybierają smutną barwę. Idźmy raczej zwiedzić ten most, jego śmiałe arkady...

B A R O N O W A.

A jeżeli napotkamy bandę?...

P A N I D E S A L N É.

Tem lepiej, za kilka sztuk złota, będziemy

Tom V.

9

świadkami ich tańców żywych, oryginalnych, na które patrzą z takim upodobaniem.

RIBIÉ. (*wchodząc*)

Powóz już zajechał.

PANI DE SALNÉ.

Dobrze. Jeżeliby czcigodny pan Vernauł przyszedł, powiedz, że byłabym go sama odwiedziła, gdyby nie mieszkał tak blisko człowieka z czerwonego domu, i że go oczekuję na obiad.

RIBIÉ.

Dobrze pani.

PANI DE SALNÉ.

Jeżeliby zaś wrócił tu jeszcze ten ograniczony strażnik, względem zwyczajnych wywiadywań się, powiedz mu, że mię nudzi, że go proszę, aby nie tak często tu przychodził.

RIBIÉ.

Dobrze pani.

PANI DE SALNÉ.

Jedźmy moja ciotko. (*wychodzi wesolo, ciotka za nią*)

SCENA III.

RIBIÉ. (*sam*)

Jaka żywość! jaki ogień!... ale prawdę powiedziała, że pan Guisgnac, strażnik, przychodzi ra-

częściej dla przeglądania piwnic, jak dla przeglądania paszportów zbyt rzadko ukazujących się podróżnych.

SCENA IV.

RIBIÉ, GUIGNAC.

G U I S G N A C.

Ah, witam, nie ma tu co nowego?

R I B I É.

Ah, to ty panie Guignac, właśnie myślałem o tobie.

G U I S G N A C.

Niezmiernie wdzięczny, ale może myślałeś co złego, natychmiast cię aresztuję!..

R I B I É.

Spojrzyj tylko na mnie i na siebie..

G U I S G N A C.

To prawda, a więc idę po pomoc wojskową.

R I B I É.

Nie spiesz tak bardzo, oto lepiej spróbujemy, czy wino bardzo się zestarzało od wczoraj.

G U I S G N A C.

Słusznie, lubię cię kiedy tak mówisz. Oh, bo to do mnie należy, ja muszę wiedzieć wszystko, wiedzieć wszystko, na nic nie mam względu. *(tu wchodzi Vernaut, człowiek około lat 60 mający)* Jabym aresztował mojego ojca, moją

matkę, dziecię w kolebce, gdyby zaw¹niło. Niech-
by tylko jakikolwiek człowiek podejrzany wszedł
do mnie, wnet bez skrupułu...

SCENA V.

CIŻ I VERNAUT.

VERNAUT.

Czy tak panie.....

GUISGNAC.

Ah, to pan Vernaut.

VERNAUT.

Jesteś więc nieubłagany.

GUISGNAC.

Ja! jestem jak owieczka co się tyczy dobro-
ci, ale kiedy idzie...

VERNAUT.

Już wiem... wiem... nie mówmy o tém. Czy
Panie są w domu?

RIBIÉ.

Nie, wyjechały przed chwilą. I dziwi mię, że
ich pan nie spotkał?...

VERNAUT.

Zatrzymałem się dosyć długo przy kaplicy...
przed drzwiami jej klęczał młody człowiek, naj-
więcej trzydzieści lat mający, modlił się tak
gorąco, z takim uczuciem, że zdawało się wy-
raźnie, iż był opuszczony od wszystkich. Tak

rzadką jest teraz rzeczą, widzieć młodego człowieka pobożnego, że obawiałem się przeszkodzić mu w jego uniesieniu religijném. Ale tę postać mężką, te wydatne rysy, mam obecne w mojej pamięci; wszystko za nim przemawiało na jego korzyść, i na jedno jego słowo, byłby miał we mnie przyjaciela.

G U I S G N A C.

Młody człowiek, lat trzydzieści, rysy wydatne... idę... biegnę...

R I B I É. (*cicho*)

A owa butelka, którą mieliśmy spróbować?...

G U I S G N A C. (*cicho*)

Aj prawda, butelka... ale jak tylko wypróbujemy... biegnę co tchu...

R I B I É.

Pani poleciła mi także oświadczyć panu, iż dla tego tylko nie odwiedziła cię, że mieszkasz tak blisko człowieka z czerwonego domu.

V E R N A U T.

Jako! czy i te damy podzielają trwogę, jaką przenika człowiek, który nikomu nic złego nie uczynił? Chce żyć samotnie, i to za zbrodnię w nim uważają.

9*

G U I S G N A C.

Samotnie! a jego towarzysze z koguciami nogami, bo nikt nie wątpi o tém, że to djabeł.

VERNAUT. (*uśmiechając się*)

A ja zaręczam wam, że on się zbyt lęka szatana, aby miał sam nim zostać. W naszych rozmowach, bezustannie wspomina mi tylko o męczarniach piekieł, a ja mówię mu o słodyczy niebios. Jest to człowiek bardzo pobożny, nie zasługuje wcale na zdanie, jakie o nim mają.

G U I S G N A C.

Wiem tylko, że z nie wielką ochotą poszedłbym do niego pytać o jego papiery... (*cicho do Ribie*) Sprawy publiczne wzywają mię. Spiesz się panie Ribie, jeżeli chcesz...

R I B I E.

To prawda. (*głośno*) Panie Vernaut, pani margrabina wkrótce powróci, jeżelibyś pan chciał...

V E R N A U T.

Zaczekać na nią? chętnie; jeżeli masz jakie interessa...

G U I S G N A C.

Tak jest panie, Ribie ma bardzo ważne interessa. (*cicho*) A jakie dasz wino?

R I B I E. (*cicho*)

Najlepsze.

GUISGNAC. (*żywo*)

Nie masz ani chwili czasu do stracenia! Pojźmy! (*wychodzą*)

SCENA VI.

VERNAUT. (*sam*)

Zaczekam jeszcze czas niejaki na przybycie tych dam, a jednak przyrzekłem człowiekowi z czerwonego domu, jak go nazywają, wkrótce powrócić. Przyznaję, że choć nie podzielałam przestרחu, jaki on obudza w mieszkańcach całej wioski, jednak radłbym poznać jego tajemnicę! Tak, w życiu tego człowieka jest albo wielkie nieszczęście, albo wielka zbrodnia. Bóże wspieraj mię; jeżeli był nieszczęśliwym, udziel mi wyrazów dla jego pociechy; jeżeli występny, niech w jego łonie obudzę żal prawdziwy... Co widzę... tak... otóż i pani margrabina z ciotką, jakież pomieszanie na ich twarzach; jeżeli się nie mylę, ten pobożny podróżny im towarzyszy.

SCENA VII.

VERNAUT, PANI DE SALNE, BARONOWA,
GASTON, WIESNIACY.

(*Gaston blade, włosy krótkie, faworyty gę-*

ste, zasłaniają twarz jego, kapelusz tyczkowy, z torbu.)

P A N I D E S A L N É.

Ah to ty panie Vernaut! Złóźmy niebu dzięki, ocaliło mię z wielkiego niebezpieczeństwa, i pozwoliło mi na nowo zobaczyć przyjaciela.

B A R O N O W A.

Chwała Bogu, już jesteśmy w zamku.

P A N I D E S A L N É,

Gdyby nie poświęcenie się pana Gaston...

V E R N A U T.

Ocalił was... Podaj mi twoją dłoń; nie pierwszy raz cię widzę!

GASTON. (*zmieszany*)

Gdzieżeś mię pan już widział?

V E R N A U T.

Dziś rano... przed drzwiami kaplicy.

GASTON. (*oddychając*)

Ah!

V E R N A U T.

A więc, podaj mi rękę mój dawny przyjacielu, bo kto kocha Boga... powinien sprzyjać i tym, którzy jego czei poświęcają życie... odtąd nazywaj mię twoim przyjacielem.

GASTON. (*z wylaniem ściskając mu rękę*)

Mój przyjacielu!

V E R N A U T.

Ale cóż to się paniom stało?

PANI DE SALNE.

Już śmierć pewną była, już polecałam duszę moją Bogu, gdy nieustraszoność twojego przyjaciela panie...

GASTON.

Zbyt wielką wartość nadajesz pani nic nie znaczącej przysłudze...

PANI DE SALNÉ.

Nic nie znaczącej przysłudze? Już nas konie unosiły, co chwila byłyśmy już nad brzegiem przepaści, już na wierzchołku skały, u stóp której rzeka toczy swoje wody, kiedy nagle jakiś człowiek rzuca się przed konie, chwytając za cugle, i silną ręką zmusza je cofnąć się, a nawet wstrzymuje; chcę podziękować mojemu wybawcy i poznać... kogo... Gastona, Gastona... mojego dawnego przyjaciela.

GASTON. (*smutnie*)

Tak... Gaston... on... zawsze on...

BARONOWA.

Wyznaję, żebym go nie łatwo poznała, bardzo zmieniony!

GASTON. (*tonem goryczy*)

Tak pani znajdujesz?

PANIDE SALNÉ, (*z żywością*)

Oh!... nie, nie... moja ciotka tylko tak mó-

wiła. Czyliż uwaga bez żadnej myśli zasmuca pana? jak się we mnie wpatrujesz?

G A S T O N.

Chcę się zapewnić czy nie jestem pod władzą jakich zwodniczych czarów!... (*n. s.*) To Fanny! której tak długo płakałem, która tylko jedna przywiązuje mię do życia!... niech jej się przypatrzę jeszcze!... (*nagle posępna myśl go zajmuje*) Oh!... zapomniałem!... (*w rozpacz*) Zapomniałem o sobie samym.

P A N I D E S A L N É.

Cóż tobie jest?

G A S T O N.

Ah przebacz!... radość... zadziwienie...

P A N I D E S A L N É.

Spodziewam się, że zostaniesz z nami; widzisz tu całe nasze towarzystwo, moja ciotka i ten dobry pan Vernaut, który z nami zapewne ten dzień przepędzi.

V E R N A U T.

Tak moje panie, bo nadzwyczajnym uczuciem jestem przejęty dla niego.

G A S T O N.

Cóż mi potrafiło zyskać tak nagle jego przywiązanie?

V E R N A U T. (*biorąc go na stronę*)

Na twojem czole wyryte jest piętno nie-szczęścia.

G A S T O N.

Oh tak, byłem bardzo nieszczęśliwym!

V E R N A U T.

Oh, my się zrozumiemy!

P A N I D E S A L N E

A więc, kochany panie Vernaut, chciej tu pozostać z naszym wspólnym przyjacielem... ten wypadek sprawił nieco nieładu w moim ubiorze, a chęć podobania się nie utraci swoich praw nawet w odległej wiosce Langwedocji.

G A S T O N.

Ah, dla mnie... ale ta załoba!... czyliż twój stan pani uległ jakiej odmianie?

P A N I D E S A L N E. (*spuszczając oczy*)

Tak jest. Gastonie, już blisko rok, jak pan margrabia rozstał się z tym światem... ale ty, ty, którego nazwisko od sześciu lat zaledwie wspominałam, powiedz mi, jakiz był twój los?

G A S T O N.

Pani...

P A N I D E S A L N E.

Widzę, że chcesz nam szczegółowo opowiedzieć twoje wypadki... a więc za powrotem wyjawisz mi wszystko.

G A S T O N. (*smutnie*)

Wszystko.

P A N I D E S A L N É.

Tak, wszystko, wszystko; panie Vernaut, mam twoje słowo...

V E R N A U T.

Względem czasu który do mnie należy, chętnie; ale ten, który winienem innym... nie zawisł odemnie.

WIEŚNIAK. (*wchodząc*)

Ah, czcigodny ojciec... człowiek z czerwonego domu już kilka razy był u was, zdaje się być bardziej niespokojnym jak zwykle.

V E R N A U T.

Widzisz pani... że nie należę do siebie.

G A S T O N.

Człowiek z czerwonego domu?

V E R N A U T.

Jakiś cudzoziemiec, unikający towarzystwa, ponury, milczący, nie zwraca uwagi bynajmniej na to, co się w okóło niego dzieje, i dla tego właśnie ściąga uwagę wszystkich co się u niego dzieje.

G A S T O N.

Zostań pan... zostań! jakto! dla podobnego człowieka...

V E R N A U T.

On jest nieszczęśliwym... religja stanowi jedyną jego pociechę, napełniając zaufaniem w przyszłości; mamże?...

GASTON. (*prędko*)

On jest nieszczęśliwy. Pan go pocieszasz?..
Oh śpiesz, śpiesz, nie daj mu czekać na siebie.

V E R N A U T.

Wieczorem powrócę. (*odchodzi*)

PANI DE SALNÉ (*odprowadziwszy. p. Vernaut*)

Ty zaczekasz tu na nas Gastonie... w tém album, wszystko dziełem mej ręki; zabaw się przeglądaniem, może niektóre rysunki...

BARONOWA* (*n. s.*)

Powierzchność tego Gastona już mi się nie podoba... czyliby moja siostrzenica?... oh! postaramy się oto, żeby wszystko szło stosownie do mej woli.

PANI DE SALNY. (*oddawszy album Gastonowi, prosi go uprzejmie, aby na nią zaczekał*)

Pójdźmy moja ciotko.

BARONOWA. (*cicho do pani de Salné*)

Ale rozważ tylko moja Fanny, ta postać nędzy.

PANI DE SALNÉ. (*z uśmiechem*)

Oh tém lepiej!... będę mu mogła nagrodzić cierpienia, które moim były dziełem. Boże, dziękuję ci, że mi pozwalasz dopełnić mej powinności. (*wychodzą*)

SCENA VIII.

GASTON. (*sam, po chwili milczenia*)

Nie, to nie jest marzenie... to ja, ja, Gaston...
 Alł, dusza moja napełnia się ogniem tych nowych
 wrażeń; moje siły ożywym ich wpływem od-
 zyskają moc niezwykłą. Powietrze, którem od-
 dycham, jest napojone jej słodkiem odetchnie-
 niem. Te rysunki... to jej ręka nadała im ży-
 cię... Co widzę?... St Germain... tam ją pierwszy
 raz ujrzałem... sala balowa... tak, tam pierwszy
 raz uściskałem jej drżącą rękę w mojej, która
 bardziej drżała jeszcze... Myślała o mnie...
 A tu... widokręg bez granic... jakiś podrózny
 sam... nie ma ani drzewa do schronienia się... ani
 wody, aby się pokrzepić... nikogo nie widzi z lu-
 dzi, sam... zawsze sam.. w około niego pustynia...
 nigdzie ani promienia nadziei... Ah! to ja...zaw-
 sze ja... Fanny... nie zachowasz tego wyobraże-
 nia, albo w głębionego przydasz miejsce gęste-
 mi zacienione palmanij, źródło czystej wody...
 i kobietę... anioła, która oczekuje podróznego,
 i wygładza z pamięci pustynię. Radość przepel-
 nia serce... płaczę... ah! mogę więc jeszcze płą-
 kać! Od pięciu lat... oto pierwsza łza!

SCENA IX.

GASTON, GUISGNAC później RIBIÉ.

G U I S G N A C.

Dla przyjemności nie powiniennem zapominać o moim obowiązku... Idźmy teraz szukać... Ale cóż to za człowiek? byłżeby to?...

G A S T O N.

Odtąd szczęście... szczęście niezmiennione, drogo je opłaciłem!

GUISGNAC. (*uderzając go po ramieniu*)

Mościpanie, proszę o papiery.

GASTON. (*jak pioronem rażony*)

Papiery? (*ciszéj*) moje papiery? Ah! o ja mówilem o szczęściu!

G U I S I G N A C.

Czy mię wacpan nie słyszałeś? twoje papiery?

G A S T O N.

Ja... jestem w domu pani de Salné.

GUISGNAC. (*n. s.*)

Wacha się... to człowiek podejrzany. (*głośno*) Cóż, czy będę je widział?

GASTON. (*n. s.*)

Boże! raczej śmierć...

GUISGNAC. (*porywając go za rękę*)

Nie jesteś posłusznym prawu, aresztuję cię.

GASTON. (*odtrącając go od siebie*)

Któż to ośmiela się podnosić rękę na mnie?

G U I S G N A C.

Ah, ty opierasz się władzy!... twoje nazwisko...
twój stan?...

GASTON. (*zdumą*)

Gaston de Savigny...

G U I S G N A C.

Proszę pójść za mną.

G A S T O N.

Dokąd?

G U I S G N A C.

Do burmistrza.

GASTON. (*n. s.*)

Może to człowiek honoru, będzie miał litość
nademną, i nie będę zmuszony, przed jednym...
(*głośno*) Więc wskaż mi drogę.

GUISGNAC. (*n. s.*)

Ten śmiałek mógłby bardzo łatwo w drodze ..
Co tu zrobić? (*do Ribie, który wchodzi*) słuchaj
każ tu przyjść żołnierzom, którzy na mnie cze-
kają przy drzwiach tego domu. (*Ribie wycho-
dzi z pośpiechem*)

G A S T O N.

I ja mogłem pomyśleć o szczęściu!... szczę-
ście dla mnie!... ah, tak, tak uchodźmy... a gdy-

dopełnię, oddalę się, i nigdy tu nie powrócę,
już nie zobaczę Fanny! Boże dodaj mi siły!

SCENA X.

CIŻ, P. DE SALNÉ, BARONOWA, ŻOŁNIERZE.

PANI DE SALNÉ.

Co to jest?.. Panie Guisgnac...

GUISGNAC.

Dowiesz się pani. (*do żołnierzy*) Brygadje-
rze, czyń swoją powinność, przytrzymajcie tego
człowieka, i...

BRYGADJER.

Proszę z sobą... (*Gaston zakrywa twarz rę-
kami*)

PANI DE SALNÉ.

Co to ma znaczyć? ten pan jest w moim do-
mu. (*Gaston postępuje machinalnie za bryga-
djerem.*)

BRYGADJER.

Ale... to on, który już tego rana...

GASTON. (*spoglądając na niego*)

Ah! tak... zdaje mi się przynajmniej, że tak...

BRYGADJER.

Co pan czynisz, panie Guisgnac; już widzia-
łem jego papiery?

GUISGNAC.

Ale to jest człowiek podejrzany.

B R Y G A D J E R.

Ale co się dzieje panie Guisgnac. (*patrzac na Gastona*) Biedny! koledzy, pójdźmy.

G A S T O N.

Dziękuję ci brygadjerze... (*żołnierze odchodzą z brygadjerem*)

G U I S G N A C.

Co to się dzieje? co to jest?

BARONOWA. (*cicho do pani de Salné*)
Fanny, niedowierzaj temu człowiekowi.

P A N I D E S A L N É. (*wyniosłe*)

Jakiemu człowiekowi?

BARONOWA. (*poprawiając się*)

Panu Gaston... jego postępowanie, jego ubiór...

P A N I D E S A L N É.

Moja ciotko... wzruszenie tego dnia, potrzebujesz spoczynku... może, go pragniesz?...

B A R O N O W A.

Rozumiem; chcesz zostać sam na sam z tym panem... jesteś wolną, panią twoich czynności... ale nie sądziłam, żebyś tę, która tylko twoje szczęście miała na widoku...

P A N I D E S A L N É.

Tak... i oto są jego skutki... młodzieniec, w całej sile wieku, zdrowie... spojrzysz na niego... a ma dopiero lat trzydzieści!...

B A R O N O W A.

Tak, prawdę mówisz... wzruszenie tego dnia... przejdę się po ogrodzie. (n. s.) Oh! musi ztąd oddalić się... ja tak chcę! (wychodzi)

SCENA XI.

PANI DE SALNÉ, GASTON.

PANI DE SALNÉ.

Jesteśmy sami... teraz powierz mi twoje cierpienia... czy wiesz, już utraciliśmy nadzieję zobaczenia cię jeszcze... cóż się z tobą działo?

GASTON.

Opuściłem Francją.

PANI DE SALNÉ.

I dla czego?

GASTON.

Musiałem.

PANI DE SALNÉ. (*spuszczając oczy*)

Jakież zwiedziłeś kraje?

GASTON.

Spytaj raczej, gdzie włókłem moje nędzne życie... we Włoszech.

PANI DE SALNÉ.

I wiele cierpiałeś?

GASTON.

Niestety! tak zjednoczyłem się z cierpieniem, że szczęście dzisiejsze przestrasza mię!... uka-

zało mi się tak nagle, i tak obficie mię napełnia, że nie śmiem wierzyć w jego trwałość.

P A N I D E S A L N É.

Oddal tę wątpliwość.

G A S T O N.

Nie jestem ja zawsze tym Gastonem, którego przytłacza brzemień strasznego przeznaczenia? któremu wszędzie tylko nieszczęście torowało drogę?

P A N I D E S A L N É.

A teraz, czyliż na tej drodze nie napotykasz najlepszej twojej przyjaciółki?

G A S T O N.

I dla czego? aby mi dotkliwiej dać uczuć moje odłączenie od świata... tak, twój widok wynagrodził moje cierpienia... ale pomrok nagły, który następuje po wielkiej jasności, czyliż nie jest większą jeszcze ciemnością?.. To moje przeznaczenie!... (*wyciągając ku niej rękę*) Nie dbam o nie, ten dzień zasilać będzie wspomnienia pozostałych dni mojego życia... i kiedy już cię widzieć nie będę...

P A N I D E S A L N É.

Opuścić mię! (*z wyrzutem*) Ty chcesz mię opuścić!

G A S T O N.

Oh! Fanny... źle zrozumiałem...

P A N I D E S A L N É

Nie chciałżebyś pozostać?... zawsze?

G A S T O N.

Zostać, zostać przy tobie, zawsze, całe moje życie!... Oh! głowa moja pała!... a ja bluźniętem przeciwko tobie Boże! przebacz mi... jeżeli zesłałeś na mnie tyle trosk i dolegliwości, to dla tego, aby szczęście moje droższem i czystem uczynić... Ona mi powiedziała: »zostań tu!...» przeciwny losie!... gardzę tobą... bezwładną twoją potęgą!... Powróć luba wesołości moich pierwszych lat... powróć z całą twoją ułudą... Oh! przekonasz się, że jeszcze dusza moja umie czuć piękności natury... będziemy ją razem uwielbiać... będziemy modlić się razem! Szczęście, miłości... ożywcie to wycieńczone ciało! bo ty nie wiesz Fanny, ile Gaston wycierpiał... ah, samø wspomnienie jest okropuëm...

P A N I D E S A L N É.

Oddalaj smutne myśli.

G A S T O N.

O tak; precz odemnie złowróźbne wspomnienia... przeszłości, wyglądź się z mojej pamięci... niech przyszłość będzie dla mnie tém, czém jest terażniejszość.

PANI DE SALNÉ.

Tak, tak lubię cię słyszeć mówiącego, wyraz twojej twarzy, już nie jest ten sam...

GASTON.

Czyliż i moja dusza nie doznała zmiany?... Ah Fanny... pozwól mi przypatrzeć się tobie... oh jeszcze!... już odtąd nie dotknie cię nieszczęście... ja czuwać będę nad tobą...

SCENA XII.

CIŻ I BARONOWA.

BARONOWA.

Ribié, pozamykać wszystkie drzwi.

PANI DE SALNÉ.

Cóż to jest?

BARONOWA.

Banda cyganów, żebraków, idą na most du Gard, jak mię tylko spostrzegli, zaczęli tańczyć, skakać, aby otrzymać kilka sztuk złota!

PANI DE SALNÉ. (*do Ribié, który chce iść zamykać drzwi*)

Ribié, niech wejdą ci biedacy.

BARONOWA.

Co! sprowadzasz tych włóczęgów tutaj?

PANI DE SALNÉ.

Jestem tak szczęśliwą, pragnę, aby wszyscy podzielali moje szczęście.

BARONOWA.

Istotnie, moja Fanny traci głowę.

(Cyganie wchodzi. Dzieci wodzieży podartej, kobiety mają włosy rozrzucone, czarne staniki, spodnice czerwone, mężczyźni w kamizelkach jaskrawych kolorów, w szerokich pantalonach. Przewodniczy im starzec siwobrody. Tańce stosowne.)

P A N I D E S A L N É.

Macie tu, poczciwi ludzie. *(dzieli pomiędzy nich pieniądze.)*

GASTON. *(który ją uważa z namiętnością)*

Ah! ten anioł rozdający jałmużnę... obraz godny pędzla artysty. Pamięci, uchwycić ten widok. Ci ludzie, chociaż nie rozumieją naszej mowy, chociaż nie mogą przemówić... jednakże na widok tej dobroczynnej istoty, ich rysy łagodzą się... wdzięczność je upięknia... *(od wejścia cyganów, jeden z nich uważał bacznie Gastona, nagle zbliża się do niego i mówi z cicha)*

C Y G A N.

Czy poznajesz mię?

GASTON. *(osłupiały, spogląda na niego)*

Nie, nie zdaje mi się...

C Y G A N.

Być może, bo nigdy nie uważałeś na mnie... tam... aleja, jestem pewny, że cię widziałem, poznaję cię dobrze.

BARONOWA. (*której uwagę zwróciło pomieszanie Gastona.*)

Pan de Savigny jak zmieszany.

CYGAN. (*prędko*)

Widzę, że cito nieprzyjemnie... nie było moją chęcią, uspokój się, nie jestem wcale złośliwym. Powiedz mi tylko, czy nie możesz mię wesprzeć jaką kwota pieniędzy?

GASTON. (*zmieszany*)

Chcesz pieniędzy?

CYGAN.

Tak jest, jeżeli być może, hardzobyś mię zobowiązał... ukrywam się pomiędzy niemi... rozumiesz mię... uciekłem...

GASTON.

Ale ja nie mam.

CYGAN.

A, mieszkasz w zamku? masz złe serce... zapominasz... tém gorzej dla ciebie... (*chce się oddalić*)

GASTON.

¶ Ah! jedno jego słowo!... (*cicho do cygana*)
Zaczekaj na mnie... tam przy lasku, za kilka chwil, przyjdę.

(*Przez ten czas cyganie odeszli. Fanny powraca śmiejąc się.*)

PANI DE SALNÉ.

No, i cóż mówisz o tym widoku? nie zdawał-
że ci się ukazaniem szatańskim.

GASTON. (*obłąkany*)

Tak, w istocie szatańskim.

PANI DE SALNÉ.

Cóż ci to jest?.. widoczne wzruszenie...

GASTON.

Ja... ja...

BARONOWA.

To może skutek rozmowy, jaką pan Gaston
miał z jednym z tej bandy.

PANI DE SALNÉ.

Ah, dla tego, że nie rozumieją naszego ję-
zyka... ten żart...

GASTON.

Nie, w istocie, jeden z tych nieszczęśliwych,
nie jest tém, czém się być zdaje... ścigają go...
ukrywa się, prosił mię o wsparcie.

PANI DE SALNÉ. (*z żywością*);

Które mu zapewne udzieliłeś?

GASTON. (*spuszczając oczy*).

Nie mam pieniędzy, i nie mogłem...

PANI DE SALNÉ. (*z żywością*)

Czemuż natychmiast nie powiedziałeś? Ah!
masz, weź i śpiesz za nim. (*bierze woreczek i
wybiega bez zmysłów*)

Tom V.

11*

BARONOWA. (*cicho do Ribie*)

Idź, i dowiedz się co będzie mówił z tym człowiekiem. (*Ribie wychodzi*)

SCENA XIII.

PANI DE SALNÉ, BARONOWA.

PANI DE SALNÉ. (*z radością*)

Oh, moja ciotko, on jest biedny, biedny! Będę więc mogła mu zapewnić przyszłość..... wszystko będzie miał odemnie; jakżem szczęśliwa!

B A R O N O W A.

Nie rozumiem cię.

P A N I D E S A L N É.

Kochana ciotko, pierwsza miłość trwa wiecznie; ślubne związki tylko rękę moją oddały mojemu panu, ale myśli, wyobraźnia, wolne ulatywały do miejsc, gdzie Gastoua pierwszy raz widziałam. Tak, moja ciotko, kocham go, kocham go całą mocą mojej duszy... zbyt słaba nagroda cierpienia, które poniósł dla mnie.

B A R O N O W A.

W istocie, dziwię się twojej łatwowierności! Człowiek, który biednieje, gdy się go zapytano o paszport.

PANI DE SALNÉ.

Obrażona duma, aby być posłusznym jednemu strażnikowi.

BARONOWA.

A cóż znaczyło to pomieszczenie? kiedy...

PANI DE SALNÉ.

Rzecz bardzo prosta, ma tak dobre serce... a nie mógł przynieść ulgi nieszczęśliwemu.

BARONOWA.

Nie słyszeliśmy nawet o nim od sześciu lat...

PANI DE SALNÉ.

Był biednym; niepomyślne spekulacje pochłoneły rodzinny spadek; bezwątpienia musiał pracować na wyżywienie siebie.

BARONOWA.

Ale nakoniec...

PANI DE SALNÉ.

Ale nakoniec, nie wiem moja ciotko, dla czego tak powstajesz przeciwko temu biednemu Gastonowi. Przypisuję to tylko ciekawości, chęci poznania tego wszystkiego, co się jego tycze; ale ja, która czytam w każdej zmarszcze wyrytej nędzą na jego twarzy, miłość niewygasła, ja słusznie chcę wynagrodzić złe, którego mimowolnie byłam sprawczynią. Ciotko moja, Pani de Salné przez śmierć męża stała się pa-

nią swoich czynności, i prosi cię, abys już więcej ani słowa nie mówiła w tym przedmiocie.

BARONOWA.

Dobrze. (z. s.) Zawsze jednak dowiem się, co ten pan Gaston ma za związek z tym cyganem i strażnikiem.

SCENA XIV.

CIŻ I VERNAUT.

PANI DE SALNE.

Ah przybywaj kochany panie Vernaut. Dzień dzisiejszy obfity w różne wypadki. Opowiemy ci to przy stole.

VERNAUT.

Czy mój nowy przyjaciel już odjechał?

PANI DE SALNE.

Nie, poszedł zanieść pomoc nieszczęśliwemu.

VERNAUT.

Wiara prawdziwa i dobre serce są nierozdzielne.

PANI DE SALNE.

I ty mój ojczy, będziesz nam miał także co opowiedzieć, ponieważ przybywasz od tej tajemniczój istoty, która jest postrachem całej okolicy.

VERNAUT.

Cóżbym wam mógł opowiedzieć; jest to człowiek dręczony wspomnieniem, które ściga go

bezustannie. Już dwadzieścia razy chciał mi wyznać wszystko, i słowa konają mu na ustach, kiedy mi tajemnicę swoją chce powierzyć...

B A R O N O W A.

Ten kraj obfity jest w tajemnice.

P A N I D E S A L N E

Moja ciotko...

V E R N A U T.

Jakto?...

P A N I D E S A L N E.

Nie ma żadnej, panie Vernaut. Oddawna znam tego młodego człowieka, którego dobroć twoja raczyła zaszczycić przyjaźnią; kochał mnie... Wola mocniejsza kazała mi zaślubić innego... ale dziś niezawisła, i pani mojego losu, wzywam twojej życzliwości, chciej przekonać się, czy ten młody człowiek godzien jest odebrać z rąk twoich słubne błogosławieństwo.

SCENA XV.

C I Ź I R I B I E.

R I B I E.

Ah pani...

B A R O N O W A.

I cóż, dowiedziałeś się?...

R I B I E.

Zaraz, zaraz. Jak tylko wyszedł ten młody, neznajomy, zaczął biedz z takim pośpiechem

11*

że nie postrzegł nawet rowu opasującego ogród.

PANI DE SALNÉ. (z żywością)
I skaleczony?

RIBIÉ.

Obawiałem się tego, pobiegłem mu z pomocą, ale już był daleko, kiedym przybiegł do rowu, znalazłem tylko ten pugilares otwarty...

BARONOWA. (z żywością)
Ah, dawaj... dowiemy się...

PANI DE SALNÉ.
Moja ciotko, chciałabyś skrycie poznać jego tajemnicę. Daj... ja mu go oddam.

VERNAUT. (cicho do pani de Salné)
Dobrze pani, dobrze...

BARONOWA. (cicho do Ribié)
I cóż?

RIBIÉ. (tak samo)
I paszport leżał także na ziemi...

(Fanny przypatruje się miniaturze, będącej na pugilaresie.)

PANI DE SALNÉ,
To moja miniatura... moja. Oh, panie Vernaut, mimochętnie spojrzalam.....

BARONOWA. (która wzięła paszport)
Rzecz dziwna... nie widać w tym paszporcie, że przechodził granicę Włoch.

PANI DE SALNÉ.

I cóż to ma do tego?... proszę o niego.

BARONOWA.

Wielki Boże!

PANI DE SALNÉ.

Cóż to jest?

BARONOWA.

Czytaj sam, panie Vernaut.

VERNAUT. (*czyta*)

Ah! (*miarkując się nagle*) Nie widzę tu nic tak nadzwyczajnego. (*cicho do Baronowy*) Jeżeli dbasz o życie pani de Salné...

PANI DE SALNÉ.

Cóż to za tajemnica... przestrasza mię!... chcę wiedzieć. (*wydziera paszport*) «Zaleca się wolne przejście Gastonowi de Savigny... uwolnionemu więźniowi z galer. Ah! (*mdleje*)»

VERNAUT. (*do Baronowej*)

Jesteś pani zadowolnioną? (*wszyscy spiesza na ratunek pani de Salné*)

SCENA XVI.

CIŻ, I GASTON.

GASTON.

Nakoniec oddalił się... oo widzę... (*chce biec do Fanny*) Fanny!

B A R O N O W A.

Nie zbliżaj się. dotknięcie twojej ręki byłoby wieczną plamą.

GASTON (*szuka nagle papierów przy sobie, nie znajduje pugilaresu; chwije się, i opiera o stoł*)

Ona wie wszystko!

PANI DE SALNÉ (*powraca do zmysłów rzuca się w objęcia pana Vernaut, spostrzega na ziemi pugilares*)

A więc to prawda!

BARONOWA. (*do Gastona*)

Wychodź ztąd, mościpanie.. twoja obecność...

{*Gaston nic nie słyszy, patrzy na Fanny jak zmysłów pozbawiony*}

VERNAUT. (*łagodnie*)

Może nie tak występny, jakby myśleć można... oszczędzaj go pani.

PANI DE SALNÉ. (*ściska rękę pana Vernaut i wspierana przez niego, idzie do Gastona, oddając mu jego papiery, mówi głosem wzruszonym*)

Gastonie... ostatni raz widzimy się sobą.

(*Gaston patrzy na nią, ale osłupiały nic może odpowiedzieć. Pani de Salné wychodzi. Vernaut towarzyszy jej aż do drzwi; Gaston wyjmuje pistolet, odwodzi go, i przykłada do czoła*)

VERNAUT. (*rzucając się z pośpiechem*)
Co chcesz czynić?

GASTON. (*pozwala sobie wydrzeć pistolet ;
ie zważając na to*)

Gastonie... ostatni raz widzimy się z sobą!
 płacze) Gastonie, ostatni raz widzimy się z so-
bą!... ah! ah! (*słychać turkot powozu*) Cóż to...
ona wyjeżdża... (*z krzykiem*) Fanny!... jestem
niewinny!... Tak panie, przysięgam ci na
grób mojej matki... na Boga przysięgam, że je-
stem niewinny!...

VERNAUT.

Oh tak... to wyraz serca... i wierzę ci Gastonie.

GASTON.

A ona oddała się nie wysłuchawszy mię... oh
to jest okrutnie!... niegodnie! (*pada na krzesło*)

RIBIÉ. (*wchodzi ze służącemi*)

Wychodź ztąd... więzień z galer nie może dłu-
żej pozostać w tym domu.

GASTON. (*zakrywa twarz rękami, wstaje
i mówi z uległością*)

Dobrze mówisz... odchodzę.

VERNAUT. (*z mocą*)

Kto wydał ten rozkaz?

RIBIÉ.

Baronowa.

V E R N A U T.

À Margrabina de Salné, pani tego zamku...

R I B I É.

Nic nie mówiła.

V E R N A U T.

A więc w imieniu Margrabiny de Salné, rozkazuję wam szanować tego człowieka przez wzgląd dla niej... w obec wszystkich nazywam go moim przyjacielem... któż się ośmieli znieważać go jeszcze?

(Służący cofają się na poruszenie p. Vernaut. Gaston, chce się rzucić do jego nóg, on go przyjmuje w swoje objęcia i spogląda z powagą na wszystkich.)

AKT III.

(Scena przedstawia rokoszną okolicę. — W głębi tył kościoła wiejskiego i domek pana Vernaut na małym wzgórzu. Z przeciwnéj strony na przodzie domek czerwony. Drzewa i t. p. Krzyż w środku sceny.)

SCENA I.

VERNAUT, PARAVIÉDES.

PARAVIÉDES. (wychodząc z czerwonego domu)

Ab! tak, nie opuścisz mię!

VERNAUT.

Zawsze ukrywanie tajemnicy. Nie szukaj więc pociechy na łonie religji.

PARAVIÉDES.

Oh, gdybyś wiedział ile cierpię... rozpacz mię zabija, zmysły się mieszają, pokój na zawsze dla mnie stracony. Myśl niewzruszona tkwi tutaj.

VERNAUT.

Mów ciszej.

P A R A V I É D E S.

Czyliż nie mogę zataić tajemnicy... kiedy żałuję za nią.....

V E R N A U T.

Niebo nakazuje nam naprawić błąd popełniony.

P A R A V I É D E S.

A jeżeli tej zbrodni niepodobna wynagrodzić?

V E R N A U T. (*surowo*)

A więc była bardzo wielką? Lecz chociażby i tak było, może być wynagrodzoną. Bóg zawsze podaje nam sposoby okupienia grzechu i przed ludźmi i przed Nim.

P A R A V I É D E S

Bóg nawet nie może już odwrócić... ah ojciec... pobłogosław mię... (*rzuca mu się do nóg, Vernaut chce go podnieść*) Długo się opierałem, ha!... Gardziłem podejrzeniem... ale dostrzegłem... słyszałem... przejąłem listy... mogłem wątpić jeszcze? Zniewaga szydziła ze mnie. Wstydem twarz moja była napiętnowana, a śmieszność palcami ją wskazywała. I cóżem uczynił temu młodzikowi, że mię okrył niesławą? Powiedz, czyliż krew hiszpańska mogła ją znieść bezkarnie? Oh! ale się zemści-

łem!... i on z kolei wycierpiał niemało!... Oto moja tajemnica!... (*cicho*) On mnie pozbawił honoru, ja przywiodłem go do tego, że musiał swój hańbą okryć. Teraz wszystko powiedziałem... Mogę więc już umrzeć spokojnie.

VERNAUT. (*surowo*)

Ogrom twojej zbrodni, mniej cię dotyka, jak obawa kary, i skrucha nie jest szczera. Żałuj zbrodni, napraw zło, albo droga do nieba na wieki przed tobą zamknięta.

P A R A V I É D E S.

Czegóż więcej żądasz odemnie? Mojego nazwiska, nazwiska zbrodniarza!... nigdy ani jedno, ani drugie z ust moich nie wyjdzie.

V E R N A U T.

Więc żegnam.

P A R A V I É D E S.

Ah, przebacz mi ojcze... obraziłem cię... rozpacz zmysłów mię pozbawia... gorączka pożera... przyjdiesz mię odwiedzić?

V E R N A U T.

Przyjdę...

P A R A V I É D E S.

Dziękuję ci, dziękuję dobry ojcze! (*odchodzi*)

Tom V

12

SCENA II.

VERNAUT. (*sam*)

Nieszczęśliwy! (*dziewiąta godzina bije*) Dziewiąta godzina, ten młody człowiek ma przyjść dziś rano!... Ah, czy mogłem przewidzieć, że te panie szukać będą schronienia w skromnym moim mieszkaniu? Oh Boże! nie odmawiaj im wszystkim pociechy, wszyscy potrzebują twojego wsparcia.

SCENA III.

VERNAUT I BARONOWA. (*wychodząc z mieszkania pana Vernaut*)

BARONOWA. (*n. s.*)

Trzeba ztąd jak najspieszniej oddalić się, bo moja siostrzenica gotowa popełnić jaką niedorzeczność... Chce koniecznie widzieć jeszcze Gastona.

V E R N A U T.

Ah, to pani Baronowa... Jakże pani de Salné noc przepędziła?

B A R O N O W A.

Złe, bardzo złe, niespokojność nadzwyczajna...

V E R N A U T.

Bo nas oboje myśl nieodstępuje... ten młody człowiek jest niewinny.

B A R O N O W A.

Ja tak nie myślę. Azresztą, cóż nas to obchodzić może? już go nie będziemy widzieć.

V E R N A U T.

Przeciwnie pani Baronowo; nie wiedząc o zaszczycie, jaki mi uczyni pani de Salné odwiedzając moje mieszkanie, przyrzekłem tu w tém miejscu czekać na niego.

B A R O N O W A.

Ah, dla Boga!... ale moja siostrzenica widok jego życiem przepłaci.

V E R N A U T.

Czy tak pani sądzisz?

B A R O N O W A.

Niech tu nie przychodzi, niech jej nie widzi... bo mogę ci wyznać... mimo całego wyjaśnienia, pani de Salné kocha go jeszcze... a przecież kocha więźnia galer; to być nie może, to być nie powinno... trzeba więc, aby go nie widziała.

V E R N A U T.

Biedna kobieta! biedny Gaston! może i prawdę mówisz, nie powinna go już widzieć; staraj się więc pani oddalić ją ztąd przed jego przybyciem.

B A R O N O W A.

Tak, rozumiem cię. (n. s.) Niech mi się tyl-

ko uda oddalić ją od tego Gastona, a przybiore
znowu władzę nad moją siostrzenicą. (*głoś-
no*) Idę.....

V E R N A U T.

Otóż ona.

B A R O N O W A

Proszę cię panie, ani słowa o tym człowieku,
który cię ma odwiedzić... i pozwól mi działać.

SCENA IV.

CIŻ I PANI DE SALNE.

V E R N A U T.

I cóż pani?... w jakimże stanie jej zdrowie te-
go poranku?

P A N I D E S A L N E.

O dobry panie Vernaut, cierpię bardzo... po-
twiedz mi, czy i ty także opuściłeś tego nieszczę-
śliwego, nie wysłuchawszy go? Ah, bardzo źle
uczyniłam.

B A R O N O W A.

Może wypadło się spytać go, jak przepędził
życie na galerach?

P A N I D E S A L N E.

Moja ciotko!... Ale powiedz mi panie Vernaut,
czy i sprawiedliwość sama nieraz błędu nie po-
pełniła?

V E R N A U T.

Bóg tylko jest nieomylnym, a sędziowie są
ludźmi.

PANI DE SALNÉ,

Oh, jaką nadzieję obudzasz w mojem sercu...
tak... on jest niewinny... ten dobry... szlachetny
Gaston nie mógłby...

BARONOWA.

Fanny... nasza obecność może jest cokolwiek
natretną panu Vernaut... gdybyśmy wrócili do
zamku?

PANI DE SALNÉ.

Tak... tak... powróćmy do zamku; może on
nie oddalił się jeszcze...

VERNAUT. (*cicho do pani Baronowej*)

Nie trać pani ani chwili.

BARONOWA. (*cicho*)

Bądź spokojny... ona go nie zobaczy... Idź-
my. (*odchodzą*)

PANI DE SALNÉ.

Nie myślę się... on... patrz... ta postać cierpią-
ca... głowa schylona na piersi... rozpacz we
wszystkich rysach... biedny Gaston!

BARONOWA.

Oddalmy się!

PANI DE SALNÉ.

Nie, ja tu zostanę...

VERNAUT.

Pani... ten młody człowiek powiedział mi

wczoraj: „Jutro, dowiesz się o wszystkim.”
Zobaczywszy ciebie, może wstyd...

PANI DE S A L N É.

Ten tylko powód skłania mię... ale zatrzymam się, niech będzie przekonany, że w sercu jego dawnej przyjaciółki, litość większą ma władzę od pogardy... potem... oddałę się... i nigdy go już widzieć nie będę.

SCENA V.

GIŻ, I GASTON.

GASTON. (*wchodzi nie widząc nikogo*)

Tak... tak... jeszcze nie uległem pod ciężarem cierpień... ale już nic nie czuję, wszystko obojętnym jest dla mnie... Cóż mię tu sprowadza?... ah!... mam boleść i cierpienia złożyć na łonie poczciwego pana Vernaut, on tak litościwy!... nie odepchnie od siebie biednego więźnia z galer. Nie napotkałem nikogo... tém lepiej, bo zdaje mi się, że piętno mojego wstydu, jest tu wyryte... na tém czole, przedwcześnie zmarszczkami okrytym!... Ah! Fanny! jakżeś była okrutną!... ale tak musiałaś uczynić... nie wiedziałas.

PANI DE S A L N É.

Nie zatrzymujcie mię, muszę z nim mówić...

G A S T O N.

Co widzę? Fanny?... Pani d'Ombre! (*spuszcza oczy i oddala się*)

PANI DE SALNÉ. (*łagodnie*)

Gastonie!

G A S T O N.

Pani Margrabin... ale gdyby kto przechodził, i postrzegł cię mówiącą ze mną... toby cię mogło okryć wstydem. Oddalę się, i wrócę dopiero po twoim wyjeździe.

P A N I D E S A L N É.

Gastonie, przyszedłś tu zwierzyć panu Vernaut twoje tajemnice...

G A S T O N.

Które i tobie pani byłyby wiadome... ale nie mogłem, opuściłaś mię samego... nie zostawisz mi nawet tej pociechy, abym mógł sobie powiedzieć: Stroni odemnie, tak jej powinność każe; ale mną nie pogardza, żałuje mnie.

P A N I D E S A L N É.

I któż ci powiedział, że pogardzam tobą, że żal nie przemawia za tobą w mojej duszy?

G A S T O N.

Mogłoby to być!... Ah! gdybym się nie obawiał splamić rak twoich przez dotknięcie się dłońią człowieka shańbionego, uściskałbym je i oblał moimi łzami...

PANI DE SALNÉ. (*podając mu rękę*)

Gastonie, podaj mi twoją rękę...

GASTON.

Ah! tyle dobroci... Teraz śmiało wyznam
wszystko, ona mną nie gardzi.

VERNAUT.

Nie lękasz się, aby to opowiadanie?...

GASTON.

Czcigodny ojcze, raz ostatni już ją widzę...

PANI DE SALNÉ.

Oh, proszę!

GASTON.

Może opowiadanie moje będzie cokolwiek
przy długie, ale nie mogę przenieść tej myśli,
abyś sądziła, że jestem zbrodniarzem, sprawie-
dliwie mocą praw ukaranym. Nie pani, i temi
wyrazy zaczynam: jestem niewinny.

VERNAUT.

Biedny!

PANI DE SALNÉ.

Mów, słucham cię.

GASTON.

Przypominasz sobie pani zapewne bal w St.
Germain, gdzie cię po pierwszy raz zobaczy-
łem, pamiętasz więc i tę hiszpankę, którą od
tego czasu raz później widziałas, Leonidę Pa-
raviédes.

P A N I D E S A L N É.

Oh, widziałam ją często we śnie... jak na mnie gniewne i zazdrości pełne rzuciła spojrzenia...

G A S T O N.

Poznałem ją w Hiszpanji w roku 1823. Młody żołnierz, płocho, w kraju nieprzyjacielskim, gdzie wszystko było nam nieprzyjemne, z upragnieniem pochwyciłem sposobność zajęcia się miłym przedmiotem, aby choć kilka chwil wolnych od powinności, weselej przepędzić, i oto cały powód mojej zbrodni. Ale przysięgam, że nigdy nie było moim celem splamić honor jej męża, a tym bardziej zatruć jego życie powolnem cierpieniem ukrytej zazdrości. Bóg mi świadkiem, że gdybym był mógł przewidzieć skutki tej płochości, nie byłbym jej popełnił; a jednakże ten błąd mojego wieku, stał się przyczyną całego nieszczęścia, bo mąż dowiedział się o wszystkiem. Ale ukrywając zemstę, wyjechał ze swoją żoną do Francji; ja zapomniałem nawet o tej chwilowej intrydze. Wojsko powróciło, zobaczyłem znowu Paraviédesa i jego żonę, lecz poznałem i ciebie; jedno twoje spojrzenie, przekonało mię, że ni-

gdy jeszcze nie kochałem. Odważyłem ubiegać się o twoją rękę, byłem zbyt ubogi. Paraviédès, znając moje zamiary, przyrzekł mi zyskowną spekulacją czterokroć powiększyć mój majątek. Tymczasem nadchodzi wieść o zupełnym mojem zniszczeniu, a po niej doniesienie o twoim związku. Gardząc światem, oddaliłem się do nikczemnej wioski, uciekając od ludzi, kochałem tylko jednego człowieka; on był zawsze tak drogim dla mnie... pozostałem mu dłużny 10,000 franków, zbliżał się termin, lecz byłem spokojny; wiedział, że straciłem majątek, nie będzie mię niepokoił; kiedy pewnego dnia... ah! wszystka krew moja lodowacieje. Paraviédès, Bogu zdasz rachunek za tę hańbę!

V E R N A U T.

Cóż dalej?

G A S T O N.

Pewnego dnia, ciche moje ustronie nachodzą słudzy sądowi, biorą mnie gwałtem... wloką przed trybunał pod niepojętym dla mnie zarzutem fałszerza.

P A N I D E S A L N É.

Biedny Gastonie!

G A S T O N.

Tak, oskarżony o sfalszowanie podpisu na we-
xlu! To był mój podpis, a jednakże nie moją
ręką skreślony. Paraviédés utrzymywał, że
go przyjął odemnie... światło zabłyśło, ten cios
był jego dziełem. Na jednozgodne oświadcze-
nie wszystkich, że podpis był mój, zostałem
skazany jako fałszerz na pięć lat ciężkiej pracy...
i najpiękniejszych pięć lat mojej młodości spę-
dziłem na galerach, w gęsonie zbrodniarzy, za
jedną płochosć młodego wieku.

VERNAUT. (*jakby natchniony, spoglądając
na czerwony dom*)

To on!

PANI DE SALNÉ I BARONOWA.

Cóż to jest?

V E R N A U T.

Nic.

GASTON. (*n. s.*)

Co znaczyło to spojrzenie?...

V E R N A U T.

Czekaj tu na mnie...! Panie, raczcie wejść do
mojego domku... Gastonie! miej nadzieję!...

(*wprowadza p. de Salné i Baronowę do siebie*)

SCENA VI.

GASTON. później PARAVIÉDES.

G A S T O N.

Dreszcz mię przenika... ten człowiek z czerwonego domu, o którym mówią wszędzie... to spojrzenie pana Vernaut... muszę... proszę otworzyć! (*puka do czerwonego domu*)

PARAVIÉDES. (*wchodząc*)

Czy to ty, kapłanie Najwyższego... Gaston!

G A S T O N.

Paraviédés!

PARAVIÉDES. (*wybuchając dzikim śmiechem*)

Już pięć lat, jak niewidzieliśmy się ze sobą.

G A S T O N.

Paraviédés!

P A R A V I E D E S.

Gastonie, gdzież się podziały twoje piękne włosy?... cóż się z nimi stało?

GASTON. (*rzucając się na niego*)

Ha!

PARAVIÉDES. (*śmiejąc się ciągle*)

Ah! zabij mię jeżeli chcesz... jestem zadowolony... (*pokazując mu sztylet*) jednakże, gdybym chciał... oh!... ale nie... zabij mię Gastonie, niech przejdę z życia na łono śmierci, w chwili mojego szczęścia!

GASTON. (*puszczając go*)

Dłoń więźnia z galer jeszcze jest za szlachetną dla ciebie.

P A R A V I E D E S.

Ah! niech ci się przypatrzę jeszcze... te rysy nędzy, wycieńczenia...

G A S T O N.

Czyliż nieszczęście niewinnego może radość obudzać?

P A R A V I E D E S.

Niewinnego! ty, niewinny!... zniszczywszy życie poczciwego człowieka, zdeptawszy jego honor... wydzierając mu serce ukochanej żony... jeszcze się mienisz niewinnym!...

G A S T O N.

Ja ci nie wydarłem honoru, nie splamilem świętych przysiąg.

P A R A V I E D E S.

Ta mowa w ustach twoich jest uniewinnieniem się zbrodniarza, kiedy go za rękę pochwycą przy spełnieniu zbrodni. Ta sama myśl, że kłamiesz, że mówisz tylko, aby siebie ocalić, bezprzestannie udręcza duszę. Czy wiesz Gastonie, jakie skutki pociąga za sobą twoja niebaczną chęć zajęcia serca wiernej małżon-

ki? Byłem szczęśliwym, Leonida także była szczęśliwą!... przez ciebie te kilka lat zmieniły się w przewlokłe konanie; kobieta szanowana odemnie, wypędzona z mojego domu... umarła w niedostatku i nędzy. Oto twoje dzieło, i ty jeszcze nazywasz się niewinnym.

G A S T O N.

Nie mógłżeś z bronią w ręku?...

P A R A V I E D E S.

Otóż to!... Odbierają nam honor... i jeszcze życie chcą wydrzeć... Ja, ja, zwiedziony, zdradzony!... miałbym powierzać moją zemstę wątpliwym wypadkom pojedynku?... i dłoń zbrodniarza jeszczeby zadała śmierć mnie, mnie, dla tego, że nie chciałem korzystać.....

G A S T O N.

Mógłżebyś sądzić, abym ja nastawał na dni twoje?

P A R A V I E D E S.

Jeszcze lepiej... byłby mię oszczędzał... byłby mi powiedział... wydarłem ci szczęście, ale ci powracam życie, nie sobie nie jesteśmy winni. Nie, okryłeś mię niesławą... ja nawzajem ciebie... i niech ten przykład służy za przestrożę każdemu, ktokolwiek czyni sobie igraszkę z najświętszych praw religji, honoru i natury.

GASTON. (*łagodnie*)

Nie zastanawiałem się.....

PARAVIEDES,

'Tak... w dwudziestym piątym roku, czło-wiek jeszcze dzieckiem.

GASTON.

Paravièdes, przyznajesz więc, że nie byłem fałszerzem?

PARAVIEDES. (*obejrzawszy się do koła*)

Wszystko moim było dziełem... Ja stałem się sprawcą twojej zguby.. wydanego wyroku.. ja go zażądałem... tak jest, ja, ja sam... Spójrz na mnie, a moja radość zniszczy najmniejsze powątpiewanie, tak, tak Gastonie, to ja!

GASTON.

Oh! a więc tyle cierpień powinno cię wzruszyć... Hańba, kajdany... wszystko zapomnę; ale powróć mi honor! Nie lękaj się, wtenczas dopiero korzystać będę z twoich wyznań, gdy będziesz daleko od Fanny... czyliż twoja zemsta jeszcze nienasycona?

PARAVIEDES. (*z dzikim uśmiechem*)

Nie, jeszcze nie.

GASTON.

Czegóż żądasz więcej?

P A R A V I È D E S.

Aby twoje męczarnie trwały aż do śmierci...
moje są tu... nie mogę ich zagładzić; ale dni mo-
jch już krótki zakres... ty będziesz żył długo...
zniosteś z taką mocą pięcioletni pobyt na gale-
rach. Szlachetny Gaston z łańcuchem na szyi...
ah! ah! radość sił mię pozbawia!

GASTON. (*wrozpaczy*)

A więc, ponieważ mi nie chcesz przywrócić
wydartego honoru... ponieważ oba dosięgliśmy
szczytu nieszczęścia... niech broń stanowi...

P A R A V I È D E S.

Oh, mogę jeszcze władać orężem, ale mie-
rzyć się z więźniem z galer... nigdy!...

G A S T O N.

A więc sam okrywasz niesławą tę krew ka-
stylijską, z której się tak chełpisz.

P A R A V I È D E S.

Co?

G A S T O N.

Wyrodny Hiszpanie... bojaźń jest oznaką two-
jej nikczemności.

P A R R V I È D E S.

Gastonic!... (*miarkując się*) Ale nie, nie będę
walczył z tobą.

G A S T O N.

Paraviédès, nie przywódź mię do tego, aby

ręka więźnia z galer przymusiła policzkiem szlachetnego Kastyljana do podniesienia broni.....

P A R A V I E D E S.

Ah, to już nadto!... Opiekunko mojej rodziny! spraw, abym go nie zabił, lecz żeby na jego ciele, została wieczna blizna, piętno wygnania ze społeczeństwa, tak jak na jego ramieniu zostanie piętno sprawiedliwości.

G A S T O N.

Będziesz się więc bił?

P A R A V I E D E S.

Tak... tam, w tym ogrodzie... gdzie twoje listy są zawieszane w ołowianej szkatułce, to ci doda odwagi... bić się za Leonidę Paraviédes, która w nędzy zakończyła życie! Czekam cię... pójdź, pójdź! Nie zadam ci śmierci, nie... nie... bo masz dopiero trzydzieści lat!
(wychodzą)

SCENA VII.

CIZ SAMI, GUIGNAC, RIBIÉ, WIEŚNIACY.

G U I G N A C.

Tędy, tędy... djabeł porywa naszego więźnia z galer.

R I B I É.

Guisgnac, wiesz co, wyborna myśl, możesz

wielką uczynić przysługę; aresztuj człowieka z czerwonego domu.

G U I S G N A C.

Moja władza rozciąga się tylko nad ludźmi; gdyby mi powiedziano, żebym ciebie aresztował, natychmiastbym to wypełnił... ale prowadzić złego ducha do więzienia, to do mnie nie należy.

R I B I È.

Złego ducha? to tylko wymówka... obawiasz się...

G U I S G N A C.

Obawiam się, he!... ale mówmy o czem innym. Pan Verhaut kazał nam wszystkim zgromadzić się w jego domu, idźmy więc...

R I B I È.

To prawda, idźmy: ale dla tego boisz się...

G U I S G N A C.

Jeszcze... a więc dowiodę wam, że nie. (*przysbliża się do drzwi czerwonego domu*) W imieniu praw, otwórz te drzwi... Nikt nie odpowiada... raz... dwa...

R I B I È.

Trzy.

G U I S G N A C.

Milczenie... (*patrzac przez dziurkę od klucza*) Ten ostatni raz nie liczy się... muszę rozpoznać... (*cofa się*) Idźmy ztąd...

W S Z Y S C Y.

Cóż to jest?

G U I S G N A C.

Gdybyście wiedzieli, co ja widziałem!

W S Z Y S C Y.

Cóż takiego?

G U I S G N A C.

Cicho! Pan Vernaut czeka... na inny dzień
odłożmy przytrzymanie tego człowieka...

R I B I É.

Ale powiedźcie nam...

G U I S G N A C.

Ma w ręku płomienistą szpadę... idźcie tu!...
ah! lękajcie się człowieka z czerwonego do-
mu. (*wszyscy w nieładzie uciekają do domu
pana Vernaut.*)

SCENA VIII.

PARAVIEDES (*rozbrojony*). GASTON.

PARAVIEDES. (*trzymając się Gastona*)

Zabij mię! zabij!... po dwakroć rozbrojony!

Zabij mię Gastonie!

G A S T O N.

Powróć mi honor! honor!

P A R A V I E D E S.

Honor!..., nie, nigdy go nie odzyskasz... zo-
stałeś shańbiony... i umrzesz shańbiony!

G A S T O N.

A więc... już nie żądania, prosby wysłuchaj:

u nóg twoich błagam przebaczenia... już dosyć pomściłeś się... nie dla mnie, dla tej tylko, którą kocham, wzywam jednego twego wyrazu... wyznaj, że niesłusznie byłem skazany... niech to usłyszysz z ust twoich... potem... na wieki oddalę się z Francji... powróć mi honor Paraviédés. Ja ci po dwakroć ocaliłem życie...

P A R A V I É D E S.

Ah, tego się najwięcej lękałem... aby tobie nie być winien ocalenia tego nędznego bytu. Gastonie! zabij mię... albo w pismach publicznych jeszcze się ukaże twoje nazwisko, będą czytać: Gaston de Savigny fałszerz, dnia tego i tego znajdował się w tém mieście. Wszędzie cię ścigać będą; wszędzie pytać się będą: kto jest ten człowiek? a wnet głos nieubłagany powstanie za tobą: to Gaston, fałszerz, więzień z galer!... Cóż! czy wydrzesz mi nakoniec to obmierzłe życie!

GASTON. *(bez zmysłów prawie)*

Tak, zabiję cię! *(chce się rzucić na niego; po chwili upuszcza szpadę)* Przeciwno bezbronemu nieprzyjacielowi, nigdy!...

P A R A V I É D E S.

Zbыва ci na odwadze; a więc, ja mieć ją bę-

dę za ciebie! Gastonie unoszę z sobą do grobu i twoją tajemnicę i twój honor! (*dobywa sztylet i utapia go w piersiach*)

G A S T O N.

Oh, nim zakończysz to życie, powiedz jeszcze, żem niewinny.

P A R A V I É D E S.

Tak, przyznaję, ponieważ sami tylko jesteśmy... ale za późno, żeby... (*upada*)

G A S T O N.

Paraviédés! Paraviédés! nie żyje!... Ah ten ostatni cios nad siły moje!

SCENA IX I OSTATNIA.

CIŻ, BARONOWA, VERNAUT, RIBIÉ,
GUISGNAC, WIESNIACY.

V E R N A U T.

Najgłębsze milczenie, i bądźcie baczni na pierwszy znak... (*spostrzegając Gastona, który stoi jak bez życia*) Młodzieńcze, zbliża się czas odzyskania twojego honoru; sprawca twoich nieszczęść jest tu.

GASTON. (*ponuro*)

Wiem o tém.

V E R N A U T.

Umyślnie sprowadziłem tylu świadków, aby jego wyznanie było prawnem. Pójdźmy do niego.

G A S T O N.

Nie znajdziesz go.

V E R N A U T.

Gdzież jest?

G A S T O N.

Tu!... nie żyje.

V E R N A U T.

Zamordowany!

G A S T O N.

Mogliżbyście sądzić?!... to prawda... więzień z galer...

V E R N A U T. (*z wyrzutem*)

Gastonie... ale może... tak... jeszcze żyje... oddalcie się... milczenie...

P A R A V I É D E S.

Boże! umieram, czuję to... ale przynajmniej moja tajemnica ginie wraz ze mną.

V E R N A U T. (*biorąc go za rękę*)

Grzeszniku, wieczność cię wzywa!

P A R A V I É D E S.

Cóż to za głos! Oh! to ty!...

V E R N A U T.

Chwila twojej śmierci. Bóg tak będzie nieubłaganym dla ciebie, jak ty nim jesteś w ostatniej chwili zgonu... Jeszcze możesz otrzymać przebaczenie Stwórcy. Paraviedes! czy słyszysz mię?

P A R A V I É D E S

Któż ci powiedział moje nazwisko?

V E R N A U T.

Ten, który mi wyjawił tajemnicę twojego życia. Wyznaj prawdę, wkrótce staniesz przed sądem przedwiecznego... (*Paravièdes chce ukłknąć, ale nie może*) Popelniłeś wielką zbrodnię.

P A R A V I È D E S.

Ciszėj panie.

V E R N A U T.

Kto inny cierpiał za nią.

P A R A V I È D E S.

Milczenie!

V E R N A U T.

Piekielna zemsta, wystawiła go na haubę.

P A R A V I È D E S.

Ah!

V E R N A U T.

Ta nieubłagana zemsta niewinnego powiodła na galery, wyznaj to przedemną i przed wszystkiemi... masz otwartą przed sobą drogę zbawienia... Słuchaj!... Bóg przez usta moje przemawia; niechaj prawda będzie ostatnim twoim wyrazem, nią okupisz zbrodnie twoje.

P A R A V I È D E S.

Ah! (*wszyscy zbliżają się*) Tak, Gaston de Savigny... jest niewinny!

VERNAUT. (*do świadków*)

Słyszeliście wyznanie! Teraz, nieszczęśliwy,
spoczywaj w pokoju...

P A R A V I É D E S.

Ah! Boże..... (*umiera*)

GASTON. (*klękając u stóp Fanny*)

Dla ciebie tylko pani pragnąłem odzyskać ho-
nor, teraz żegnam cię.

P A N I D E S A L N E.

Gastonie, ja ci towarzyszyć będę.

GASTON. (*z radością*)

Mogłoby to być?

VERNAUT. (*z mocą*)

Radość... przy umarłym!... klękajcie wszyscy
i módlcie się za niego! (*wszyscy klękają.*)

(*Zastona spada w czasie obrazu.*)

K O N I E C.

EMMA

CZYLI

DWIE SIOSTRY

KOMEDJA

WE DWÓCH AKTACH,

ORYGINALNIE NAPISANA.



GRANA PIERWSZY RAZ

NA DAWNYM

TEATRZE ROZMAITOSCI

d. 18 Października 1830 r.

O S O R Y:

PAN RUMIŃSKI, majątny dziedzic JP. *Nuwiński.*
AMELJA) JP. *Werowska.*
EMMA) jego córki JP. *Chojnacka.*
ALFONS SZCZERZECKI, Kapitan JP. *Gizewski.*
RUDOLF JP. *Jasiński.*
Lokaj.

(Rzecz dzieje się w wiosce pana Rumińskiego.)

EMMA.

AKT I.

SCENA I.

EMMA, AMELJA.

(Siedzą obie, Amelja haftuje, Emma czyta książkę)

EMMA.

Oh, jak ona musiała być szczęśliwą!

AMELJA.

Któż taki?

EMMA,

Cecylja, jestem właśnie w tém miejscu, gdy Eryk zezwala prawie na jej połączenie, gdy zemdlał mistrz ceremonji Baron von Frogheim.

AMELJA.

Nie zazdrość jej szczęścia; jak zwykle, i dla niej rokosz smutkiem się zakończyła. Ale dosyć; dla czegoż mamy o cudzém mówić szczę-

ściu, kiedy nasze wkrótce może zajmować nas będzie...

E M M A.

Jak to rozumiesz Ameljo?

A M E L J A.

Ojciec już nieraz mi mówił, przed przybyciem twojém jeszcze z Warszawy, że obie niedługo opuścimy go.

EMMA. (*kładzie książkę na stole*)

A to dla czego?

AMELJA. (*porzuca haftowanie*)

Nie domyślaszże się?

EMMA. (*skrycie*)

Nie.

A M E L J A.

Dla czegoż taisz przed siostrą twoje uczucia, te wyrazy: «Oh, jak ona musiała być szczęśliwą!» ta radość malująca się w tobie, przyszłością Cecylji wzbudzona, blizkie jej połączenie, wszystko to objawia, że i tobie ten luby związek jest upragnionym.

E M M A.

Ameljo...

A M E L J A.

Wiem o wszystkim. Ojciec szerszym był od siostry, wyjawil mi twoją tajemnicę...

EMMA. (*nieco zmieszana*)

Moją tajemnicę?... nie mam żadnej...

A M E L J A.

Dla czegoż to ukrywanie?... on dziś może przyjedzie.

EMMA. (*pewniejsza*)

Przyjedzie? kto taki?...

A M E L J A.

Alfons, syn 'jednego z najlepszych przyjaciół mojego ojca, gdyby tylko ta zaleta była jego udziałem, jużby miał dosyć praw do posiadania twojej ręki; ale jak ojciec mi mówił, to jest najmniejszym z jego zalet. O Emmo! jakże twoja przyszłość błogo ci się ukazywać zaczyna.

E M M A.

Pan Alfons! w istocie Ameljo zadziwiasz mię. Wprawdzie widziałam kilkakrotnie pana Alfonsa w domu mojej ciotki, był grzecznym, uprzejmym, zwyczajnie jak wszyscy mężczyźni; lecz nigdy najmniejszego nawet nie dał pozoru, abym ja uczuć jego była przedmiotem.

A M E L J A.

Właśnie napisał o tém naszemu ojcu, i to mu się niezmiernie podobało, z radością zawołał: »otóż to mi chłopiec, znać zaraz, że nie po te-

rażniejszemu wychowany; piękny mi szacunek dla starszych, rozromansować pannę, a potem pytać się ojca o pozwolenie; naturalnie, tatulko rad nie rad musi zezwolić.»

E M M A.

I pan Alfons prosił o moją rękę? Cóż mu ojciec odpowiedział?

A M E L J A.

Kazał przyjechać; a mnie się zdaje, że to dosyć wyraźna odpowiedź. Ale zkadźce ten smutek? Emmo... miałażbyś nie cieszyć się ojca wybo-rem!...

E M M A.

Ja mnieman, że ojciec będzie pobłażającym dla swojej córki i nie zechce mi narzucać...

A M E L J A.

Jakto, narzucać? Emmo, Alfons musiał dostrzedz twoją przychylność, gdy się oświadczyć ośmielił.

E M M A.

Nie, wierzaj mi, bardzo nawet mało mówiliśmy z sobą.

A M E L J A.

Tém więcej chluby dla ciebie.

E M M A.

Pochlebstwo od siostry...

A M E L J A.

Nie pochlebstwo, prawda szczerą; jakiżby

powód skłaniał mię do tego. Ale gdyby ojciec chciał koniecznie?...

EMMA. (*z uczuciem*)

Dopełniłabym jego woli; nie znamże jego przywiązania do mnie, czyliż on pragnąłby nieszczęścia swojej Emmy? zadziwienie tylko...

AMELJA. (*n. s.*)

Moje przeczucia nie mylne.

SCENA II.

AMELJA, EMMA, RUMIŃSKI.

RUMIŃSKI. (*za sceną*)

Ameljo! Ameljo!

A M E L J A.

Biegnę! (*wychodzi*)

EMMA. (*sama*)

A więc Alfons ma zostać moim mężem. Rudolffie! Rudolffie! trzeba zapomnieć o tobie. Ileż cieszę się teraz, że mu nie dała poznać uczuć moich. Bylibyśmy nieszczęśliwi oboje; a teraz ja tylko sama brzemię cierpienia znosić będę. Uspokójmy się, może się też wszystko jeszcze odmieni. Przyszłość jest niedocieczoną; ale czuję, że jeżeli Rudolf nie będzie podzielał ze mną tej przyszłości, smutek nigdy nie opuści mo-

jego oblicza. Ani mogłam przewidzieć... Alfons.. nie widziałam najmniejszego pozoru... ależ te potajemne rozmawianie z ciotką... 'ha, teraz domyślałam się prawdziwego znaczenia.

RUMIŃSKI. (*wchodzi z Amelją*)

Dzień dobry moja Emciu, sądziłem, żeś w ogrodzie, ale kiedy tu jesteś, tём lepiej...

E M M A.

Dzień dobry mój ojciec.

RUMIŃSKI. (*do Amelji*)

Ale czy pewno mówiłaś z nią?... bo widzisz, wy kobiety między sobą jakoś lepiej i łatwiej porozumieć się zdołacie.

AMELJA. (*do ojca*)

Juz wie o wszystkim.

R U M I Ń S K I.

No Emciu... to co ci Amelja mówiła... jakże?... dziś przyjedzie... trzeba, żebym wiedział jak go mam przyjąć... co mu odpowiedzieć... jużci mnie się zdaje, że nie zechcesz, aby on tyle mil napróżno jechał... a potem syn przyjaciela twojego ojca... ma nieco grosza, poczciwy, przyjemny. Zdaje mi się, że taki młodzian godzien twojej ręki...

E M M A.

Wiesz mój ojczy, że twój rozkaz zawsze był prawem dla mnie.

R U M I Ń S K I.

O Emmo moja, takiej odpowiedzi nie lubię. Jużci ja wiem, że dobre dzieci winne być posłusznemi rodzicom; ale wiem i o tém, jak częstokroć ubolewają później nad tém posłuszeństwem, i dla tego przymuszać cię i przynaglać cię nie myślę. Drogim mi jest Alfons, ale szczęście mojego dziecięcia droższem mi jest nad wszystko. No, mów szczerze Emciu. Wyznaję, że odmówienie twoje nie bardzoby mi było przyjemném, lecz jakem powiedział, przymuszać cię nie myślę. Prawda i to, żeś młodsza, i należałoby słusznie, żeby Amelja pierwój z domu się wyniosła... no... ale Alfons o twoją rękę mię prosi. Amelja... ja uważałem... no, zobaczemy, przecież da nam się lepiej poznać. (*do Amelji*) Ty wiesz, o kim ja mówię... a zatém do czasu...

A M E L J A.

Mój ojczy, wiem, że nas zarówno kochasz, a więc którakolwiek bądź pierwój wejdzie w stan małżeński, wszystko to jedno dla twojego serca.

R U M I Ń S K I.

Tak, tak, moja Ameljo, i owszem, ta, co później za mąż pójdzie, (z czułością) dłużej przy ojcu pozostanie. Ale, co ja też mówię, zapomniałem się; gdyby tak trzydzieści lat w tył, kiedym się o waszą matkę starał, ojciec mojej przyszłej żony te do niej słowa powiedział; dajlibóg, chociaż to ojcowskie, aleby mi nienajprzyjemniejsze były. Wiem ja co miłość...

E M M A.

To też nam właśnie pobłażanie twoje zapewnia...

R U M I Ń S K I.

Jakto! pobłażanie!... nie rozumiem... alboż kiedy byłem?...

E M M A.

Nie mój ojciec, ale w tej chwili, gdy przyjedzie pan Alfons, racz pobłażać twojej córce; pozwól mi go poznać, ale poznać tak, ażebym z jego czynności moją przyszłość wyczytać mogła. Chociaż czuję już aż nadto, ile ma prawa do mojego serca.

R U M I Ń S K I.

Dosyć, tego tylko chciałem, jestem pewny, że zostaniesz jego żoną... (poruszenie Emmy)
Dobrze myślisz moja córko... poznać trzeba te-

go, kogo za przyjaciela dozgonnego obieramy, nie na pierwszy rzut oka, jak teraz czynią. Ze ma piękny wąsik, że ma śliczne oczy, że piękne wiersze pisze, że ładnie śpiewa, już ma zawrócić głowę; nie, lepiej się przekonać, czy te śliczne oczy, ten piękny wąsik i te gładkie poezje wraz z czarownym głosem, piękną także duszę posiadają. Prawda, i to są zalety... ale zdarza się często, że podły kruszec najmocniej powierzchownym połosem przyciąga do siebie. Alem się też rozgadał, darujcie mi moje kochane dzieci, wszystko na korzyść waszą. Poznaj więc jego przeszłego. I ty Ameljo, nie spuszczaaj z oczu Rudolfa.

EMMA. (*n. s.*)

Rudolfa!

R U M I Ń S K I.

Bo jego tu przybycie, zdaje mi się... tak zaraz na drugi dzień po powrocie... polowanie... niby znużenie... ale ja dorozumiałem się, co to znaczy... znużenie... byliście w zwierzyńcu na przechadzce... i od tego czasu dosyć często nas odwiedza. Nie mam nic przeciwko temu, dla przystojnego chłopca, przystojne dziewczę; ale tak porywczo działać nie można...

A M E L J A.

Rudolf wszakże nie oświadczył się jeszcze...

R U M I Ń S K I.

Nie, tak coś wspominał, że mu drogą jest nasza familja, że miłoby mu było... Ej, zresztą wiecie... jak teraz wszystko pod pokrywką się mówi... ale wnoszę, że mu Ameljo nie źle najechałaś serduszko.

EMMA. (*n. s.*)

Co słyszę?

AMELJA. (*z skrytą radością*)

Tak sądzisz mój ojczu; ja nie mniemałam...

R U M I Ń S K I.

Ale na co się taić, ty masz bystrzejsze oczki... czy nie? (*do Emmy*) dostrzegłaś, jak się Rudolf z kąta w kąt za nią włóczy, a jak odjeżdża do domu, to się tak żegna, jakby gdzie na drugi koniec świata jechał.

E M M A.

W istocie uważałam to... (*do siebie*) A więc to wszystko było dla Amelji...

AMELJA. (*postrzegłszy pomieszanie Emmy*)

Jak jest pomieszana!...

R U M I Ń S K I.

A więc widzicie, że ja choć stary, a poznałem się na tém. No, nie ma co mówić, Rudolf

przystojny, młody, a jeżeli jego majątek, nadewszystko sposób myślenia jest odpowiedni naszemu, nie będę przeszkadzał waszemu połączeniu. Tylko, ja uważałem... może mi się zdaje... ale on zbyt jawnie swoje uczucia wynurza, nie widać w nim tej skromności, co zawsze towarzyszyć powinna cnotliwym wzruszeniom. Tylkoż prawda, już teraz oswajają się z miłością wczesnie, w piętnastym roku kochać zaczynają, cóż więc dziwnego, że w dwudziestym czwartym śmiało do niej przystępują.

A M E L J A.

Jesteś uprzedzony mój ojczu, pan Rudolf nie takiego nie uczynił...

R U M I Ń S K I.

Oho, ho, dopiekłem ci... wydałaś się; zaraz w jego obronie stajesz; ja też mówiłem, że mi się tylko zdaje. No, moje dzieci teraz zostawiam was na chwilę, mam nadzieję, że nie sam do was powrócę. *(odchodzi)*

SCENA III.

AMELJA, EMMA.

A M E L J A.

Przyjedzie więc, bardzo go poznać ciekawo.
Tom V.

wa... ale ty Emmo w istocie tak jesteś obojętną... przybycie przyszłego męża, żadnego prawie na tobie nie czyni wrażenia.

E M M A.

Przyszłego męża!... ah Ameljo, proszę cię nie mów mi o tem.

A M E L J A.

Dla czegoż? wszakże człowiek tyle posiadający zalet, ile Alfons, z łatwością powinien znaleźć drogę do twojego serca.

E M M A.

Wyznaję, ale samo wspomnienie, że ojciec mi go przeznacza, że nie miłość moja sprowadza go w te strony... Zresztą, czujesz aż nadto dobrze, że sercu nakazać nie można. Być może, że gdybym dłużej była w Warszawie, pan Alfons może z niecierpliwością oczekiwanymby był odemnie, ale kilka tygodni znajomości, możeż tak daleko zaprowadzić?...

A M E L J A.

Jeden dzień, jedna chwila w miłości stanowi.

E M M A.

To prawda...

AMELJA. (z znaczeniem)

Zwłaszcza dla serca, co dotąd nie kochało.

EMMA. (*cokolwiek zapomniawszy się*)
Nie kochało?...

A M E L J A.
Czyliżby przeciwnie?...

E M M A.
Nie, właśnie ja mówię, że dotychczas jest
wolnem.

A M E L J A.
A więc miłość łatwo do niego przystęp znaj-
dzie...

E M M A.
Miłość? dotychczas nie mówiłam o niej z Al-
fonsem,

AMELJA. (*z znaczeniem*)
Może usta milczały, lecz oczy....

E M M A.
O zaręczam ci moja siostrzo, że moje oczy
zupelnie się z ustami zgadzały.

A M E L J A.
Może więc kogo innego twoje serce obrało?

EMMA. (*ukrywając pomieszanie*)
Jakież domysł, któż ci mógł tę myśl podać?

AMELJA. (*n. s.*)
Ona kocha....

RUDOLF. (*za sceną*)
Zaraz przyjdę.

EMMA. (*n. s.*)
Ah!

AMELJA. (*pilnie uważając Emmę*)
Rudolfa!

SCENA IV.

RUDOLF, AMELJA, EMMA.

R U D O L F.

Dzień dobry paniom moim, jakże się spało? (*do Emmy*) Pani zapewne przyjemnie snu używała, po zgiełku stolicy miłą jest wiejska spokojność. (*do Amelji, która zajęła się haftowaniem*) Pani już przy pracy? (*całuje ją w rękę*) nie używasz świeżości poranku, mniemałem, że cię pani w ogrodzie zastanę; pan Rumiński sam tylko się przechadza.

E M M A.

Jakto, sam jeden? Pan daruje. pójdę mu towarzyszyć. (*klania się i odchodząc mówi n. s.*) Stało się!

R U D O L F.

Panna Emma coś w nienajlepszym humorze; może ją zaczynają nudzić te drzewa, kwiaty, ta słodycz i przyjemność, rozlana w całej okolicy. (*chwila milczenia*) Dzisiejsze polowanie nie najlepiej się powiedzie. Dawniej miałem szczęście, iż odchodzącemu życzenie pomyślności towarzyszyło, i dziś po nie przyszedłem,

ale i pani mię nie słucha, miałażby moja obecność natrętną się stawać.

A M E L J A.

Panie Rudolfe, zkądże ten wniosek?

R U D O L F.

O dałyby nieba, żeby był fałszywym.

A M E L J A.

Ja sędzę, że mój sposób myślenia, jakikolwiekby był w tym względzie, mało go obchodzi.

R U D O L F.

Ah pani, zkądże ta oziębłość, czemuże zastużyłem na jej niełaskę.

A M E L J A.

Moją niełaskę?

R U D O L F.

Czyż ten wyraz zadziwia panią? ja, który pragnąłem zawsze na twoją życzliwość zasługiwać...

A M E L J A.

Czyliżem mu dała dowód, iż nie jestem mu życzliwą.

R U D O L F.

To prawda, dotychczas nie, ale w tej chwili.

A M E L J A.

Nie można zawsze być wesołą... są powody...

R U D O L F.

Przyjaźń nie może o nich wiedzieć.

A M E L J A.

Przyjaźń między kobietą a mężczyzną nie nakazuje zupełnej otwartości. Zresztą, 'co mnie

zajmuje, możeby nawet uwagi pana nie ściągnęło.

R U D O L F.

Ah pani, na cóż dłużej taic; każde twoje cierpienie jest mojem, każda twoja myśl pragnąłbym, ażeby moją była. Tyleż więc byłbym niešťczęśliwym, ażebyś pani aż dotychczas nie zdołała wyczytać z moich oczu, że cię ubóstwiam, że ty pani jesteś celem wszystkich życzeń moich.

A M E L J A. (z radością)

Co slysze?

R U D O L F.

Ah pani, jedno twoje slowo, błagam cię... zaklinam.., już miałem tak miłą nadzieję, chciałażbyś ją pani niweczyć.

A M E L J A.

Czekają na pana... poranek wzywa go do zwierzynca.

R U D O L F.

Ah, jak nielitościwie postępujesz ze mną, kiedy dusza moja dręczona niepewnością, wprazu pociechy od ciebie oczekuje...

A M E L J A.

Panie Rudolfie przebacz... (*chce się oddalić*)

R U D O L F.

Ani jednej chwili zatrzymać się nie chcesz! rozumiem co to znaczy, oddalasz się pani i tym

sposobem oświadczasz co ja uczynić powinienem. Oddalę się więc, nie chcę dłużej stawać się natrętnym osobie, która aż dotąd jedynie myśl moję zajmowała. Zostań pani, przyjmij moje pożegnanie, nieprzyjazne losy przywiodły tu moje kroki, zawsze jednak tę chwilę, kiedy cię pani pierwszy raz ujrzałem, błogosławić będę... (*chce odejść*)

A M E L J A.

Rudolfie. (*n. s.*) Co czynię... niebaczna!

R U D O L F.

Pani mię zatrzymujesz... każesz pozostać?

A M E L J A.

Mozeszli jeszcze o to pytać?

RUDOLF. (*w uniesieniu*)

Ah, teraz jestem najszczęśliwszym z ludzi!...
Dziś rzucę się do nóg twojego' ojca.

A M E L J A.

Nie, Rudolfie, nie... cierpliwości... Dziś przybywa narzeczony Emmy.

R U D O L F.

Narzeczony Emmy!...

A M E L J A.

Tak jest, Alfons Szczerzecki.

RUDOLF. (*przerazony*)

Alfons Szczerzecki!

A M E L J A.

Znasz go?

R U D O L F.

Tak, trochę... dawniej.. (u. s.) O nieszczęście!

A M E L J A.

Tem lepiej, miło ci będzie przypomnieć sobie dawną znajomość.

R U D O L F.

I to on zaślubia Emmę?

AMELJA. (z podejrzeniem)

Tak jest, ale dla czegoż się tak troskliwie wypytujesz? miałżebyś mniemać, że on nie skłoni jej serca dla siebie.

R U D O L F.

I owszem... zacny młodzian... Emma zezwała?

A M E L J A.

Prawie; będzie miał bardzo dobrą żonę, nadewszystko szczerą, bo szczerść, podług mnie jest wielką zaletą w kobiecie, wyobraź sobie, wyznała mi, że nie mogła obojętnie patrzeć na ciebie.

RUDOLF. (z uśmiechem)

Czy doprawdy?... ah, ileż jestem szczęśliwy, że dla ciebie mogę z jej miłości uczynić ofiarę.

A M E L J A.

Byłabym ci nigdy tego nie wyjawiała, gdy-

byś mnie nie zapewnił o twoich uczuciach. Domyślasz się teraz przyczyny smutku mojego...
mniemałam, że i ty kochasz Emmę.

R U D O L F.

O najdroższa Ameljo, dla ciebie, dla ciebie
jednej to serce bije!

A M E L J A.

Emma jest piękniejszą, młodszą; nie miałam
więc powodu do obawy, i kto wie: gdy-
by nie wiedziała, że ja twoich uczuć jestem
przedmiotem...

SŁUŻĄCY. (*wchodzi*)

Pan prosi pani do ogrodu, pan Alfons przy-
jechał. (*odchodzi*)

A M E L J A.

Za chwilę będziemy razem, pamiętaj na two-
je słowo!

R U D O L F.

O nie zapomnę o nim, droga Ameljo, ty je-
dna ze wszystkich kobiet zdołałaś zająć moją
duszę, dla ciebie wiecznie żyć pragnę. (*Ame-
lja odchodzi*)

SCENA V.

RUDOLF. (*sam, powtarzając słowa Amelji*)

»I że, gdyby nie wiedziała, iż ja jestem przed-
miotem twoich uczuć...» pewnoby mię... (*po*)

chwili) Tak... Emma mnie kocha! Dostrzegalem to sam nawet, iż ile tylko razy zbliżalem się do Amelji, Emma to odwracała się do okna, to szukała chustki, którą trzymała w ręku, to fałszywie uderzała akord na fortepianie... oh... prawdziwie, posiadać takie serce jest największym skarbem... ma się rozumieć z posagiem, który pan młody w dzień ślubu odbierze. Ależ przybycie Alfonsa, wszystkie moje szyki pomiesza. Zna mię dobrze, gotów odkryć moje położenie, całą nadzieję pokladałem w bogatym ożenieniu, nie źle już postąpiłem w moich przedsięwzięciach... gdyby jako z nim pomówić na osobności, uprzedzić go... ha, starajmy się uchwycić sposobną chwilę.

SCENA VI.

RUMIŃSKI, ALFONS, EMMA, AMELJA, RUDOLF.

R U M I Ń S K I.

Witam cię w moim domu, kochany Alfonsie; list twój wiele mi sprawił pociechy, z prawdziwą przyjemnością odebrałem go od ciebie, a przybyciem twoim dopełniasz mojej radości.

A L F O N S.

Jakże ci zdołam zawdzięczyć dobroć twoją panie.

R U M I Ń S K I.

Uszczęśliwiając moją Emmę; niczego więcej nie pragnę, i mam pewną otuchę, że się nie zawiodę na tobie. Co się tycze mojego zezwolenia na ten związek, mogłeś być pewnym, że przyjaźń od młodych lat łącząca mię z twoim ojcem, łatwo mnie do tego nakłoni. Ale jestem szczerym i dla tego mówię ci otwarcie, że córki mojej przymuszać nie będę; staraj się ująć jej serduszek, jeżeli ona powie: tak, to w tydzień najdalej odbędziemy wesele.

A L F O N S.

Wszelkich starań dołożę. Ale panna Emma już zawczasu zdaje się pozbawiać mię nadziei.

R U M I Ń S K I.

Eh, kochany mój Alfonsie, już cię powzdragać się trzeba, jakżeż od razu ci powie; tak, chcę ciebie. Przecież od wieków, mój przyjacielu, panny ze łzami w oczach a z radością w duszy postępują do ślubnego kobierca. Ale nie mówmy o tem. Mam honor przedstawić ci naszego sąsiada i przyjaciela domowego.

A L F O N S.

Co widzę, Rudolf! mój dawny znajomy...

R U D O L F.

Sądziłem, że tak długi przeciąg czasu zatrze

w pana pamięci naszą znajomość. (*z cicha do Alfonsa*) Chcę pomówić z tobą na osobności.

RUMIŃSKI. (*do Alfonsa*)

Cieszę się to mocno że go znasz, bo chciałbym o nim dowiedzieć się niektórych szczegółów. Śniadanie niezadługo wezwie was do siebie, każe poczynić przygotowania do niego. Spodziewam się, że u nas zabawisz przez parę niedziel przynajmniej.

ALEONS. (*spoglądając na Emmę*)

Ile mi tylko okoliczności dozwolą... chciałbym tu całe życie pozostać.

RUMIŃSKI.

Może i to nastąpi... co myślisz Emmo?

EMMA.

Mój ojczel!... (*spogląda nieznacznie na Rudolfa, który udaje jakoby tży ocierał. Emma go postrzega i siada osłabiona na krześle.*)

RUMIŃSKI.

Cóż ci jest Emciu?... czy znowu ból głowy... oh, to panińska choroba! jak pójdiesz za mąż wszystko się ukończy, te mdłości, te hicia serca, wszystko to... ale nie żartem słabnie. Ameljo, odprowadź ją do jej pokoju. (*Amelja wypełnia rozkaz ojca.*)

(*Rudolf ciągle ją śledzi oczyma*)

A L F O N S.

Obawiam się bardzo, czyli czasem obecność moja nie jest przyczyną tej nagłej słabości.

R U M I Ń S K I.

Kochany Alfonsie, nie myśl nawet o tém, to minie... za kilka chwil będzie zdrowiuteńka, zobaczysz.

R U D O L F.

I ja tak sędzę, a potem panna Emma, od powrotu swego z Warszawy, kilkakrotnie tak nagle na ból głowy cierpiała.

A L F O N S.

Jakkolwiek połączenie się z panną Emmą jest najdroższém dla mnie życzeniem, gdybym się jednakże przekonał, że zamiary moje są jej nie-miłe, zrzekłbym się ich natychmiast.

R U D O L F. (n. s.)

Czy tak? dobrze i o tém wiedzieć.

R U M I Ń S K I.

Spodziewam się, że wszystko pójdzie jak najlepiej, co myslisz panie Rudolfie?

R U D O L F.

U mnie się tak zdaje, panna Emma zbyt kocha swojego ojca, ażeby się miała zamysłom je-

go przeciwić. A potém, któż godniejszym od pana Alfonsa może być jej ręki?

RUMIŃSKI. (*zartując*)

Oh, oh, panie Rudolffie, tak go chwalisz, jak gdybyś żądał odwetu; no, no, ułoży się to wszystko, ułoży, może też i dwa wesela razem odbędziemy.

A L F O N S.

Co słyszę! Więc Rudolf pragnie Amelję zaślubić?

R U M I Ń S K I.

Nie, ja tego nie mówię... ale zapomniałaś o śniadaniu, a ty zapewne potrzebujesz go, wróć nieza długo. (*odchodzi*)

SCENA VIII.

RUDOLF ALFONS.

R U D O L F.

Pobył mój w tych miejscach zapewne pana zadziwił, ale do czegoż nas potrzeba nie przywoździ?

A L F O N S.

Jakimże przypadkiem?.....

RUDOLF. (*z udaną szczerością*)

Od sześciu lat nie widzieliśmy się z sobą. Wiesz dobrze, że po śmierci moich rodziców w spad-

ku otrzymałem tylko kilka tysięcy złotych. Dopóki żył mój ojciec, wstrzymywały mnie jego napomnienia, prośby, ale zaledwie dokonał zycia, wolny, oddałem się zupełnie mojej ulubionej namiętności. Porzuciłem korzystne miejsce i z koleżkami po całych dniach i nocach prawie, przy szumiącym szampanie, kładliśmy karty na lewo i prawo. Ta niewinna zabawa, społeczeństwo zacne, które mnie swoim naczelnikiem mianowało, wkrótce pozbawiły mnie szczupłego mojego majątku. Bez grosza, okropną przewidywałem przyszłość; pozostawiałem wszystko co miałem, nadeszły terminy wypłat, długi honorowe... musiałem potajemnie opuścić Warszawę, i udałem się do mojego przyjaciela, którego posiadłość o pół mili stąd odległa. Nie odmówił mi przyjęcia. Tu nastąpiła mi się sp osobność poznania Amelji i Emmy. Na ich widok czyjeż serce się nie wzruszy? i moje uczuło miłość. Pan Rumiński pozwolił mi bywać w swoim domu; nie wątpisz zapewne, że uczciwe zamiary i mojem sercem rządzą. Chcę się ożenić.

A L F O N S.

Majątek pana Rumińskiego do tego cię skłania.

R U D O L F.

Sądziś więc, że interes mną powoduje?

A L F O N S.

Rudolfie, nie ukryjesz przedemną twojego sposobu myślenia, znam cię aż nadto, aby moje zdanie o tobie błędnem być miało.

R U D O L F.

Znałeś mię powiedz raczej, ale nie znasz w tej chwili. Doświadczenie jest najlepszą nauką, a któż bardziej odemnie z ukończenia tej nauki poszczycić się może? Kto błędnie myślał, nie możeż już inaczej myśleć.

A L F O N S.

Pragnę z duszy, aby to co mówisz, nie było zmyśleniem.

R U D O L F.

Dowiodę ci tego Alfonsie, wkrótce się przekonasz, innego wemnie zobaczysz człowieka. Już zacząłem poprawę, wyobraź więc sobie, jakbyś mię nieszczęśliwym uczynił, gdybyś wyjawiał moją tajemnicę.

A L F O N S.

Mogę o niej zamilczyć, a szacując ojca, uwielbiając córkę, nie odwrócić od siostry niebezpieczeństwa, które jej zagraża!

RUDOLF. (*z udaną prawdą*)

Dobrze, więc wydaj wszystko, niechaj twoja źle zrozumiana życzliwość, pograży w otchłań nieszczęśliwego, który już porzucił swoje błędy, wyrzekł się haniebnej namiętności, w spokojności jedyne szczęście upatrywał, który wzdychał do związku, co mu ją miała zapewnić na wieki.

A L F O N S.

Rudolfie, mówiszże ~~ty~~ szczerze? Oh, gdyby tak było, sam dołożyłbym wszelkich starań, aże - by jak najprędzej tę chwilę dla ciebie przyspieszyć... Lecz gdy wspomnę... twój ostatni postęppek głośnym jest w Warszawie, proces z ofiara twojego okrucieństwa, oburzył wszystkich serca przeciwko tobie. Nie Rudolfie, tak postępować nie należało, ona kochała cię.....

RUDOLF. (*niepokojny ogląda się do kota*)

Mów ciszej... zaklinam cię! Wiesz to nawet, co przed tobą zataić chciałem; ale możnaż się dziwić błędowi człowieka, który ani jednej chwili nie miał do rozwagi, w gronie zepsutej młodzieży, pozbawiony rad prawdziwego przyjaciela, żyjący jedynie rozpustą, mógłżem postępować

wać inaczej. Złe waisnęło się w moją duszę, a widząc do koła same tylko zdrożności, wszystko zdawało mu się podziwem; a potem, byłaż to miłość, nie, raczej szaleństwo, ostateczność, w którą mię wciągnęły rozwiązłość inierząd. Teraz kocham prawdziwie, i jeżeli zataisz wszystko, sam się przekonasz jak miłość odmienić mię zdołała.

A L F O N S

Tyle lat błędu, możesz dni kilka naprawić...

R U D O L F.

Władza miłości nie jesteś ci znana?

A L F O N S.

Obyś ją uczuł! (*po namyśle*) Prawdę mówisz, czysta miłość wiedzie nas zawsze do cnoty. Rudolfe, zamilczę. Ale gdyby kiedykolwiek prawdziwe wieści doszły uszu Pana Rumińskiego, przysięgnij mi, że nie wydasz, iż wiedziałem o wszystkim.

R U D O L F.

Masz moją rękę.

A L F O N S.

Teraz staraj się stać godnym szczęścia, które ci przyszłość ukazuje; a ja sam dopomogę ci

do zakończenia z honorem wszystkich twoich
interessów w Warszawie. (*odchodzi*)

SCENA IX.

RUDOLF. (*sam*)

Tegom się właśnie spodziewałem. Otóż to, kiedy sobie człowiek zręcznie umie postąpić. O przewrotności! ty panująca bogini teraźniejszego wieku, wspieraj mię jeszcze, a pomysłność, która najczęściej ucieka od prostomyślących, stanie się moim udziałem! Ameljo, żal mi ciebie, ale sama temu jesteś winna; na co było wyjawiać tajemnicę Emmy? Od chwili, gdy ją poznałem, Amelja już niczem jest to w moich oczach, Emma jest wszystkiem. Lubo tak z jedną jak z drugą, równe szczęście, bo równy posag mię czeka, lecz miłość Emmy otwiera mi nową drogę do zapewnienia sobie ręki którejkolwiek. Alfons ją kocha, słyszałem dobrze co powiedział, moje zamysły omylić mię nie mogą. On mi nagrodzi niesprawiedliwość fortuny. Tak, odtąd Emma niech zajmie wszystkie myśli moje, czyli mówiąc szczerze: niech będzie sprężyną wszystkich moich

działań... ten poczciwiec Alfons, widząc zniweczone swoje nadzieje, miłość dla niej, допомоże mi albo wspaniałą ofiarą, albo pożyczką (co na jedno wychodzi) do pozyskania ręki tej, która jego starań była celem. Gdy mu powiem, że Emma mię kocha, przez wrodzoną wspaniałomyślność, wyrzecz się praw swoich do niej, a tatułko kochający córeczkę, rad nie rad zezwoli na połączenie, i ten niecierpliwie oczekiwany posag dostanie się w moje ręce. Cieszcie się koleżki, cieszcie się wierzyciele, w krótkce będą pieniążki w moich rękach, wkrótkce się zobaczymy. (*wybiega*)

AKT II.

(*Pokój Emmy, po prawej stronie gabinet, na przodzie sceny z téjże strony stolik.*)

SCENA I.

EMMA. (*sama siedząc przy stoliku, z głową na rękę opartą*)

Okropne położenie! za jednym serce przemawia, za drugim wola ojca... O Rudolfe, jakżebym była szczęśliwą, gdybym cię była nigdy nie widziała. (*wstaje*) Rzecz niepojęta, on, zawsze tak oziębły, rzadko nawet obdarzający mię swoim wejrzeniem, dziś z jakąż boleścią zdawał się błagać mię o wstrzymanie odpowiedzi. Miałżeby mię kochać? czy tylko zapalona wyobraźnia moja wszystko w przyjaznym wystawia sobie światle? Mówią, że Amelję kocha, sama to nawet dotychczas uważałam, że jej po-

święcał wszystkie swoje starania, swoje grzeszności. (*rozważa*) Kiedym osłabiona padła na krzesło, nie pobiegł na mój ratunek. (*z bolesnym przeświadczeniem*) Nie! on Amelją kocha! Uciszę się serce, niechaj Rudolf odtąd nieznanym będzie dla ciebie, zwyciężmy miłość, dobro siostry tego wymaga.... Ileż mię jej dobro też kosztować będzie! (*zamyślona siada, Rudolf wchodzi z cicha, i widząc, że jest sama, zbliża się do niej.*)

SCENA II.

EMMA, RUDOLF.

EMMA. (*zdziwiona*)

Pan Rudolf...

RUDOLF.

Boli mię to zadziwienie pani, czyliż troskliwość przyjaźni powinna obudzać to uczucie!

EMMA.

Nie... lecz sądziłam, że pan Rudolf na polowaniu.

RUDOLF.

Miałem opuścić ją, niedowiedziawszy się wprzód o stanie jej zdrowia? nie, tego nie mogłem uczynić.

E M M A.

W dziecina mu jestem, słabość minęła... (n. s.)

Przyjaźń tylko!

R U D O L F.

Dzięki niebu, domyśliłem się tego widząc wychodzącą pannę Amelię.

E M M A.

Poszła do ojca, zaspokoić jego trwogę.

R U D O L F.

Czy tylko ojca? zdaje mi się, że jest ktoś więcej, co z równą radością dowie się o jej powrocie do zdrowia.

E M M A.

Pan Alfons?... jest przyjacielem naszym...
Sama więc przyjaźń.

R U D O L F.

Przykro mi bardzo, iż dotychczas niepotrafiłem pozyskać zaufania pani.

E M M A.

Jak to pan rozumiesz?

R U D O L F.

Na cóż miłość przyjaźnią nazywać?

E M M A.

Miłość?...

R U D O L F.

Wszakże związek wasz bliski.

E M M A.

Ojciec chce tego...

R U D O L F.

A jej serce...

EMMA. (z uczuciem)

Głos natury wszystko zwycięża.

RUDOLF. (z mocą)

Nie znałaś więc pani miłości, nie kochałaś nigdy! Gdyby bowiem był przedmiot, z którymby cię łączyły, za którymby unosiły cię uczucia, twoje myśli, przysięgam, nie powiedziałyabyś pani „głos natury wszystko zwycięża!”

E M M A.

Zkądże Pan sądzić możesz o tem! Wolny, niezawisły od nikogo, własną chęcią wiedziony, kochasz, i pewnym jesteś, że przedmiot miłości twoim będzie. Nie wszyscy są tak szczęśliwi.

R U D O L F.

Przedmiot miłości, poznałażes go pani!

E M M A.

Amelja.

R U D O L F.

Wstrzymaj się. Nie odnawiaj moich cierpień, wszyscy jesteście w błędzie, Amelja posiada tylko moją życzliwość.

E M M A.

Co słyszę! Możeszli pan w tym błędzie utrzymywać ojca, który tylko tą myślą oddycha

który całą swoją radość, całe szczęście w połączeniu was zakłada.

R U D O L F.

Ja mężem Amelji? nigdy! możnaż serce płonące dla innej, przyjaźni poświęcać.

E M M A.

Dla innej?...

R U D O L F.

Znowu zadziwienie! Czyż martwe są moje spojrzenia? czy nie mogłaś w nich wyczytać tajemnie mojej duszy. Trudnoż było poznać, że Amelja... Prawdziwie kochający, mało mówi, usta jego milczą, ale oczy.....

EMMA. (*zmieszana*)

Oczy... to prawda, widziałam je dziś łez pełne.... sądziłam, że je radość wyciska...

R U D O L F.

Bez litości, bez najmniejszej litości, pastwisz się pani nad tym zboleiałem sercem. Radość łzy wyciska!... radość w tej chwili, kiedy twój ojciec żądał od ciebie stanowczej odpowiedzi dla Alfonsa! Nie mogłem tego przenieść na siebie, pragnąłem ukryć ból, oczy pomimowolnie mię zdradziły. Chciałem zataić wszystko, chciałem opuścić ten dom, w którym po pierwszy raz w życiu władzę miłości poznałem! gdzie niechciano

mię zrozumieć, gdzie obojętnością najgorętsze
placono uczucia, gdzie nakoniec najgrawano się,
zadając cios śmiertelny...

E M M A.

Cóż to za mowa... nie pojmuję.

R U D O L F.

Tak droga Emmo, nie mogę już dłużej mil-
czeć. Ciebie kocham, a Amelję, która ten okrop-
ny błąd wznieciła, Amelję nie nawidzę teraz.
O najdroższa Emmo, dla ciebie, dla ciebie je-
dnej to serce bije!

EMMA. (*w uniesieniu radości*)

Mamże wierzyć temu com słyszała! Nie jest-
że to sen, ty mię, mię kochasz.

R U D O L F.

Przysięgam u nóg twoich, ty jesteś wszystkim
dla mnie, odkąd ciebie poznałem, ziemię w nie-
bo mi zmieniłaś. Okrutna! poznaj teraz ilem cier-
piał, ile cierpię dotąd! Niewiadomość, jeszcze
mię wątpliwą przynajmniej cieszyła nadzieją,
teraz z przybyciem Alfonsa, okropną pewność
wszystko mi wydziera. Przez litość, kiedy już
wszystko utracam, wyznaj mi Emmo, niebyłem
przynajmniej celem twojej nienawisci?

EMMA. (*z uczuciem*)

Mojęj nienawiści!... nie karz mię tak srogo Rudolffie. (*po chwili, nieśmiało*) miałazem ci pierwsza wyznać moje uczucia?

R U D O L F.

Co słyszę?... (*n. s.*) Tegom się spodziewał. Jest i druga.

E M M A.

Słabymże była dowodem ta głęboka boleść, którą we mnie wzniecił widok łez w twoich oczach. O Rudolffie, Rudolffie, nasze serca jedno zajmowało uczucie, a nasze myśli zrozumieć się nie mogły.

R U D O L F.

Emmo!

EMMA. (*rzucając się w jego objęcia*)
Rudolffie!

SCENA III.

AMELJA, EMMA, RUDOLF.

AMELJA. (*w głębi*)

O nieba! co widzę!

EMMA. (*spostrzegłszy ją, strętwiała*)
Siostra!

R U D O L F.

Amelja!... okropne położenie!... (*po chwili szybkiego namysłu*) Boleść twoja pani zdaje się powiększać, nie jest to przemijająca słabość...

radziłbym wezwać lekarza. (*Emma siada, Rudolf niby dopiero postrzegając Amelję*) Ah panno Ameljo, stan zdrowia panny Emmy jest zatrważający. (*zmieszany do najwyższego stopnia*) Chciała właśnie udadź się do ogrodu, i zaledwie kilka postąpiła kroków, omdlenie sił ją pozbawiło.

A M E L J A.

Przyniosę ci... (*odchodzi*)

EMMA. (*prędko do Rudolfa*)

Dla czegoż ukrywasz prawdę? wyznam wszystko.

RUDOLF. (*tak samo*)

Zgubisz nas oboje. Dowiedz się, że Amelja mię kocha, przed chwilą sama to wyznała. Jedno twoje słowo rozłączyć nas może na wieki. (*oddala się od niej*)

AMELJA. (*wraca, podawszy jej flakonik i mówi po chwili*)

Emmo, jakże lepiej ci już teraz?

EMMA. (*cichym głosem*)

Daleko lepiej.

A M E L J A.

Dla czegożeś mi kazała donieść ojcu i panu Alfonsowi, że zupełnie jesteś zdrową. Z taką

radością przyjęli oba tę wiadomość, wkrótce
cię mają odwiedzić.

EMMA. (*n. s.*)

O nieba!

RUDOLF. (*cicho do Amelji*)

Jakaż przyczyna tego widocznego wzruszenia
w tobie Ameljo? miałabyś wyjawić ojcu naszą
miłość?

AMELJA. (*podobnież z powątpiewaniem*)

Naszą miłość?...

R U D O L F.

Zkądże powątpiewanie? czyliż ci mało dałem
dowodów, pragniesz ich więcej? czego tylko za-
żadasz! ale wyjdźmy; muszę z tobą pomówić,
w altanie ogrodowej czekam na ciebie.

AMELJA. (*po chwili*)

Będę tam! (*gdy Rudolf idzie do Emmy, mó-
wi sama do siebie*) Nie wiem dla czego wszyst-
ko co on mówi, zda mi się być wątpliwem.....
O miłości, niespokojność jest nieodstępna two-
ją towarzyszką.

RUDOLF. (*głośno, stojąc przy Emmie*)

Pani, chwila twego do zdrowia powrotu, bę-
dzie chwilą największej radości dla nasz wszy-
stkich, oby jak najprędzej nadeszła! (*do Em-*

my) Pamietaj, że moje życie od ciebie zawisło! (*do Amelji*) Czekam na ciebie w ogrodowej altanie. (*wychodząc*) Zegnam!

A M E L J A,

Zostawiam cię samą, ojciec niebawem tu nadejdzie.

E M M A.

Opuszczasz mię?...

A M E L J A.

Na chwilę tylko. (*odchodząc, spogląda na siostrę i z westchnieniem mówi*) Oh, jak ona jest piękną!...

SCENA IV.

EMMA. (*sama*)

Amelja go kocha! Biedna siostró! pojmuje twoje cierpienia, wiem już co to jest kochać, a nie być kochaną! Nie wiem jakie przeczucie mną miota; radość i smutek kolejno mię przejmują, poznaję źródło tych wzruszeń. Ah mój ojczco, mamże się na twój gniew wystawiać, mamże nieposłuszeństwem dobroć twoję wynagradzać? ten Alfons, którego mi za męża przeznaczasz, nigdy moim nie będzie; serce moje nie może znieść tej myśli. Lecz jakże wyznać

ojcu, mamże wyjawić, że Rudolfa kocham?...
Cóż na to Amelja powie?... (*zamyślona siada*)

SCENA V.

RUMIŃSKI, ALFONS, EMMA.

RUMIŃSKI. (*w głębi*)

Zamyślona... założyłbym się, że o tobie myśli, dobra Emma, ona tak jest do mnie przywiązana, pewny jestem, że cię będzie kochać, a może już i kocha.

ALFONS.

Ta nadzieja, najśladzszym wzruszeniem napa-
wa moją duszę.

RUMIŃSKI.

Ale zacznijno z nią... cóż u kata!... wojsko-
wy i taki nie śmiały; eh, do kroćset, czyż chcesz
żebym ja się za ciebie oświadczał?...

ALFONS.

Nie chciałbym stać się natrętnym, może
słaba...

RUMIŃSKI.

A ja ci powiadam, że zdrowa; słaba, słaba,
ona nie odebrała modnego wychowania tych
panienek, którym najmniejszy wietrzyk zaraz
szkodzi... Emmo! Emciu!

EMMA. (*wstając nagle*)

Ah!

RUMIŃSKI. (*wesoło*)

O czémżeś tak głęboko zamysłona, przecież nie ma nic tak straszego... mąż, wierz mi moja Emmo, z czasem sama to przyznasz, nie jest jak ci się zdaje, tak bardzo rzecz nieprzyjemna... Ale namysł jest potrzebnym, bardzo potrzebnym; zenimy się na całe życie, bo brzydzę się rozwodem.

EMMA. (*nieśmiało*)

Dla tego właśnie mój ojciec...

RUMIŃSKI.

Wiem, dla tego rozważałaś dobrze, dobrze, ale próżna obawa; ojciec twój wie aż nadto, czego ci życzy.

EMMA.

Pan Alfons...

RUMIŃSKI.

Zasługuje na twoją miłość, godzien jest tego.

EMMA.

Ale ja...

RUMIŃSKI.

Nie śmiesz mu tego powiedzieć, nieprawdaż? a zwłaszcza w obecności trzeciego! no, no, wiem ja o tém; rozmowa sam na sam najpotrzebniejszą jest dla przyszłych małżonków.

EMMA.

Nie...

R U M I Ń S K I.

Nie wątpię o tém, nie wątpię. (*n. s.*) Alfonsie, że będzie twoją, to już ci naprzód zaręczyć mogę. Ten namysł, to wzruszenie, ta niespokojność, to poprzedniki ślubne u panien. (*głosno*) Do widzenia moje dzieci, zwierzcie się jedno drugiemu, radbym z duszy, aby ten związek jak najprędzej przyszedł do skutku...

E M M A.

Ale mój ojciec...

R U M I Ń S K I.

Zostań... Emmo, jak byłaś dotąd, będziesz i nadal pociechą moją. Oddalisz się wprawdzie odemnie; ale przekonanie, że jesteś szczęśliwą, pocieszać mię będzie po twój stracie. A potem lube wnuczeta!... Oh, serce ledwie z radości nie wyskoczy na to wspomnienie. Przyspiesz więc ojcu tę chwilę. (*odchodzi*)

SCENA VI.

ALFONS, EMMA.

EMMA. (*n. s.*)

On tak szczęśliwy! mamże zniszczyć radość jego!

ALFONS. (*n. s.*)

Ten smutek nie najlepszą jest wróżbą (*głosno*) Pani...

EMMA. (*starając się zebrać siły*)

Chwilę jeszcze... przez litość panie Alfonsie
jeszcze chwilę namysłu...

A L F O N S.

Ja cię nie przynaglęłam moja pani; te miejsca
są wszystkiem dla mnie, jeżeli rozkażesz ocze-
kiwać będę cierpliwie czasu, który sama na-
znacysz do wydania wyroku mojego szczęścia.

EMMA. (*n. s.*)

I on związek ze mną szczęściem nazywa!

ALFONS. (*n. s.*)

Mówi sama do siebie... zostawmy ją. (*chce
odejść*)

EMMA. (*z stałym postanowieniem*)

Panie Alfonsie, proszę o moją rękę... oto
ją masz...

A L F O N S.

Co słyszę! nie jesteście to snem?... ah, dobroć
twoja!...

E M M A.

Wstrzymaj się z dziękczynieniem, złorzecz
mi raczej, oddaję ci rękę, jako posłuszna cór-
ka, ale jak szczerą niewiastą, oświadczam, że
serce moje inny posiada.

A L F O N S.

Boże!...

EMMA. (*rzucając się do nóg jego*)

Ah panie, pojmuję twoje cierpienia; ale klęcząc błagam cię, wzgardź mną w przytomności ojca, wyrzecz się mojej ręki; tak godny jak ty człowiek znajdzie dla siebie kobietę, która z radością uczucia twoje podzieli... Emma już nie jest wolna, dopełni jednak rozkazów ojca, ale jakiż los nasz hędzie?! Ah panie! Zaklinam cię, miej litość nademną, czuję ile zasługujesz być szczęśliwym, i dla tego wyznaję ci wszystko, kocham, kocham Rudolfa!

ALFONS. (*po chwili namysłu, grą niemą wyraża powzięty zamiar i spiesznie odchodzi*)

SCENA VII.

EMMA później AMELJA.

EMMA. (*przerażona*)

Co to znaczy... ani jednego słowa odpowiedzi?... chciałżeby?... O nie!... Alfons tego nie uczyni!

A M E L J A.

Droga siostrze, cóż to jest?... Alfons wybiegł błady, pomieszany, lży nawet zdało mi się widzieć w jego oczach... skwapliwie dowiadywał się o Rudolfa.

E M M A.

Oh Boże!

A M E L J A.

Zkądże ta trwoga?...

E M M A.

Siostró, i ty mię jeszcze pytasz; serce moje już Rudolf posiada.

A M E L J A.

Rudolf! nieszczęśliwa!

E M M A.

Wyznałam to Alfonsowi..... może walczyć z sobą będą... czuję okropną trwogę.

A M E L J A.

Emmo, jakże cię żałuję, nie Rudolf podziela uczuć twoich. -

E M M A.

Co mówisz?

A M E L J A.

Jak bolesno dla siostry, że sercu twojemu zada cios śmiertelny, ale Rudolf mię dzisiaj miłość zaprzysiągł.

E M M A.

Rudolf?... nie, to być nie może!

A M E L J A.

On sam ci to powie...

E M M A.

Dziś mówisz?

A M E L J A.

Tak, dziś przed niewielu godzinami.

E M M A.

Rudolf!... Boże!... mężczyzna.

A M E L J A.

Ale zkadże ta wątpliwość, a potem mógłże on wiedzieć, że twoje serce dla niego pała...

E M M A.

Czy on mógł wiedzieć? Ameljo, i twojego nie zazdroszczę losu...

A M E L J A.

Cóż przez to rozumiesz?

E M M A.

Dowiedz się, że i mnie do zgonu uwielbiać zaprzysiął i kiedyś widziała mnie w jego objęciu, była to chwila wzajemnego wyznania się. (*po namyśle*) Ale Ameljo, stałość.. nią wszystko zwyciężyć zdołamy. Rudolf żadnej z nas nie kocha; wykrywa się jego haniebny sposób myślenia. wzgardza zasłużoną nagrodą. Utajmy wszystko przed ojcem; pójdź droga sistro niech ten uścisk znowu połączy te serca, które nienawiścią tchnąć miały. Ktoś nadchodzi... to Alfons, oddalmy się, jeszcze nie jestem zdolną odpowiedzieć mu.

SCENA VIII.

ALFONS, później RUDOLF.

A L F O N S.

Nigdzie znaleźć go nie mogę, mówiono mi,

Tom V

18

że się udał do pobliskiego zwierzyńca, posłałem po niego... Spełniły się moje przeczucia, już nigdy dla mnie pomysłność nie zabłyśnie, straciłem wszystko; wszystko, nawet nadzieję. Rudolfa więc kocha!... oh, jakże jej żałuję... czémże on jej miłość wynagrodzić zdoła?... potrafisz ten poznać czystość uczuć, kto całą młodość kaził nieszlachetnemi czynami... Ale szanujmy go... Emma go kocha... widać, że zasłużył na to, może też jego przysięgi nie uleczą z wiatrem, miłość często naprowadza na drogę cnoty.

RUDOLF. (*wchodząc, zrzuca z siebie torbę myśliwską i kładzie fuzję*)

Mówiono mi, że mię kazałeś szukać, cóż za interes?... przerwano mi najprzyjemniejszą zabawę... z pod nóg prawie zając mi się wysunął. Cóż tak pilnego?

A L F O N S.

Jesteś kochany?

R U D O L F.

To nie nowina dla mnie, Alfonsie, wszakże ci to sam powierzyłem. (*n. s.*) Nie wiem, o której mam mówić.

A L F O N S

Związek małżeński, miłość tę uwiecznić powinien.

R U D O L F.

Ja też właśnie myślę o tém, nie wiem tylko, czy pan Rumiński zezwoli, naturalnie, należy się spytać przyszłego zięcia: Czém Wpan jesteś? czém się trudnisz? jaki posiadasz majątek? a jak mu odpowiem: jestem pustakiem, który stracił wszystko co miał; niczém się nie trudnię, bo mi nie powierzyc nie chciano, posiadam to wszystko, co mi przyszłość dać może, pewny jestem, że małżeństwo nie tak prędko przyjdzie do skutku.

A L F O N S.

Czy ty czujesz całą wartość tej, która ci serce swoje oddała? Czy jej uszczęśliwienie będzie najpierwszém twojém staraniem?...

R U D O L F.

To pytanie...

A L F O N S.

Pragnę odpowiedzi, Rudolfie, ona cię kocha, ten anioł dobroci, życie swoje ci oddaje, zaprzysięgła ci miłość...

R U D O L F.

Wiesz o wszystkiém?... prawda... (n. s.) obie zaprzysięgły.

A L F O N S.

Opuszczę ten dom z żalem; ale nie mogąc pozyskać miłości, chcę na przyjaźń zasłużyć.

RUDOLF. (*n. s.*)

Ha! to o Emmie mowa. (*głośno*) Ty i tak już naszym przyjacielem jesteś, przeczuwałem twoje cierpienia, gdym słyshał w błędzie zostającego ojca; sądził, że Amelja jest celem mojej miłości.

A L F O N S.

Ale mówmy o waszym związku. On tylko może pomyślność Emmy stanowić. Rudolfe, nie zawieź jej nadziei, jeśli kto, to ona zapewne najgoźniejszą jest szczęścia na ziemi. Wyznaję... obecne twoje położenie, byłoby może największą przeszkodą do zezwolenia ojca na wasz związek, lecz i temu zaradzić postanowiłem. Zamyślając o połączeniu się z Emmą, jedynie jej szczęścia pragnąłem, oddając tobie część mojego majątku, tym samym zapewniam je dla niej.

RUDOLF. (*z ukrytą radością*)

Co słyshę?

A L F O N S.

Nie obrażaj się mój przyjacielu, znam twoje położenie. Wygotuję ci za chwilę zapis urzędowy, mocą którego staniesz się panem jednej części mojego majątku.

' RUDOLF. (z udaniem)

Co, jałmużna z rąk współzalatnika, chciał-
zebyś mię unizyc do tego stopnia? -

A L F O N S.

Ah, cieszy mię twój sposób myślenia, z ra-
dością poglądam na tę zmianę. Ona mi zapo-
wiada pomysłność Emmy. Rudolffie, nie unizysz
się przyjęciem tego małego zasitku, owszem ja
wdzięczny ci będę, że mi pozwolisz mieć choć
najmniejszy udział w uszczęśliwieniu Emmy.
A jeżeli nie chcesz przyjąć odemnie jako dar
przyjaźni, przyjmij więc jako pożyczkę...

R U D O L F.

Nie wiem, czy zdołam ci kiedy tę dobroć wy-
nagrodzić?

A L F O N S.

Rudolffie, kiedy już posiędziesz tę drogą isto-
tę, unikaj zwodniczych uciech stolicy, wyrzecz
się gry, życie twoje całe poświęć żonie, go-
dną jest tego. Ona niech będzie wszystkich
twoich życzeń, wszystkich twoich przyjemności
i chęci zbiorem; a jeżeli kiedy ta czcigodna
kobieta, pamiętna swego przyjaciela, doniesie
mu, że z tobą szczęśliwa, jedyne moje życze-
nia spełnione zostaną. (odchodzi)

R U D O L F.

O Alfonsie!

ALFONS. (*wracając*)

Jeden tylko kładę warunek: niech mój postępek będzie dla niej tajemnicą; ona mi nie sprzyja, dla własnego więc twojego dobra zamilcz przed nią; kto wie, możeby i pomyślność nawet, do której ja się przyłożyłem, przykra dla niej była. (*odchodzi mocno wzruszony.*)

RUDOLF. (*sam*)

Zacny człowiek! wyznaję, że postąpił tak, jakbym ja w podobnym przypadku pewno nie uczynił. Związek tedy z Emmą już nie jest tak daleki, panna mię kocha, rzecz najgłówniejsza, mam majątek, więc ojciec nie będzie się opierał uszczęśliwieniu swej córki, tym bardziej gdy Alfons sam dobrowolnie wyrzecz się jej ręki. Więc nie zawiodły mię moje rachuby, mógłżem mniemać, że tyle przeszkód ulegnie mojej wytrwałości! Prosił mię o tajemnicę, dziwny człowiek, jak mógł wątpić o tem. Zaleca mi szczęście Emmy, to przecież już granicę przyjaźni przechodzi, zresztą zobaczemy. Emma ładna, dobra, tkliwa, ma tysiące pięknych przymiotów, wyznaję; jednakże, aby sama jedna

całą moją przyszłość zajmować miała, to zdaje mi się niepodobieństwem. Zresztą zobaczymy, może to wszystko z czasem przyjdzie. (*siada*)

(*Emma i Amelja, weszły przed końcem monologu, Amelja spostrzegłszy Rudolfa, prosi siostry, aby się zatrzymała nieco w przyległym gabinecie.*)

SCENA IX.

AMELJA, EMMA, RUDOLF.

AMELJA. (*cicho do Emmy*)

Chwilę tylko, sama się przekonasz!

(*Emma oddała się do gabinetu, którego drzwi zostają otwarte*)

AMELJA. (*przychodzi na przód sceny*)

Pan Rudolf cóż tak zamysłony?...

RUDOLF.

Ab, Amelja! przebacz pani. (*n. s.*) Mamże jej wszystko wyznać? nie... kto wie jeszcze jaki obrot rzeczy wezmą... ostrożnie.

A M E L J A,

Czy nie mam odpowiedzi?

RUDOLF. (*obejrzawszy się ostrożnie do koła*)

Amelja odemnie była daleko i pyta jeszcze dla czego Rudolf zamysłony? czyliż nie ty jesteś jedna na świecie, z którą każdą chwilę chciałbym

wspólnie przepędzić i zda mi się, że ta, która zdała od ciebie dla mnie przemija, jest ujmą mojego życia.

A M E L J A.

Więc ty mię kochasz Rudolfie?

R U D O L F.

To pytanie z ust kochanki... Czyliż ci nie poprzyślałem... nie ufasz więc mojemu słowu?

A M E L J A.

Mówiłeś mi, czy żądam dowodów twojej miłości?... gdybym ich zapragnęła?

R U D O L F.

Jakich, powiedz najdroższa Ameljo, na wszystko jestem gotowy...

A M E L J A.

Na wszystko? czy z rozwagą wymówiłeś ten wyraz panie Rudolfie?

R U D O L F. (*n. s.*)

Co to znaczy, ale odważnie! (*głośno*) Na dowód powtarzam co powiedziałem: na wszystko jestem gotów!

A M E L J A.

A więc dziś jeszcze oświadczyć się mojemu ojcu.

R U D O L F.

Pozwalasz, oh Ameljo! czemu ci tę radość zawdzięczyć zdołam...

A M E L J A.

Zapewniając mi posiadanie ciebie, wyrzeczeniem się na wieki ręki Emmy...

RUDOLF. (*osłupiały, nie tracąc przytomności*)

Ręki Emmy?! (n. s.) miałażby wiedzieć? nie ma nikogo!... dalej trwajmy w swoim.....

(*Emma zwolna wychodzi z gabinetu.*)

A M E L J A.

Jakże, Rudolfie wyrzekasz się więc Emmy?

R U D O L F.

Jakże mogę zrzekać się tego, o czém nigdy nie myślałem, Emma jest dobrą, przyjemną, ale któż może pokochać Emmę, poznawszy Amelję?

A M E L J A.

Dosyć mi na tém, pójdźmy więc do ojca...

R U D O L F.

Jakto, teraz natychmiast?...

AMELJA. (*przypominając mu*)

Nie będę już od ciebie zdala życia przepędzała...

R U D O L F.

Przebacz mi... mogłem się jeszcze namyślać (*chce odejść, postrzega Emmę, która zbliżyła się ku środku sceny, blada, osłabiona.*) Emma!!...

A M E L J A.

Tak ona była świadkiem przysięg twoich...

EMMA. (*z wewnętrzném czuciem jednak stale*)

Ameljo, ciebie proszę, abys i mnie podobną przysługę wyświadczyć raczyła, gdy pan Rudolf do mnie swe przysięgi zwróci...

RUDOLF. (*n. s.*)

Oto położenie, gdyby tylko jedna się została, potrafiłbym się jeszcze uniewinnić. (*głośno*) Ależ moje damy, pozory są przeciwko mnie, ja nic takiego nie uczynilem.....

E M M A.

Coby godnem było uczciwego człowieka. Słyszaliśmy całą rozmowę twoją z Alfonsem...

R U D O L F.

Zginałem! (*głośno*) Ależ panie, losu niezycieliwość małżi być występkiem?

E M M A.

Przestań obłudny! spadła z ciebie zasłona, poznałyśmy najszkaradniejsze stworzenie maską cnoty okryte, wzgarda całą twoją nagrodą. Mogłeś zaniecić w dwóch sercach ogień miłości, ale twoje nieczne postępkki wszystko przytłumić zdają...

R U D O L F.

Jednak pozwólcie panie usprawiedliwić się... kto wie, może byłem zmuszony do podobnego postępowania.....

A L F O N S.

Cóż zdola godnie myślącego człowieka do podłości nakłonić?...

R U D O L F.

Ha, to już za wiele!...

E M M A.

Kto bez wzdrygnięcia, z upodobaniem nawet dwóm ofiarom wydierał życie, bo odbierał im spokojność, ten godnie zasłużył na ohydniejsze jeszcze nazwisko. Ale, niech mój ojciec przynajmniej nie wie o naszych cierpieniach; panie Rudolfe, sądę, że i twój własny interes milczyć ci nakazuje.....

SCENA X I OSTATNIA

RUMIŃSKI, ALFONS, RUDOLF, EMMA, AMELJA.

RUMIŃSKI. (*wyprowadzając Alfonsa*)

Dzieci moje, powiedzcie mi co to ma znaczyć. Mój Alfons chce odjechać... Emmo czy tak dopeliłaś słodkich nadziei twojego ojca?

A L F O N S.

Ale panie dobrodzieju, jakim już powiedział, ja sam trzekam się ręki panny Emmy, mam moje przyczyny...

R U M I Ń S K I.

Oh, to me uchodzi!... tak mówić nie można

kto pogardza ręką mojego dziecięcia, nie może powiedzieć: «mam moje przyczyny» ojciec chce je poznać, mogłyby one uwłaczać honorowi jego córki.

A L F O N S.

Nie przymuszaj mię pan wyjawić to, czego wspomnienie samo, przez całe życie boleścią przenikać mię będzie.

R U M I Ń S K I.

Co to się ma znaczyć?... eh, to się tak skończyć nie może... mówisz, że się wyrzekasz jej ręki, a przez całe życie masz cierpieć. Alfonsie, nie taj dłużej przedemną. Emmo, wyznaj mi wszystko.

ALFONS. (*z cicha do Rudolfa, oddając mu papier*)

Teraz pora.

R U D O L F.

Chciałbym... lecz nie mogę.

EMMA. (*która od wejścia Alfonsa, uważała każde jego poruszenie*)

Wstrzymaj się panie Alfonsie, wspaniałość twoja, możeby ci kiedyś żalować kazała tego postępu.

A L F O N S.

Pani...

E M M A.

Wiem o wszystkiem. (*z namysłem*) Ojciec mój

pragnałeś stanowczej odpowiedzi twojej córki.
(*do Alfonsa oddając mu rękę*) Oto masz rękę i serce!

A L F O N S.

O najdroższa Emmo! jaką nagrodę odbieram!
Cóż wyrówna mojej radości, mógłżem sądzić,
ze moje cierpienia taki kres mieć będą...

EMMA. (*z znaczeniem*)

Przebacz... przebacz mi...

R U M I Ń S K I.

Co znaczy? cóż ci ma przebaczyć?...

ALFONS. (*z żywością*)

To, że tak długo w niepewności zostawałem.

R U D O L F.

Przyjmie moje najszczerze powinszowanie..
Alfons godniejszym jest od wszystkich nagrody
jaką otrzymuje...

R U M I Ń S K I.

Bylem tego pewny; wyobraźcie więc sobie
moje zadziwienie, gdy Alfons o pożegnaniu
wspomniał... Była to mała chmurka, przeszła
i Bogu chwala znówu nam przyjazne słońce za-
błysło...

ALFONS. (*oddając skrycie Rudolfowi papiery*)

Czuje ile tracisz, przyjmij od przyjaciela, któ-
ry nigdy nie zapomni ile ci winien... (*Rudolf*)

odbiera zręcznie papier i ukrywszy go, bierze torbę i fuzję)

RUMIŃSKI. (*widząc Rudolfa, żegnającego się z Amelją*) Gdzież to panie Rudolfie, nie zatrzymasz się u nas do wesela Emmy?...

R U D O L F.

Listy, które dziś właśnie odebrałem, zmuszają mnie do najspiesniejszego odjazdu, mniemam, że bardzo daleko od was będę... lecz w którąkolwiek udam się stronę, nigdy nie zapomnę dobroci was wszystkich a szczególnie waszej mojej panie... (*odchodzi*)

R U M I Ń S K I.

Szkoda, że odjeżdża, myślałem o dwóch weselach... No Ameljo, jeszcze my zostaniemy z sobą.

K O N I E C.

MAŻ WDOWY

KOMEDJA

W JEDNYM AKCIE

z francuzkiego

P. Alexandra Dumaś.

TEUMACZONA.



GRANA PIERWSZY RAZ

NA NOWYM

TEATRZE ROZMAITOSCI

d. 5 Października 1836 r.

O S O B Y.

PAN DE VERTPRÉ	JP. <i>Jasiński.</i>
PANI DE VERTPRÉ	JPa. <i>Żuczkowska.</i>
PAULINA, jej synowica	JPa. <i>Daszkiewicz.</i>
LEON AUVRAY, narzeczony Pauliny	JP. <i>Piasecki.</i>
HELENA, służąca pani de Vertpré	JPa. <i>Rostkowska.</i>

(*Scena w domu wiejskim w okolicach Paryża.*)

MAŻ WADOWY.

(Scena przedstawia salonik. W pierwszej kulisie po lewej widzów drzwi, prowadzące do pokojów pani de Vertpré. Po prawej w tęże samą kulisie, do pokoju Pauliny. W drugiej kulisie po prawej, kominek, na którym ogień się pali. W głębi drzwi podwójne. W kącie na drugiej stronie, okno wychodzące na ogród. Na przodzie sceny po prawej stół, na nim otwarte album, przy niem ołówek... Za podniesieniem zasłony, słychać dwókratne dzwonienie w pokoju Pani de Vertpré, potem powtarzany z niecierpliwością wyraz: Heleno! Heleno!)

SCENA I.

(Pani de Vertpré wchodzi z jednej strony, Helena z drugiej. Pani de Vertpré w ubiorze rannym, rzuca na krzesło szalik, który trzymała w ręku)

PANI DE VERTPRÉ, HELENA.

PANI DE VERTPRÉ.

Cóż to jest, mościa panno, dzwonię, wołam i nie przychodzisz. Czemuże to byłaś zajęta?

H E L E N A.

Ubierałam pannę Paulinę.

PANI DE VERTPRÉ.

Zejdź po odebranie listów, widziałam wcho-
dzącego oddawcę, a oczekuję jednego z nie-
cierpliwością.

HELENA. (*otwiera drzwi*)

Oto Józef idzie z niemi.

PANI DE VERTPRÉ.

Odbierz je i podaj mi.

H E L E N A.

Czy mogę wrócić do panny Pauliny?

PANI DE VERTPRÉ.

Nie, zostań. (*czytając adresa*) »Do rąk pani
de Vertpré wdowy.« (*rzuca list*) »Do pani Ade-
li de Vertpré.« To jego pismo. (*otwiera*) Dzi-
siał..... dzisiaj przyjedzie. Kochany Adolf! He-
leno pójdź tu i słuchaj dobrze co ci powiem.
Tego rana, przedstawi się mężczyzna od 35 do
36 lat mający, będzie chciał mówić ze mną i je-
żeli nie będę sama, uprzedzisz mię o tém, jeże-
li przeciwnie, pozwolisz mu wejść.

H E L E N A.

Czy pani raczy mi powiedzieć jak się nazywa?

PANI DE VERTPRÉ.

Nie potrzeba, poznasz go choć nie wymieni

swojego nazwiska. Prócz pana Leona Auvraj, narzeczonego Pauliny, który nas codziennie tu na wsi odwiedza, nie przyjmuję nikogo; więc...

H E L E N A.

Gdybym się omyliła, pani nie gniewałaby się na mnie, bo.....

PANI DE VERTPRÉ.

Włosy ciemne, oczy czarne, wzrostu średniego; oto jest jego opis, nie zapominaj.

H E L E N A.

Gdyby pan Leon był przy pani, toby nic nie szkodziło?

PANI DE VERTPRÉ.

Bez wątpienia.

H E L E N A.

A jeżeli pani będzie się ubierać?

PANI DE VERTPRÉ.

Przyprowadzisz go do mnie.

H E L E N A.

Nie uprzedziwszy pierwej?.....

PANI DE VERTPRÉ.

Tak jest.

H E L E N A.

Przepraszam panią za te pytania, ale pani nie zwykła przyjmować wszystkich.

PANI DE VERTPRÉ.

Osoba, której oczekuję nie jest wszyscy.

H E L E N A.

Chciałam powiedzieć nieznanym.....

PANI DE VERTPRÉ.

Ten pan nie jest nieznamomy.

HELENA. (*wychodzi*)

A więc dobrze pani, jak tylko jej krewny przybędzie...

PANI DE VERTPRÉ.

Ale ja nie oczekuję żadnego krewnego.

HELENA. (*przebiegle*)

A więc zgaduję.

PANI DE VERTPRÉ.

Bardzo źle zgadujesz.

H E L E N A.

To jest...

PANI DE VERTPRÉ.

Mój mąż?

H E L E N A

Mąż pani! ale wszyscy panią uważają za wdowę.

PANI DE VERTPRÉ.

Wszyscy są w błędzie! Teraz słuchaj: ponieważ twoje niestosowne zapytania i domysły jeszcze niestosowniejsze, zmusiły mię wyznać ci prawdę, będziesz tak dobrą zachować ściśle milczenie; albowiem jeden wyraz niewłaściwie wyrzeczony, rozumiesz mię, jeden wyraz zniewoli mię oddalić cię, pomimo tego, że cię lubię Heleno; gdyż tajemnica ta nie jest tylko

moją, mogłaby narazić spokojność osoby droższej mi nademnie samą.

H E L E N A.

Oh pani, bądź pewną!...

PANI DE VERTPRÉ.

Dobrze! Wiesz już o wszystkiem, bądź więc ostrożną. Ktoś idzie. (*wchodzi przez pół do pokoju*) Zobacz kto.'

HELENA. (*wyjrzawszy za drzwi*)

Pan Leon! czy mam powiedzieć, że pani nie ma?

PANI DE VERTPRÉ.

Nie, powiedz mu niech zaczeka; potem przyjdiesz mi podać kapelusz. (*odchodzi*)

SCENA II.

LEON, HELENA.

LEON. (*pukając do drzwi w kącie po prawej*)
Czy można wejść?

H E L E N A.

Można.

LEON. (*otwierając drzwi*)

Sama?

H E L E N A.

Sama.

L E O N.

Zdawało mi się słyszeć głos pani de Vertpré.

H E L E N A.

Była tu przed chwilą, a usłyszawszy pana...

L E O N.

Odeszła do swego pokoju; to się ma znaczyć,
że nie przyjmie mojej wizyty tego rana.

H E L E N A.

Owszém, przeciwnie, prosi pana, abyś ra-
czył zaczekać, póki nie ukończy toalety.

L E O N.

Powiedziała ci to?

H E L E N A.

Tak jest. (*chce odejść do pani de Vertpré*)

LEON. (*przytrzymuje ją za koniec szalika,
który wzięła z krzesła, i siadając*)

Heleno, czyj to jest szalik?

H E L E N A.

Mojej pani.

L E O N.

On dotykał się jej szyi, ramion! zazdroszczę
mu i całuję go.

H E L E N A.

Ale... kiedy... bo pan nie całuje szalika, tyl-
ko moje ręce.

LEON. (*wstając*)

Bo twoje rączki są ładniuchne.

H E L E N A.

Pan jesteś dziwak.

L E O N.

Nie, raczej zakochany.

H E L E N A.

W moich rękach?

L E O N.

Twoje; w twojej pani bardzo.

HELENA. (*n. s.*)

Biedny! (*głośno*) A panna Paulina, narze-
czona pańska?

L E O N.

To jest prześliczne stworzenie.

H E L E N A.

Które pan także kochasz?

L E O N.

Jak siostrę.

H E L E N A.

To nie dosyć dla niej, zdaje mi się bowiem,
że ona pana inaczej kocha jak brata.

L E O N.

Otoż to właśnie mię niepokoi i tak często za-
smuca.

HELENA. (*śmiejąc się*)

Pan smutny, tego nie widziałam!

L E O N.

Ale jak u kata się stało, że pani de Vertpré,
nie zastanowiła się nad tem, iż to jest bardzo
zły sposób, chcąc wydać swoją siostrzenicę za
mąż, wziąć ją do siebie. To pewna, że nim uj-
rzałem twoją panią, kochałem z całej duszy
Paulinę... ale od dnia kiedy je widzę razem je-

dnę obok drugieję, pomimowolnie porównywan.. One są obie ładne, ale pani de Vertpré, ma w swojej piękności coś bardziej pociągającego... obie odznaczają się dowcipem, ale dowcip pani de Vertpré, jest uzupełniony znajomością świata, czego nie dostaje Paulinie... Każda z nich ma przedziwny sposób myślenia, ale Paulina o lada nie, dąsa się, gniewa; pani de Vertpré, przeciwnie, jest zawsze wdziękiem samym... Paulina mię kocha, wiem o tem; ale bez zapamiętania; pani de Vertpré mię nie nawidzi; przyznaje mi głośno tytuł przyjaciela i kto inny na mojem miejscu, zważając wszystkie nasze przechadzki, nasze rozmowy, małe przysługi, których co chwila odemnie żąda, a które ja z taką radością dopełniam, kto inny na mojem miejscu... No! to cię rozśmiesza?

H E L E N A.

Czybyś pan przypadkiem nie miał chęci zaślubić pani de Vertpré?

L E O N.

Dla czego nie?

H E L E N A.

Przebacz pan, ale bo to... (*śmieje się*)

L E O N.

Czyliż nie jest wdową?

H E L E N A.

Ah prawda, zapomniałam. (*dzwonią w pokoju pani de Vertpré*) Otóż mię wołają; rozmawiam z panem, i usłyszę za to..

L E O N.

Powiesz twojój pani, że cię zatrzymał dla tego, aby ci powiedzieć, że ona jest zachwycająca, a przebaczy ci niezawodnie.

H E L E N A.

Bądź pan spokojny. (*odchodzi*)

SCENA III.

LEON, później PAULINA.

LEON. (*sam*)

Opowiadać tajemnicę gaiderobianej, to bardzo dogodnie, zawsze pani czegoś się dowie. A więc przewidziała to, że ja przyjdę i zaleciła, abym został! Tylko, że to kobiety bardzo długo się ubierają! Gdyby tu był przynajmniej jakiś dziennik. Ah, otóż album pani de Vertpré, jednastronnica czysta, ołówek; album otwarte... Rozumiem co to znaczy... (*bierze ołówek i pisze, w czasie tego Paulina wchodzi na palcach, zbliża się po za krzesło Leona i czyta przez ramię prawe.*)

PAULINA. (*czytajac*)

Oh, nie skracaj tych godzin, zazdroszczę ich skrycie.

LEON. (*zamykając z prędkością album*)

Ah! to pani!

P A U L I N A.

Przestraszam cię?

L E O N.

Możnaż tak sądzić?

P A U L I N A.

Co pan pisał?

L E O N.

Nic.

P A U L I N A.

Wiersze?

L E O N.

Pamiętka.

P A U L I N A.

Dla kogo?

L E O N.

Pani mię pytasz?..

P A U L I N A.

Pozwól zobaczyć.

L E O N.

Nie.

P A U L I N A.

Ale tak, proszę o nie. Panie Leonie, gniewam się!

L E O N.

Chciałem je dokończyć, a potem pokazać...
tobie szczególnie Paulino.

P A U L I N A.

To będzie pierwsza twoja myśl, a to właśnie najlepsza. (*bierze i czyta*)

Oh, nie skracaj tych godzin, zazdroścę ich skrycie!

Aby mi ich udzielić, masz władzę od Boga,
Głos twój jest moje szczęście, a widok twój życie,

Dozwól mi widzieć i słuchać cię droga.

(*powtarzając*) Widzieć i słuchać cię...

L E O N.

Poezja ma swoją właściwą mowę, do każdego można mówić ty.

P A U L I N A.

To prawda, (*podając mu rękę*) i ja bym się o to nie gniewała.

Jeżeli chcesz, aby chmury znikły z mojej twarzy,

Jeżeli chcesz, abym wiecznie mógł szczęśliwym zostać;

Niechże mię litość twoja tylko tém obdarzy,

Bym ciągle miał przed sobą twą wyniosłą postać.

Jakto pauię?...

L E O N.

Ah tak... twarzy, obdarzy... nie bardzo mi-

te... Mówiłem dobrze, że należało te wiersze poprawić.

P A U L I N A.

Ale to nie to.

L E O N.

Cóż takiego?

PAULINA. (*powtarzając*)

Bym ciągle miał przed sobą twą wyniosłą postać.

LEON. (*n. s.*)

Ah nieszczęście, ona tak mała!... tu nie wiem co powiedzieć... Mój Boże! ale bo to...

P A U L I N A.

Ale, bo te wiersze są dla innej, oto wszystko.

L E O N.

Przysięgam ci...

P A U L I N A.

W istocie, dla czegożby te wiersze były dla mnie?... i dla czegożbyś pan dla mnie miał wiersze pisać?

L E O N.

Ale to jest niepojęte roztargnienie; chciałem napisać anielską postać. Ale ołówek mi się jakoś w palcach obrócił.

PAULINA. (*z goryczą*)

Ah tak, anielską i wyniosłą... Pan miałeś słuszność, te wiersze potrzebują poprawy, ich ry-

owanie jest szczególnem. (*oddaje album Leonowi.*)

LEON. (*n. s.*)

Oj, niewywikłam się... Paulino...

PAULINA.

Oh, proszę pamiętać, że pan mówisz do mnie prozą...

LEON.

Pani... Otóż płacze...

PAULINA. (*tkając*)

Ja płaczę, mylisz się pan, wcale nie płaczę, ja się śmieję.

LEON.

Niech kaci porwą poezją! pierwszy to był raz i ostatni. Posłuchaj mię, te wiersze...

PAULINA.

Ale któż panu mówi jeszcze o wierszach; ja nie myślę już nawet o wierszach. Ja... tylko... ja... ah Boże! jakżem nieszczęśliwa! (*rzuca się na krzesło.*)

LEON.

Proszę cię, błagam...

PAULINA.

Proszę mi dać pokój, pan mię niecierpliwisz, a ja pana nie cierpię; czyliż mi nawet płakać nie wolno, kiedy jestem smutna; to jest o-

krucieństwo. (*biegnie w objęcie pani de Vertpré, która wchodzi*) Oh, moja ciociu, moja ciociu.

SCENA IV.

PAULINA, PANI DE VERTPRÉ, LEON.

PANI DE VERTPRÉ.

Cóż ci to?

P A U L I N A.

Ah, jestem bardzo nieszczęśliwa!

LEON. (*z ukłonem*)

Pani!

PANI DE VERTPRÉ.

Dziękuję panu, żeś na mnie czekać raczył.
Cóż ci to Paulino, czy znowu klótnia, czy w niedobrym humorze?

P A U L I N A.

Oh tym razem moja ciotko nie moja wina;
gdybyś wiedziała...

PANI DE VERTPRÉ. (*do Leona*)

Czy pan myślałeś o mnie?

L E O N.

O pani? zawsze.

PANI DE VERTPRÉ.

Kiedy mówię o mnie, to się ma znaczyć o
mojej prośbie...

L E O N.

O miniaturze pani? oto jest, świetna wdzię-

kiem, jaśniejąca blaskiem, a jednakże tak daleka od...

PANI DE VERTPRÉ.

Pochlebco, daj mi ją.

LEON. (*oddając miniaturę*)

Już!

PANI DE VERTPRÉ.

Paulino, spojrzysz przecież, jakże, czy podobna?

PAULINA. (*nie patrząc*)

Bardzo podobna, moja ciotko.

PANI DE VERTPRÉ.

Powiedz mi? Czy myślisz, żeś ją widziała? Jesteś dziś nie w swoim humorze, pójdź z nami, to cię zabawi.

P A U L I N A.

Dziękuję.

L E O N.

Czy pani wychodzi?

PANI DE VERTPRÉ.

Tak jest, i właśnie dla tego prosiłam pana, abys na mnie zaczekał, musisz mi towarzyszyć.

PAULINA. (*n. s.*)

Nawet nie zostanie, żebym się na niego gniewać mogła.

L E O N.

I gdzieś pójdziemy?

PANI DE VERTPRÉ.

Na wielką drogę, oczekuję osoby, której już oddawna nie widziałam, a którą z wielką chęcią zobaczyć pragnę, i idę na spotkanie...

L E O N.

Na spotkanie jego czy jej?...

PANI DE VERTPRÉ. (z znaczeniem)
Jego.

LEON. (z zazdrością)

Ah!... Pani wybrała czas?...

PANI DE VERTPRÉ. (idąc w głąb do okna)
Niecو pochmurny.

L E O N.

Ciemny zupełnie.

PANI DE VERTPRÉ.

Obawiasz się deszczu, i odmawiasz mi towarzyszenia?

L E O N.

Ja pani!

PANI DE VERTPRÉ.

Proszę pana o przysługę, i gdy idzie o wyświadczenie jej dla mnie, pan obawiasz się kilku kropel deszczu?

L E O N.

Ja obawiam się kilku kropel wody! ja dla pani przebyłbym ciąsninę Sestos!... Idźmy, idźmy.

PANI DE VERTPRÉ.

Paulino, więc stanowczo nie chcesz iść z nami?

P A U L I N A.

Tak jest, moja ciotko, zostaję.

PANI DE VERTPRÉ.

Posłuchaj mię; zapewne mi opowie przyczynę waszego poróżnienia, wyłaję go i przyprowadzę ci go uległego i żałującego. Do widzenia droga Paulino! (*ściska ją*)

P A U L I N A.

Adieu, moja ciotko!

L E O N.

Do widzenia z panią.

P A U L I N A.

Do widzenia z panem. (*Leon i pani de Vertpré wychodzą*)

SCENA V.

PAULINA później HELENA.

PAULINA. (*sama*)

Tak, łaj go, moja ciotko, ale mnie się zdaje, że do mnie należało to uczynić, ale nie do ciebie. Przy tobie jest on zawsze uprzejmy, ugrzeczaiony; ale ze mną, ponieważ mam być jego żoną, jest bardzo szczęśliwy, że nie udaje. (*idąc do stolika, na którym jest album otwarte, bierze je*) Wiersze!... Są bardzo piękne! Adwokat, który chce być poetą! A ja, nierozważna myślałam, że one były dla mnie, i dla tego mówiłam, że

są prześliczne..... Ah Boże! otóż kartka rozdarta! No... on przepisze na inną... (*rzuca w ogień*) ha! po drugiej stronie jest malowanie p. Decamps! Bo jak też można pisać wiersze z drugiej strony malowania! (*chce go wyjąć z ognia*) ah! sparzyłam się! niewiem co czynię, tracę głowę...

HELENA. (*wchodząc*)

Oh mój Boże! cóż to za zmartwienie!

PAULINA.

Tak, mam wielkie zmartwienie; ale będę miała tyle odwagi, i przestanę go kochać.

HELENA.

Dla czegoż go pani przestaniez kochać?

PAULINA.

Ponieważ on inną kocha. Czy pojmujesz ty, kochać się w kobiecie z postacią wyniosłą! Co za gust!

HELENA.

I owszem; pani de Vertpré, ciotka pani, ma także postać wyniosłą, wspaniałą...

PAULINA.

Tak! prawda, moja ciotka.....

HELENA.

Jest bardzo ładna.

PAULINA.

Ah tak, słusznie mówisz Heleno! moja ciotka jest piękną, wdową, ledwie o kilka lat starszą

odemnie, te wiersze były wpisane w album mojej ciotki, tysiączne grzeczności, zabiegi, które dla niej czyni. ich rozmowy, przechadzki.. W tej chwili..... ale w tej chwili nawet jeszcze są razem. Oh Heleno! ona kocha moją ciotkę.

H E L E N A.

Być może, ale, że się z nią nie ożeni, ja za to żaręcam.. ponieważ pani de Vertpré nie jest...

(n. s.) Ah mój Boże! cóżbym była powiedziała!

P A U L I N A.

Nie jest czém?

H E L E N A.

Tego właśnie powiedzieć mi nie wolno; ale patrz pani, jest bóstwo opiekujące się kochankami, i mści się w tej chwili za panią.

P A U L I N A.

Jakto?

H E L E N A.

Czy nie widzisz pani jaki deszcz.

P A U L I N A.

No i cóż deszcz?

H E L E N A.

Nie powiedziałażes mi panienka, że są na przechadzce?

PAULINA. (*idąc do okna*)

Ah tak, prawda, zmokną aż do nitki, ah jak mię to cieszy, zachwyca! Patrz, patrz Heleno,

widzisz ich, wracają! Jak biegną... wiatr porwał kapelusz Leona... ah, jak śmiesznie... przedziwny deszcz!

H E L E N A.

Który skrapia ciotkę pani i narzeczonego... Wyborne serduszko!

PAULINA. (*śmiejąc się*)

To nie dla tego bynajmniej, ale już oddawna panowała susza, a spragniona ziemia zasili się deszczem, to hardzo do urodzaju potrzebne. (*wybiega śmiejąc się*)

H E L E N A.

Placze i śmieje się razem, nie wiele takich pan Leon znajdzie.

SCENA VI.

HELENA, PANI DE VERTPRÉ, LEON. (*wchodzi żywo*)

PANI DE VERTPRÉ.

Heleno! Heleno! pójdź prędko!

L E O N.

Ah nimówiłem pani; to nie moja wina.

PANI DE VERTPRÉ.

No i cóż! wielkie nieszczęście! zmienię suknie, i koniec, pójdź Heleno, oh, zimno, prędko, prędcyj! (*wchodzi z Heleną do swego pokoju*)

S C E N A VII

LEON. (*sam*)

Pani zmienisz suknię, to bardzo dobrze; ale ja nie zmienię fraka. Niech kaci porwą spacer! Przemokłem do nitki. Jej zimno... mnie także, do pioruna! drzę cały... (*zatrzymując się przed ogniem*) Zresztą, dla czegoż sobie odmawiać... dobry ogień, nie ma nikogo... [kiedy ona zmienia suknię, dla czegożbym ja nie miał wysuszyć sobie frak? tak, doskonała myśl! (*zdejmuje frak, kładzie przed ogniem na poręczy od krzesła, a sam siada na krześle okraczające go*)] Tak, uważajmy dobrze na drzwi jej pokoju, a za najmniejszym szelestem.... Na honor! jeżeli jegomość, na którego spotkanie chodziliśmy jest teraz w drodze, wieszuję mu z duszy... a jeżeli przejdzie przez ogród, byłby bardzo uprzejmym, gdyby mi przyniósł kapelusz. (*odwraca się słysząc kogoś wchodzącego*) Kto tam?

S C E N A VIII.

PAN DE VERTPRÉ, LEON.

(*Służący wchodzi za panem de Vertpré, niosąc tłomoczek, który kładzie na krześle; wychod-*

dzi; Leon, tyłem odwrócony do drzwi, nie widzi tego)

PAN DE VERTPRÉ.

Przepraszam pana; zapewne się mylę...

LEON. (*nie ruszając się*)

Być może.

PAN DE VERTPRÉ.

Myslałem, że wszedł do domu pani de Vertpré.

L E O N.

Tak, w istocie jesteś pan w nim.

PAN DE VERTPRÉ.

Ale zapewne jej nie ma?

LEON. (*wskazując pokój pani de Vertpré*)

I owszem, jest tam.

PAN DE VERTPRÉ. (*idąc do drzwi*)

Dziękuję.

LEON. (*zatrzymując go*)

Za pozwoleniem, ona zmienia suknię.

PAN DE VERTPRÉ.

Ah... a pan zmieniasz frak, jak się zdaje?...

L E O N.

Nie, nie mam szczęścia mieć innego na zmianę, i poprzestaję na wysuszeniu. Muszę panu powiedzieć, że tylko co oboje przemokliśmy do nitki. Pan pozwoliś, nieprawdaż? (*siada znowu przy kominku*)

PANI DE VERTPRE

Jakto? (*n. s.*) Co u kata, cóż to za Jegomość jest sobie tak bez ceremonji w moim domu!

L E O N.

Pan nie zmokłeś.

PAN DE VERTPRE.

Nie, przyjechałem z Paryża w karecie, niecierpliwie pragnąłem widzieć się z panią de Vertpre.

L E O N.

Ah! to zapewne pana oczekuje? Tak tak, oczekuje jakiegoś pana. Pójdę ją uwiadomić. (*idzie do pokoju pani de Vertpre*)

PAN DE VERTPRE.

Bardzo dziękuję, zaczekam.

L E O N.

A więc proszę siedzieć. Józefie! drzewa.

PAN DE VERTPRE. (*n. s.*)

To dobrze! (*głośno*) Mości panie, interes, o którym mam mówić z panią de Vertpre, jest tajemnicą.

L E O N.

To być może.

PAN DE VERTPRE.

To znaczy, że chyba pan byłbyś jej mężem...

L E O N.

Nie mam tego zaszczytu.

PAN DE VERTPRE.

Spodziewam się po delikatności pańskiej...

L E O N.

Że się oddalę, nieprawdaż?

PAN DE VERTPRE.

Jeżeli pan będziesz tak uprzejmym...

L E O N.

Powiedz mi, czy długo będziecie ze sobą rozmawiać?

PAN DE VERTPRE.

Dla czegoż to?

L E O N.

Ah, bo nam popsujesz cały dzień.

PAN DE VERTPRE.

Będę starał się skrócić ile możliwości...

L E O N.

Dziękuję, będziesz pan bardzo grzecznym.
(*chce wyjść*)

PAN DE VERTPRE.

A frak pański?

LEON. (*wraca i bierze frak*)

Dosuszę go u Heleny.

SCENA IX.

PAN DE VERTPRE, później PANI DE VERTPRE.

PAN DE VERTPRE. (*patrząc za Leonem*)

Młody człowiek, wcale oryginalny, i gdybym był zazdrosnym... teraz kiedy odszedł, sądząc, że mogę wejść do mojej żony. (*puka do drzwi*)

PANI DE VERTPRÉ. (*w pokoju*)

Bądź cierpliwy Leonie, jużem gotowa.

PAN DE VERTPRÉ.

Leonie!... do krośset katów mościa pani, to nie Leon, to ja.

PANI DE VERTPRÉ.

To jego głos. (*wbiega na scenę*) Kochany przyjacielu, drogi Adolffie, z jakąz niecierpliwością oczekiwałam cię.

PAN DE VERTPRÉ.

Czy w istocie?

PANI DE VERTPRÉ.

Ah tak!...

PAN DE VERTPRÉ.

A więc uściskaj mię. Zawsześ piękna, droga Adelo!... i myślałaś o mnie?

PANI DE VERTPRÉ.

Jak tylko odebrałam twój list, w którym mi doniosłeś o przybyciu do Hawru, liczę godziny, minuty, i gdyby nie ta dziwna tajemnica, którą mi zaleciłeś, byłabym wazystkim opowiedziała moje szczęście.

PAN DE VERTPRÉ.

Tajemnica ta jest potrzebną. Ale, powiedz mi, kto jest ten?...

PANI DE VERTPRÉ.

Ale wypadki polityczne, zmieniły się?

PAN DE VERTPRÉ.

Zmieniły, zmieniły!... Kiedym tu przyszedł,
był tu jakiś młody...

PANI DE VERTPRÉ.

Podróż odprawilesz szczęśliwie?

PAN DE VERTPRÉ.

W ośmnaście dni z Nowego-Jorku do Hawr.
Ten młody człowiek, który tu był...

PANI DE VERTPRÉ.

Ale zawsze jesteś utrudzony, potrzebujesz
spoczynku, każe...

PAN DE VERTPRÉ.

Nie, upewniam cię, że nie czuję najmniej-
szego znużenia. Zastałem tu młodego człowie-
ka...

PANI DE VERTPRÉ.

Ab tak, Leona.

PAN DE VERTPRÉ.

Co to za Leon?

PANI DE VERTPRÉ.

Bardzo przyjemny młodzieniec.

PAN DE VERTPRÉ.

Widziałem go, i w tym względzie moje zda-
nie...

PANI DE VERTPRÉ.

Pelen dowcipu.

PAN DE VERTPRÉ.

Mówilem z nim, a jednak...

PANI DE VERTPRÉ.

Adwokat znakomity.

PAN DE VERTPRÉ.

Czy masz proces, pani de Vertpré?

PANI DE VERTPRÉ.

Nie, panie de Vertpré, ale mam siostrzenicę.

PAN DE VERTPRÉ.

Cóż więcej?

PANI DE VERTPRÉ.

Siostrzenicę na wydaniu.

PAN DE VERTPRÉ.

A ten człowiek?

PANI DE VERTPRÉ.

Przychodzi tu dla Pauliny.

PAN DE VERTPRÉ.

Czy chcesz, żebyśmy ci powiedział?...

PANI DE VERTPRÉ.

Powiedz.

PAN DE VERTPRÉ.

Nie będziesz się gniewała?

PANI DE VERTPRÉ.

Ja, oh, mój przyjacielu!

PAN DE VERTPRÉ.

Ale ha to co ci mam powiedzieć jest bardzo delikatna...

PANI DE VERTPRÉ.

Mniejsza.

PAN DE VERTPRÉ.

Zaledwem zobaczył tego młodego człowieka, kilka słów tylko z nim mówiłem...

PANI DE VERTPRÉ.

I cóż?

PAN DE VERTPRÉ.

I cóż? przysiągłbym, że on tu nie dla Pauliny przychodzi.

PANI DE VERTPRÉ.

Proszę!... i dla kogóż tedy?

PAN DE VERTPRÉ.

Dla kobiety ujmującej, pięknej jak anioł, zdo-
bnej w całą świeżość młodości, i tyle posiada-
jącej dowcipu, ile wszyscy adwokaci razem ze-
brani, dla wdowy Adeli de Vertpré, mojej
żony.

PANI DE VERTPRE.

Dziwak jesteś, mój drogi Adolffie! mówisz,
żeś odbył 1800 mil drogi, aby mię zobaczyć, a
przybywając, zamiast mi mówić o sobie, o swo-
jej podróży, o powodach, które zmuszają cię
utrzymywać jeszcze wieść o twojej śmierci...

PAN DE VERTPRE.

Później, moje życie, powiem ci o tém; ale
w tej chwili, ta myśl mi jest niezmienną, Pan
Leon...

PANI DE VERTPRÉ.

Przychodzi tu do Pauliny.

PAN DE VERTPRÉ.

Pragnę z duszy wierzyć temu, ale...

PANI DE VERTPRE.

Chcesz dowodu?

PAN DE VERTPRE.

Dowód nie byłby mi nieprzyjemnym, i natychmiast, jeżeli to być może.

PANI DE VERTPRE.

A więc, ponieważ to cię teraz najwięcej zajmuje, dam ci ten dowód., cóż mogę uczynić... ah! ukryj się tam. (*wskazuje drzwi swojego pokoju.*)

PAN DE VERTPRE.

Potem?

PANI DE VERTPRE.

Każę go tu poprosić, powiem, aby mi dał poznać swoje zamiary, a usłyszysz wyznanie jego miłości dla Pauliny i prośbę o jej rękę.

PAN DE VERTPRE.

Tego pragnę.

PANI DE VERTPRE.

Nie widziałam go, nie będę się z nim widzieć, każę go przywołać i zaraz wyznaczemy dzień zaręczyn.

PAN DE VERTPRE.

Kontrakt podpiszę z radością.

PANI DE VERTPRE. (*dzwoni*)

Heleno! (*Helena wchodzi*) Donieś panu Leonowi, że chcę z nim mówić, i zaanonsuj go jak przyjdzie. (*Helena wychodzi*)

PAN DE VERTPRE.

Doskonale, kochana Adelo.

PANI DE VERTPRE.

A gdy będziesz miał ten dowód, pozwolisz mi bezwątpienia gniewać się na ciebie do woli.

PAN DE VERTPRE

Jesteś najlepszą kobietą na ziemi.

PANI DE VERTPRE.

A ty zazdrośnikiem.

PAN DE VERTPRE.

Ja!

PANI DE VERTPRE.

I zasługujesz, abym ci nieoddała...

PAN DE VERTPRE.

Czego?

PANI DE VERTPRE. (*pokazując mu miniaturę, którą Leon przyniósł*)

Patrz!

PAN DE VERTPRE. (*biorąc miniaturę*)

Twoja miniatura! ah!

PANI DE VERTPRE.

Którą kazałam wymalować dla ciebie, i którą włożyłam umyślnie do tego samego pudełka, gdzie i twoja się znajduje, abyśmy nawet w nieobecności byli połączeni.

PAN DE VERTPRE.

Ah, jesteś kochaną moją Adela, i to będzie największą moją roskoszą przekonać się, że moje domysły były błędem, i u nóg twoich błagać przebaczenia.

PANI DE VERTPRE.

A więc klękaj!

PAN DE VERTPRE.

Nie, po tej rozmowie.

PANI DE VERTPRE.

Niewierny!

HELENA. (*annonsując*)

Pan Leou!

PANI DE VERTPRE.

Prędko do tego gabinetu, i słuchaj pilnie.

PAN DE VERTPRE.

Ręczę ci, że ani jednego słoweczka nie stracę.

PANI DE VERTPRE.

Dobrze, przekonasz się kogo kocha. (*pan de Vertpré wchodzi do gabinetu na lewo*) Niech lewejście, i zostaw nas.

SCENA X.

PANI DE VERTPRE, LEON, PAN DE VERTPRE.

(*w gabinecie*)

L E O N.

Ah pani, jakże ci mam podziękować, żeś mię raczyła przywołać natychmiast, jak tylko uwolniłaś się od tego niezdolnego...

PANI DE VERTPRE.

Mości panie!

L E O N.

Wynudził panią nie źle, pewny byłem. Jego postać nie bardzo zajmująca.

PANI DE VERTPRÉ.

- Nie mówmy o tém; proszę pana, aby z nami o czém inném pomówić.

L E O N.

Słucham cię pani.

PANI DE VERTPRÉ.

Od dwóch miesięcy bywasz tu pan codziennie.

L E O N.

A to jeszcze nie jest dość często.

PANI DE VERTPRÉ.

Postrzegłeś pan zapewne, że bywałeś przyjmowany uprzejmie?

L E O N.

Czasami miałem tę nadzieję...

PANI DE VERTPRÉ.

Tytuł, pod jakim się pan przedstawiłeś, nakazywał mi tak postępować, ale czy panu samemu nawet nie zdaje się, że już czas jest pomówić wyraźniej o zamiarach pana?

L E O N.

Oh pani, lękam się.

PANI DE VERTPRÉ.

Dla czegoż? człowiek młody jak pan, posiadający znakomity stopień, pochodzący z domu zanego, bogatego, czyliż może obawiać się odmownej odpowiedzi?

L E O N.

Oh pani, czy mówisz to co myślisz?

PANI DE VERTPRE.

Więcej nawet, sędzę, że mówię to co myśli Paulina.

L E O N.

Nieszczęściem, nie idzie tu o Paulinę.

PANI DE VERTPRE.

Jakto!

L E O N.

Pani, kiedym pierwszy raz przyszedł do twego domu, i kiedy pani raczyłaś mię przyjąć, znałem pannę Paulinę, a nie znałem ciebie; myślałem, że niema kobiety, któraby ją przewyższyć zdołała w wdziękach, w dowcipie i piękności. Ujrzałem cię pani, byłem tak szczęśliwy przepędzić dwa miesiące blisko ciebie, i zostałem wprowadzony z błędu.

PANI DE VERTPRE.

Ah, cóż mi to pan mówisz?

L E O N.

Pani przymuszasz mię do tego; nigdybym pierwszy nie odważył się mówić ci o mojej miłości... nie, byłbym ją ukrył w mojem sercu, i gdybys jej pani sama nie wyczytała w moich oczach, nie odgadła w drzeniu mojego głosu, byłbym o niej zamilczał przed tobą; ale byłbym

się przynajmniej napawał twoim widokiem, byłbym.....

PANI DE VERTPRÉ.

Milcz wacpan, milcz...

(Pan de Vertpré otwiera drzwi, aby lepiej słyszeć i zamyka je prawie natychmiast, bojąc się być spostrzeżonym. To powtarza kilkakrotnie w czasie sceny)

L E O N.

Teraz już jest za późno; to wyznanie byłoby obrazą, bez tego co mam jeszcze powiedzieć. Pani mówiłaś o moim stopniu, o mojej familji, o moim majątku, uważałaś je jako tytuły do pozyskania miłości kobiety, a więc! imię, stan, majątek, wszystko podzielaj pani ze mną, błagam cię o to na kolanaach... Powiedziałaś mi, że niepowinienem się lękać odmownej odpowiedzi.

PANI DE VERTPRÉ.

Ale ja, mości panie, nie mogę.....

L E O N.

Czyliż nie jesteś wdową, czyliż nie jesteś wolną? Oh, błagam cię o twoją rękę....

PANI DE VERTPRÉ.

Panie Leonie, czémże mogłam zasłużyć nato, abys pan zapomniał do tego stopnia...

L E O N.

Owszem pani, ja nie zapominam, przeciwnie, pamiętam dobrze.....

PANI DE VERTPRE.

O czémże?

L E O N.

Może to jest drobnostka... ale sądziłem, że te małe przysługi, których pani chętniej odemnie jak od kogo innego wymagałaś... miałem nadzieję, że te godziny razem spędzone, które dla nas obojga prawie z równą upływały szybkością... kilka przyjaznych słów.....

PANI DE VERTPRE.

Ale te przysługi, te rozmowy, te przyjazne słowa.....to wszystko... oh! wszystko ściągalo się do przyjaciela.

L E O N.

Oh, pani, to jest okrucieństwo, aby kobieta w wieku pani wybierała sobie przyjaciela w wieku moim. Przyjaciela młodej i pięknej kobiety powinien mieć przynajmniej 60 lat.

PANI DE VERTPRE.

Pan żartujesz.....

LEON. (*kłeka*)

Nie, pani, błagam...

PANI DE VERTPRE.

Ah, to już za wiele, oddał się pan, wychodź, wychodź!

L E O N.

Nie oddalę się dopóty.....

PANI DE VERTPRE.

Czyż ja panu mam ustąpić miejsca?

L E O N.

Jestem ci pani posłuszny, ale mam nadzieję,
że później.....

PANI DE VERTPRE.

Nigdy!

L E O N.

Ah pani, nigdy!

PANI DE VERTPRE.

Powtarzam panu, oddal się!

L E O N.

Odchodzę. *(n. s. odchodząc)* Niech mię ka-
ci porwą, jeżeli co rozumiem.

SCENA XI.

PAN DE VERTPRE. *(wychodząc z gabinetu,*

PANI DE VERTPRE. *(osłupiała, patrzą na siebie
chwilę, nic nie mówiąc)*

PAN DE VERTPRE. *(na progu drzwi)*

I cóż pani?

PANI DE VERTPRE.

I cóż pan chcesz, abym mu powiedziała?

PAN DE VERTPRE.

W istocie, ten młody człowiek przychodził
tu dla Pauliny.

PANI DE VEATPRE.

Ah, bądź wspaniałomyślnym, proszę cię.

PAN DE VERTPRÉ.

Był czas, żeby się to skończyło; słyszałem bardzo dobrze z tego gabinetu, ale widziałem nie najlepiej; a sądząc po tém jak szły rzeczy.....

PANI DE VERTPRÉ.

Błagam cię... przebacz!...

PAN DE VERTPRÉ.

Prawdę mówisz, nie na ciebie powinienem się gniewać za to; jednakże dobrzem uczynił, żem powrócił.

PANI DE VERTPRÉ.

Zabronię temu młodzieńcowi wstępu do naszego domu.

PAN DE VERTPRÉ.

Co za dzieciństwo..... uczynić z niego nieprzyjaciela dla siebie..... nie! nie!

PANI DE VERTPRÉ.

Jakąż masz myśl!

PAN DE VERTPRÉ.

Zobaczę.

PANI DE VERTPRÉ.

Kłótnia?

PAN DE VERTPRÉ.

Wyjaśnienie tylko, i nic więcej.

PANI DE VERTPRÉ.

I powiesz mu?

PAN DE VERTPRÉ.

Kto jestem.

PANI DE VERTPRÉ.

A twoje incognito?

PAN DE VERTPRÉ.

Wyrzekam się go.

PANI DE VERTPRÉ.

Ale niszcząc je, wystawiasz się na niebezpieczeństwo.

PAN DE VERTPRÉ.

A zatrzymując je, nie wystawiam się na żadne, nieprawdaz?

PANI DE VERTPRÉ.

Przecież nie myślisz, aby podobny wietrznik...

PAN DE VERTPRÉ.

Nie, ja nie myślę, przynajmniej wolę nie myśleć, a po naszym widzeniu się... (*chce wyjść, pani de Vertpré zatrzymuje go*)

PANI DE VERTPRÉ.

Mężu, zaklinam cię...

PAN DE VERTPRÉ.

Sluchaj, droga Adelo, ja nie przeszkadzałem twojemu sam na sam, proszę mojemu nie przeszkadzać. Ten pan Leon jest w ogrodzie, pójdę do niego.

PANI DE VERTPRÉ.

Kochany mężu!...

PAN DE VERTPRÉ.

Jeżeli mię dłużej zatrzymywać będziesz, każesz mi mnić, że więcej lękasz się tego spotkania dla siebie, jak dla mnie, a przecież to nie jest twoim zamiarem, wszakże tak?

PANI DE VERTPRE.

O nie, zapewne!

PAN DE VERTPRE. (*wesoło*)

A więc, do widzenia mój aniele. (*wychodzi*)

SCENA XII.

PANI DE VERTPRÉ. (*sama*)

Cóż uczyni? Jeden wyraz ironiczny obrazi Leona. Gdybym go mogła widzieć, powiedziałabym mu, aby się wam wymywał przez przyjaciela dla mnie; że pod tym tylko warunkiem, przebaczyłabym mu jego szalony, nierozważny postępek!... Czyliż mogłam pomyśleć, że te tyśnięczno nie, których przyjacieli wymagała, ośmieja jego miłość! ale, bo też ani mi przez myśl nie przeszła jego miłość... Bóże! co począć?... (*idzie w głąb sceny*) Ah, poszeregaw Leona w ogródzie, oczy zwrócone w to okno... a mój mąż szuka go z tej strony... Leon mię widział... daje mi znak!... Co za zuchwałość!... Ale pomimo tego, muszę go przywołać! Zdaje się, że nie powątpiewa... (*daje znak głową*) Tak, idzie tu, carozumiały! A mój mąż poszregł go, biegnie za nim inna aleją!... Każdy pójdzie innymi schodami, i zejda uc tu... a ja wpośród

nich... ale to niepodobna! Otóż Leon biegnie
ucząc... słyszę mojego męża... imieszne polo-
żenie... Otóż on, ja uciekam. (wychodzi.)

SCENA XIII.

LEON, PAN DE VERTPRE. (chodzą inami
drzwiami.)

PAN DE VERTPRE. (ocierając sobie czoło)

Przychodzę w sam czas.

LEON.

Jeżeli ten jegomość, oh, on nie ucieknie
wcale.

PAN DE VERTPRE. (zadyszany)

Mości panie!

LEON. (zadyszany)

Mości panie!

PAN DE VERTPRE. (zadyszany)

To pan biegnie przez ścieżkę po lewej.

LEON.

A pan przez ścieżkę po prawej?

PAN DE VERTPRE.

Tak ja.

LEON.

Wiemuję pana, biegnie szybko.

PAN DE VERTPRE.

Mnie się zdaje, że i panu nie idzie na tym
własnie.

L E O N.

Powiedz mi pan bez ogródki, czy interessa pańskie długo cię tu jeszcze zatrzymają?

PAN DE VERTPRE.

A pana Dobrodzieja, mogą wiedzieć?

L E O N.

Oh ja, ja tu mieszkam prawie.

PAN DE VERTPRE.

A ja będę mieszkał zupełnie.

L E O N.

U pani de Vertpre!

PAN DE VERTPRE.

U pani de Vertpre. Pan pozwolił, (*dożywa szlafrok z tłomoczka*) utrudziłem się niezmiernie, i...

L E O N.

Co pan chcesz?

PAN DE VERTPRE.

Zabieram sobie...

L E O N.

Co, ten pokój?

PAN DE VERTPRE.

Tak jest.

L E O N.

Ale on przytyka do pokoju pani de Vertpre.

PAN DE VERTPRE.

Jedną więcej przyczyna.

L E O N.

Jakto, i pan chcesz wziąć szlafrok na siebie?

PAN DE VERTPRE.

Ja pana bez fraka tu zastałem.

L E O N.

Mości panie, nie zniosę tego.

PAN DE VERTPRE.

A więc pan jesteś obraźliwszym jak ja, bo ja zniusłem.

L E O N.

Mości panie, czy lubisz czasami żartować?

PAN DE VERTPRE.

Tak, aby się nie odzwyczaić.

L E O N.

I kiedy pana ta chętka napadnie, uderzasz...

PAN DE VERTPRE

Na wszystkich, a szczególnie na moich współzalołników.

L E O N.

To się ma znaczyć, iż pan wyznajesz...

PAN DE VERTPRE.

Ze jestem współzalołnikiem pańskim! Mam tę śmiałość.

L E O N.

Nie potrzebuję mówić panu, że ja nie ustąpię...

PAN DE VERTPRE.

Ani ja!

L E O N.

A więc znam tylko jeden sposób...

PAN DE VERTPRE.

Rozumiem, rozumiem.

L E O N.

I pan przyjmujesz go?

PAN DE VERTPRE

Nie, nie przyjmuję go.

L E O N.

Mości panie...

PAN DE VERTPRE.

Uczyńmy lepiej.

L E O N.

Slucham.

PAN DE VERTPRE.

Pewne przedstawienie...

L E O N.

Mów pan.

PAN DE VERTPRE.

Że ten z nas dwóch, który najmniej postąpił w pozyskaniu łask pani de Vertpré... Wszakże panią de Vertpré pan kochasz, nie prawdaż?..

L E O N.

Tak jest!

PAN DE VERTPRE.

Bardzo dobrze.. bardzo dobrze!... powiadam, że kto najmniej postąpił, ten zostawi miejsce drugiemu...

L E O N.

Ale któż zaświadczy?...

PAN DE VERTPRE

Pan jesteś człowiekiem honoru, przestaję na jego słowie.

L E O N.

Bardzo dziękuję za ufność... ale wyznaję...

PANI DE VERTPRÉ.

Że mi pan swojej nie udzielasz? Niech i tak będzie. Ja złożę dowody.

L E O N.

Do kroćset katów, to za wiele!

PAN DE VERTPRÉ.

Przyjmujesz pan?

L E O N.

Przyjmuję.

PAN DE VERTPRÉ.

I powiesz mi wszystko?

L E O N.

Słowo honoru.

PAN DE VERTPRÉ.

A więc mów, i mów wszystko.

LEON. (n. s.)

To sobie jegomość dobrze głupi.

PAN DE VERTPRÉ.

A więc?

L E O N.

A więc mości panie, pani de Vertpré, bezwątienia z tytułu przyjaciela, uważaj pan dobrze, że nie ufam sobie tyle ile pan; przyjmuje często moje usługi. Na przechadzce, przenosi nad wszystkich towarzystwo ze mną; ręka oparta, łatwo się wsunie w dłoń, a kiedy się to przypadkiem trafi, pani de Vertpré, nasza

rozmowa tak ją zajmuje, że nie zważa na to i nieraz nawet...

PAN DE VERTPRE.

Nieraz nawet?...

L E O N.

Uścisnąłem jej rękę, a ona nie pomyślała, aby ją cofnąć.

PAN DE VERTPRE.

A ona nie ścisnęła twojej?

L E O N.

Nie, to muszę wyznać, szczerze.

PAN DE VERTPRE.

A więc ja muszę mu wyznać szczerze, że w podobnym wypadku ona ścisnęła moją... do tego bardzo tkliwie.

LEON. (*zdziwiony*)

Bardzo tkliwie!

PAN DE VERTPRE.

Ale to tak tkliwie, że pewnego dnia pierścienek, który dostała od męża...

LEON. (*zdziwiony*)

Pana de Vertpre?

PANI DE VERTPRE.

Pana de Vertpre... został w moim ręku.

L E O N.

Cóż ona na to?

PAN DE VERTPRE.

Zostawiła go.

Tom V.

L E O N.

Dowód?

PAN DE VERTPRÉ. (*pokazując pierścioneł*)
Oto jest.

L E O N.

Widzę pierścioneł, ale...

PAN DE VERTPRÉ. (*otwierając pierścień.*)
Patrz.

LEON. (*czytając*)

Adela i Adolf.

PAN DE VERTPRÉ.

Jakże, czy to są ich imiona chrzestne?

LEON. (*nieco zmieszany*)

Wyznaję... jestem zwyciężony.

PAN DE VERTPRÉ.

Cóż dalej?

L E O N.

Pani de Vertpré kazała wymalować swoją
miniaturę.

PAN DE VERTPRÉ.

Ah! ah!

L E O N.

Miniatura prześliczna, podobieństwo doskonałe.

PAN DE VERTPRÉ.

Cóż dalej?

L E O N.

Pani de Vertpré poleciła mi ją odebrać od
malarza, i dziś kiedy ją oddałem, zapytała: jak

mi się podoba ta miniatura; pytała w ten sposób, że domyślam się...

PAN DE VERTPRÉ.

Czego?

L E O N.

Że wkrótce będzie ofiarowana osobie, której ją przeznacza.

PAN DE VERTPRÉ.

A ta osoba?

L E O N.

Jutro są moje imieniny.

PAN DE VERTPRÉ.

A moje dzisiaj; oto dowód, że mi już powinszowano. (*pokazuje miniaturę*)

LEON. (*najmocniej zdziwiony*)

Ah!

PAN DE VERTPRÉ.

Cóż dalej Mości panie?

L E O N.

Na honor, jeżeli tak jest... wszystko powiem!

PAN DE VERTPRÉ. (*ocierając czoło*)

Jużem przygotowany.

L E O N.

Pani de Vertpré lubi czytanie; często wieczorem, kiedy drzwi są zamknięte dla wszystkich, kiedy Paulina się oddali, wybieramy w bibliotece poezje ulubionego Chénier, albo Lamar-

tine; przeglądamy romanse sławnych Nodier, albo Victor Hugo, i te stronnice, które oddychają samą tkliwością, zwracają naszą uwagę, zajmują nas. Później książka się zamyka, nasza rozmowa następuje po myślach tych wielkich pisarzy, i zawiera w sobie, jeżeli nie ich talent, to przynajmniej barwę ich dzieł, tak więc czas, tak długi dla innych, dla nas przemija, leci, i....

PAN DE VERTPRE.

I cóż? proszę dokończyć.

L E O N.

Północ bije...

PAN DE VERTPRE.

Północ bije.....

L E O N.

Na dzień następny przyrzekamy sobie równie przyjemny wieczór... i oddalam się.

PAN DE VERTPRE.

A ja, zupełnie to samo wyjąwszy....

L E O N.

Wyjąwszy co?

PAN DE VERTPRE.

Wyjąwszy to, że ja niedodałam się.

LEON. (*unosząc się*)

Mości panie, to jest niegodna potwarz, i dasz mi zadosyć - uczynienie za obrazę wyrządzoną najgodniejszej z kobiet!

PAN DE VERTPRE.

Bardzo pięknie!

L E O N.

Tej, której rzadko znaleźć podobną, która w swoim całym życiu wolna jest od zarzutów występnej myśli..... nawet we śnie!

PAN DE VERTPRE.

Brawo!

L E O N.

Nakoniec, jedynej kobiety, za której honor zaręczyłbym moim życiem.

PAN DE VERTPRE.

Niechże cię uściskam.

LEON. (*odpychając go*)

Oh, bez żartów mości panie, przyrzekłeś mi dowody, żądam ich w tej chwili, natychmiast.

PAN DE VERTPRE.

Tam do kata! podobne dowody nie tak łatwo dostarczyć można.

L E O N

Jednak zapowiadam panu, że trzeba mi ich koniecznie.

PAN DE VERTPRE.

List...

L E O N.

Może zmyślony, a prócz tego nie znam jej pisma, dotąd nie pisała do mnie. Inny dowód mości panie... co innego.

PAN DE VERTPRÉ.

Ah! (*dobywa miniaturę*)

L E O N.

A więc!... jej miniaturę już widziałem.

PAN DE VERTPRÉ.

Przyciśnij tę sprężynę.

L E O N.

Ta miniatura nic nie dowodzi.

PAN DE VERTPRÉ.

Ale przyciśnij!

LEON. (*ostupiały*)

Pańska miniatura.

PAN DE VERTPRÉ.

Czytaj!

L E O N.

Dana mojej Adeli 28 Czerwca 1825 r. w dzień
mojego ślubu. Czy podobna!... Malarz kaducznie
panu pochlebił.

PAN DE VERTPRÉ.

A jednak poznałeś mię pan natychmiast.

L E O N.

Więc pan nazywasz się?

PAN DE VERTPRÉ.

Adolf de Vertpré.

L E O N.

I pan nie umarłeś?

PAN DE VERTPRÉ.

Patrz, czy cię zwodzę...

L E O N.

A zatem wieść rozgłoszona?...

PAN DE VERTPRE.

Okoliczności ją nakazały.

L E O N.

I pani de Vertpré wiedziała, że pan żyjesz?

PAN DE VERTPRE.

Staralem się o to zawsze, aby mię nie zapomniała, proszę mi wierzyć.

L E O N. "

A więc, żartowała ze mnie.

PAN DE VERTPRE. (*imiejąc się*)

Tak... obawiam się tego.

L E O N.

Dobrze więc... żona pańska dozna mojej zemsty.

PAN DE VERTPRE.

Bądź baczny, panie adwokacie, my połączyliśmy się pod prawem wspólności.

L E O N.

To mi wszystko jedno.

PAN DE VERTPRE.

Ale może nie wszystko jedno.

L E O N.

Tém gorzej.

PAN DE VERTPRE.

Pan jesteś szalony...

L E O N.

Nie, ale dotknięty do żywego; przecież posiada się reputacją młodzieńca...

PAN DE VERTPRE.

No i cóż?

L E O N.

Wiele zależy na jej utrzymaniu.

PAN DE VERTPRE.

A ja, czy myślisz, że chciałbym utracić reputację męża?

L E O N.

To nie dla tego, żebym kochał pana żonę!

PAN DE VERTPRE.

I masz słuszność!

L E O N.

Ja jej nie cierpię.

PAN DE VERTPRE.

Tém lepiej.

L E O N.

Ale to mi zarówno, poświęcę się.

PAN DE VERTPRE

Jesteś zbyt dobrym.

L E O N.

Zalotnica!

PAN DE VERTPRE.

Ah to...

L E O N.

Której się zdaje, że jest piękną...

PAN DE VERTPRE.

A nie jest nią.

L E O N.

Jest; i owszem, jest piękną... tego mi nie powiesz... ale sposób myślenia...

PAN DE VERTPRE.

Okrutny?...

L E O N.

Ona sądzi, że ją... kocham.

PAN DE VERTPRE.

Na cóż u kata pan jej to powiedziales?

L E O N.

To było kłamstwo. Paulinę kochałem. Jaka różnica między temi dwiema. Paulina tak niewinna, tak łagodna, tak prostomyślna, któraby naprzód płakała na samą myśl sprawienia mi jakiej przykrości, i pani de Vertpré mogłaż sądzić, że dla niej Pauliny zapomnę! Oh! dowie się, że jej ani minuty nie kochałem... dowie się...

PAN DE VERTPRE.

Natychmiast!

L E O N.

Tak jest... nieco później.

PAN DE VERTPRE.

A tymczasem pozwolisz cieszyć się jej zdobyczą, chwalić się, że cię zatrzymała przy sobie jak dziecię; Paulina spostrzeże twoją obojętność i pokocha innego.

L E O N.

Słusznie, cóż uczynić?

PAN DE VERTPRE.

Prosić pani de Vertpré o pozwolenie widzenia się...

L E O N.

Tego pragnę.

PAN DE VERTPRE.

W obecności jej męża... to byłoby dla mnie wszystko jedno.

L E O N.

Nie, wolę się widzieć z nią sam na sam.

PAN DE VERTPRE

A więc sam na sam; to mi jeszcze wszystko jedno..... i powiedziałbym jej, że to com uczynił było tylko igraszką, aby z niej zażartować; żem jej nigdy nie kochał, że jej nigdy kochać nie będę; że tylko jedną Paulinę, uważaj dobrze co ci mówię, że tylko jedną Paulinę kocham, a na dowód, proszę o jej rękę.

L E O N.

Jeżeli mi jej odmówi?

PAN DE VERTPRE.

To ja ci ją oddam. (*dzwoni, Helena wchodzi*) Heleno, powiedz Paulinie, że jej wuj żyje, że powrócił, niech przyjdzie powitać go. (*Helena wychodzi*) Dam się jej poznać, i powiem jej twoje zamiary.

L E O N.

Ale panie.....

PAN DE VERTPRE.

Pochwalam je, są godne ciebie. Chce cię widzieć szczęśliwym, mój młody przyjacielu, i to jak najprędzej, zasługujesz na to. Otóż Paulina

SCENA XIV.

LEON, PAN DE VERTPRÉ, PAULINA.

PAULINA. (*wbiega z radością*)

Oh mój wuju, mój dobry wuju, dowiedzia-
łam się, żeś nie umarł; jakżem szczęśliwa! ah!
co za radość!

PAN DE VERTPRÉ.

I ja także, jestem kontent, uradowany i nie
tylko ja sam.

PAULINA.

Jakto?

PAN DE VERTPRÉ.

Patrz, oto Leon jest w najwyższej radości.
(*do Leona*) Uspokój się Leonie, to już udecy-
dowane, nie nie sprzeciwi się waszemu szczęściu.

PAULINA.

Co mówisz, mój wuju?

PAN DE VERTPRÉ.

Mówię, że ten młody człowiek cię uwielbia.

PAULINA.

A ja go nienawidzę.

PAN DE VERTPRÉ.

Co słyszę? miłość tak prawdziwa, tak czysta,
tak... (*z cicha*) Ale mówisz ty cokolwiek... (*gło-
sno*) Nie mówiłeś mi przed chwilą...

LEON.

Że kocham pannę Paulinę...

PAN DE VERTPRÉ.

Że kochasz?... Powiedz mi, że szalejesz dla

niej, że nie mógłbyś żyć bez niej, żebyś sobie życie odebrał, gdybyś jej nie otrzymał. Wszak prawie to samo powiedziałaś, nie prawdaż?

L E O N.

Nie zupełnie to samo... ale...

PAN DE VERTPRE.

Słyszysz? Powtarza, że sobie życie odbierze. Nieszczęśliwy młodzieniec, samobójstwo... Czy pomyślałaś dobrze o tém?

P A U L I N A.

Jakto Leonie, tak mię kochasz?

L E O N.

Oli, więcej niż wyobrazić sobie możesz.

PAN DE VERTPRE.

I przydał: chciałbym, ażeby tu była, ażeby rzucić się do jej nóg (*do Leona*) na kolana! (*do Pauliny*) że wtenczas dopiero byłby szczęśliwym, gdyby usłyszał z twoich ust (*do Leona*) na kolana! (*do Pauliny*) wyznanie, że wynagradzasz go wzajemnością; a ty nie możesz mu odmówić Paulino, bo to jest miłość prawdziwa; to się widzi, to się czuje, a ty za jego śmierć byłabyś odpowiedzialną, (*do Leona*) a kłękajże przecię. (*Leon kłeka*)

P A U L I N A.

Ah, gdybym wierzyć mogła!

L E O N.

Wierz, wierz, bo twój wuj, mówi ci istotną prawdę, i mam ci jeszcze tysiąc, tysiąc rzeczy powiedzieć.

P A U L I N A.

A ja Leonie, jedną tylko ci powiem.

L E O N.

Powiedz, powiedz.

P A U L I N A.

Kocham cię.

PAN DE VERTPRÉ. (*uroczyście*)

Dzieci moje! (*bierze ich ręce*) łączę was. (*n. s.*)
Ah, to nie tak łatwo przyszło.

PAULINA. (*do pana de Vertpré*)

Kochany wuju, tylko moja ciotka może rozrządzić moją ręką; ona jest moją drugą matką, i tylko człowiek jej wyboru będzie moim mężem.

PAN DE VERTPRÉ.

Bardzo dobrze! Opowiedz jej to wszystko, a my tymczasem pójdziemy po notariusza.

L E O N.

Zostaw nas samych na chwilę.

PAN DE VERTPRÉ.

Nie, nie, widzicie, że takie interessa trzeba kończyć natychmiast; pozostaje ci jeszcze prosić o rękę Pauliny pani de Vertpré, i powiedzieć jej... Zresztą, ty wiesz co jej masz powiedzieć...

L E O N.

Bądź pan spokojny. Do widzenia droga Paulino; opuszczam cię tylko dla zajęcia się naszym szczęściem, i przyspieszenia go jak można najprędzej.

P A U L I N A.

Powrót twój nigdy dość wczesnym nie będzie.

SCENA XV.

PAULINA, później PANI DE VERTPRE.?

PAULINA. (*sama*)

Oh Boże! jakżem szczęśliwa; ktoby mógł się spodziewać... Mój wuj był tak dobrym, że nie umarł, powraca z Ameryki, aby mię połączyć z Leonem, który mię kocha, mię tylko jedną kocha!... Postać wyniosła była tylko zmyśleniem... ja to jestem gniewliwą, a ten biedny Leon przemokł do nitki!

PANI DE VERTPRE. (*wchodzi z pośpiechem*)
Gdzież są?

P A U L I N A.

Wyszli razem.

PANI DE VERTPRE.

Wielki Boże! trzeba im przeszkodzić!

P A U L I N A.

Nie, moja ciociu; nie przeszkadzaj im.

PANI DE VERTPRE.

Ale gdyby się pojedynkować chcieli?

P A U L I N A.

U notariusza?

PANI DE VERTPRE.

Jakto?

P A U L I N A.

Poszli po niego, aby napisał moją intercyzę ślubną.

PANI DE VERTPRE.

A więc nie kłócili się wychodząc.

P A U L I N A.

Przeciwnie, mówili do siebie ty.

PANI DE VERTPRE.

Czy być może?

P A U L I N A.

A ja jestem bardzo szczęśliwa!.. Leon....

PANI DE VERTPRE.

Ma postać szaleńca....

P A U L I N A.

Wcale nie. On mię uwielbia i upewniam cię kochana ciociu, że jest przy zupełnym rozumie.

PANI DE VERTPRE.

Chcę powiedzieć, że mi się wydaje być człowiekiem bardzo lekkomyślnym.

P A U L I N A.

Nie wiem, ale mi przysiągł, że mię tylko kochał, mnie tylko jedną zawsze. Czy to jest lekkomyślność moja ciotko?

PANI DE VERTPRE.

I gdzież on ci to przysiągł?

P A U L I N A.

Tu, u nóg moich.

PANI DE VERTPRÉ.

Biędne dziecię!

P A U L I N A.

Co mówisz moja ciotko?

PANI DE VERTPRÉ. (*n. s.*)

Może powinnabym jej powiedzieć, że przed godziną i mnie tu u nóg moich... oh nie, dla czegoż ją zasmucać tą drobnostką?

P A U L I N A.

O czém myślisz moja ciociu?

PANI DE VERTPRÉ.

O tém coś mi powiedziała. I przyrzekłaś mi twoją rękę?

P A U L I N A.

Moją rękę? ty nią rozrządzisz, powiedziałam to mojemu wujowi i Leonowi.

PANI DE VERTPRÉ.

Więc Leon...

P A U L I N A.

Przyjdzie cię o nią prosić.

PANI DE VERTPRÉ.

Zatém w zgodzie są z moim mężem?

P A U L I N A.

Mój wuj pobudza go do tego.

PANI DE VERTPRÉ.

A więc pan de Vertpre tak dla Leona, jak dla ciebie nie umarł?

P A U L I N A.

Żywy dla nas obojga.

PANI DE VERTPRÉ.

Cheiałabym pióra i papieru.

P A U L I N A.

Czy mam zadzwonić?

PANI DE VERTPRÉ.

Nie, idź do mego pokoju...

P A U L I N A.

Napiszesz do niego?

PANI DE VERTPRE.

Bądź spokojna. (*Paulina wychodzi*) Ah panowie, widać, że to jest spisek, i rozumiecie się doskonale!... Domyślam się dla czego mój mąż przyspiesza to małżeństwo; ale Leon, który przed chwilą... potrzebuje nauki ten młodzieniec, dostanie ją; lecz jeżeli pragnie w istocie zaślubić Paulinę... a mój mąż, zapominam o nim!... to niesłusznie! i on zasługuje na karę za swoją zbrodniczość, odbierze ją.

PAULINA. (*wchodzi i kładzie na stole co potrzebne do pisania*)

Oto jest wszystko.

PANI DE VERTPRÉ.

Słuchaj Paulino, związek małżeński jest ważną rzeczą; bierze on całe nasze życie i oddaje innemu, jak go mężczyźni zawrą, śmierć tylko sama może go rozerwać.

P A U L I N A.

Oh! tak, to jest szczęście niebios.

PANI DE VERTPRÉ.

Albo nieszczęście wieczne.

P A U L I N A.

Jakto!

PANI DE VERTPRÉ.

A więc nie należałoby tak na los zdawać wszystkie nadzieje twojego wieku. Życie dla nas rozpoczyna się dniami wesołemi i szczęśliwemi, nie skracaj ich luba Paulino.

P A U L I N A.

Przestraszasz mię ciotko. Czy odmówisz zezwolenia na ten związek?

PANI DE VERTPRÉ.

Nie, nie, ale wprzódę chcę doświadczyć...

P A U L I N A.

Leona?

PANI DE VERTPRÉ.

Tak jest. Czy chcesz wszystko mi powierzyć?

P A U L I N A.

Czyliż aż dotąd każdy twój czyn nie był dla szczęścia mojego?

PANI DE VERTPRÉ.

Więc nie poprzestanę na tem. On nie zna twojego pisma.

P A U L I N A.

Nie.

PANI DE VERTPRÉ.

Ani mojego. Dobrze. Siadaj i pisz.

P A U L I N A.

Jestem posłuszną.

PANI DE VERTPRÉ. (*dyktując*)

„Kiedyś została samą, wspomnienie na przy-

jęcie wyznania twojej miłości, obudziło we mnie prawie zgryzoty.“

P A U L I N A.

To prawda moja ciotko; bo powiedziałam mu, że go nie cierpię.

PANI DE VERTPRÉ. (*dyktując*)

„Ale tak jest zwykle z sercem kobiety: rzadko jej wolno wyrazić to co czuje. Będąc mężczyzną trzeba litować się i przebaczyć.“

P A U L I N A.

Koniec nie bardzo rozumiem.

PANI DE VERTPRÉ. (*z uśmiechem*)

O! to nic nie szkodzi. Daj mi ten list i czekaj na mnie w moim pokoju.

P A U L I N A.

A wiele potrzeba czasu na to doświadczenie?

PANI DE VERTPRÉ. (*siadając przy stole, od którego wstała Paulina, pieczętuje list*)

Kwadrans.

PAULINA. (*n. s.*)

Dobrze, wrócę za 10 minut. (*wychodzi*)

PANI DE VERTPRÉ.

Właśnie w czas, otóż Leon.

SCENA XVI.

LEON, PANI DE VERTPRÉ.

LEON. (*wchodząc mówi niby do pana de Vertpré*)

Bądź spokojny mój wuju, wiem co mam powiedzieć.

PANI DE VERTPRÉ. (*n. s.*)

I ja także. (*wstaje z postacią pomieszana i ściska list w rękę*)

LEON. (*odwracając się mówi n. s.*)

Pani de Vertpré!! (*głośno*) Przebacz pani, że tak wchodzę, ale sądziłem, że jesteś w swoich pokojach. Prócz tego, byłem z mężem pani, to jest moja wymówka.

PANI DE VERTPRÉ.

A potem, pan myślałeś, że tu znajdziesz inną osobę, nieprawdaż?

L E O N.

Nie, ciebie pani szukałem. Pani... (*n. s.*) Do licha, trudniej zacząć jak myślałem. (*głośno*) Pani tego rana musiałaś mię znaleźć bardzo niedorzecznym i śmiesznym.

PANI DE VERTPRÉ.

Znalazłam go tylko nierozsądnym.

L E O N.

Za moją nieroztropność ukarałaś mię dostatecznie. Nie wiele brakowało, abys mię swoim ludziom kazała wypchnąć za drzwi; nie widzę jednak...

PANI DE VERTPRÉ.

Nie wiesz pan w jakim byłam położeniu, i że mój mąż ukryty w tym gabinecie, słuchał naszej rozmowy i musiał mię zniewolić do ostrożności.

LEON. *(zdziwiony)*

Pan de Vertpré! był tam? Ah!... Pani, mówi-
łem więc, że ta surowość... dała mi poznać
prawdziwe moje uczucia.

PANI DE VERTPRÉ.

Szczęśliwy ten, kto może bawić się podobne-
mi uczuciami, kiedy jest pewnym, że się z nich
uwolni, jak tylko staną się dla niego ciężarem,
że je odrzuci podług woli jak utrudzające brze-
mię, ale przydam i to: że Bóg nie wszystkim stwo-
rzeniom, jego ręki dał moc i filozofię pana. *(od-
wraca się i uśmiecha, też samą grę powtarza do
końca tej sceny)*

L E O N.

Przebacz mi pani, ale....

PANI DE VERTPRÉ.

A jeżeli nie idąc za twoim przykładem, kobie-
ta, którą uczyniłeś igraszką dla siebie, ten żart
uważała za rzeczywistość; jeżeli nie umiała roz-
różnić w twoich oczach, tkliwie na nią zwraca-
nych, w twoim drżącym głosie, kiedyś do niej
przemawiał, tej sztuki udawania, która w tobie
fałsz tak podobnym czyni do prawdy; jeżeli szce-
ra i niewinna, pozwoliła ufnemu sercu oddać
się wszystkiej nadziei wznoszącej miłości; je-
żeli każdy dzień pomnażał tę nadzieję, jeżeli ta

miłość, miłość kobiety! wcisnęła się w całe jej jestestwo, ogarnęła całe jej życie; jeżeli się stała jedynym przedmiotem jej czci i uwielbień na tej ziemi, i gdybyś jej przyszedł natenczas powiedzieć to, co mnie w tej chwili wyznajesz, ah! powiedz, powiedz! czyliżby to nie powinno pozbawić ją rozumu, nawet życia?

LEON. (*w okropnym pomieszczeniu*)

Ale... ale tak nie jest pani?

PANI DE VERTPRÉ.

To być mogło.

L E O N.

Przestraszyłaś mię pani nie mało tym żartem.

PANI DE VERTPRÉ.

Czyż to był żart? sądziłam, że cierpiała. Przebacz, byłam w błędzie.

L E O N.

Ależ pani, też same wyrzuty i Paulina mogłaby mi uczynić.

PANI DE VERTPRE.

Wiem o tem. Sądzisz więc, że cię to czyni godniejszym usprawiedliwienia!

L E O N.

Lecz pani, mówisz mi zbyt wiele, albo zbyt mało.

PANI DE VERTPRÉ. (*zmysłając największe pomieszczenie*)

Ten list, który powinien być być odda-

nym w chwili naszego tutaj spotkania, jaśniej przemówi, niżeli ja mówić mogę. (*podaje mu list*)

LEON. (*wahając się*)

List!

PANI DE VERTPRE.

Nie zechceszże go przeczytać?

LEON. (*biorąc*)

I owszem! przeciwnie, jestem zbyt szczęśliwy!

PANI DE VERTPRE.

Powiedz zbyt okrutny! (*odchodzi, śmiejąc się ukradkiem.*)

SCENA XVII.

LEON, później PAN DE VERTPRE.

- LEON, (*rzuca się na krzesło*)

Tak, to prawda, byłem zbyt okrutnym, i to nie wiedząc jeszcze!... Otóż jestem między dwiema kochającymi... nie można jej było ani wspomnieć o małżeństwie. List! (*spogląda na niego ze strachem*) Ale ja nie kocham już jej zupełnie, nie wiem jak się to stało. List! odważnie, trzeba go przeczytać. Czy można być nieszczęśliwszym! ah to jest fatalność! oh kobiety! pomyśleć tylko o nich to okropnie! Pani de Vertpre, zdradza swojego męża, człowieka przyjemnego... pełnego dowcipu... szczerości... tak młodego jak ja, bo nie ma 40 lat, a ja mam

przeszło dwadzieścia... i dla kogo zdradza? dla... jest to bardzo pochlebnem dla mnie; mniejsza o to, nie zniosę tego. Ale co począć? (*wstaje z żywością*) Mój wuj przyjdzie zapytać mię o skutek rozmowy... piękny skutek! Nakoniec ja nie mogę mu powiedzieć... wolę, niech się dowie od kogo innego i na honor!... (*chce odejść drzwiami w głębi*) Ah otóż on na tarassie, jeżeli zejde temi drzwiami lub innemi, zobaczy mię. Czyby nie można wymknąć się? Ah! to okno, wychodzi na ogród? Nieco wysoko, ale na murawę to łatwo.

(*Gdy włazi na okno, pan de Vertpré wchodzi zwolna i widząc go gotowym do wyskoczenia, zatrzymuje za frak. Oba patrzą na siebie.*)

PAN DE VERTPRÉ.

A ty co robisz?

LEON. (*złażąc z okna*)

Ja! nic, mój wuju, używam świeżego powietrza.

PAN DE VERTPRÉ.

No i cóż! widzieliście się?

LEON. (*n. s.*)

Ah, otóż mamy.

PAN DE VERTPRÉ.

Cóż rozmowa odbywała się z ogniem?

L E O N.

Zwielkim ogniem.

PANI DE VERTPRE.

Opowiedz mi.

L E O N.

Pozwól mi oddalić się, mój wuju.

PAN DE VERTPRE. (zatrzymując go)

Jakto?

L E O N.

Proszę, pozwól mi odejść, nie będziesz się gniewał o to...

PAN DE VERTPRE.

Ale nie...

L E O N.

Chcesz żebym został? (n. s.) Nie można unikać swego przeznaczenia.

PAN DE VERTPRE.

Mówisz więc?...

L E O N.

Mój biedny wuju.

PAN DE VERTPRE.

Hę? co?

L E O N.

Ileż cierpię.

PAN DE VERTPRE.

Co mówisz?

L E O N.

Bo jesteś tak dobrym, zasługujesz być kochanym.

PAN DE VERTPRE.

Dalej, dalej, do rzeczy.

L E O N.

Ale czyż nie widzisz, że właśnie ta rzecz w kłopot mię wprowadza.

PAN DE VERTPRE.

Cóż to ma znaczyć?... Czy ci odmówiła ręki Pauliny?

Tom V.

L E O N.

Szczerze mówiąc, czyż może mi ją oddać? podobne poświęcenie jest nad siłę kobiety.

PAN DE VERTPRÉ.

No, czy raczysz mi wyjaśnić...

L E O N.

Czy nie rozumiesz mię?

PAN DE VERTPRÉ.

Jakto?

L E O N.

Nie rozumiesz więc wuju, że twoja żona... to bardzo przykro o podobnych rzeczach mówić mężowi, i powinienbyś mi *oszczędzić nieprzyjemności*... Nie? a więc twoja żona, kocha mię, to jest wszystko!...

PAN DE VERTPRÉ.

To wszystko, ale nie, tego rana słyszałem... byłem tam...

L E O N.

Tak tak, to właśnie, to. Dziś rano byłeś pan tam, i wiedziano, że pan byłeś tam; ale teraz pan nie byłeś tam, i wiedziano, że pan nie jesteś tam.

PAN DE VERTPRÉ. (*zdumiały*)

Ah!

L E O N.

To twój błąd także mój wuju, ty jesteś tego wszystkiego przyczyną; czy widziano kiedy, aby mąż udawał się za umarłego, pan doprowadziłeś nas do tego położenia, w jakim jesteśmy. Chciałeś abym się sam na sam widział z twoją żoną, a więc widziałem się... i przebaczam ci...

PAN DE VERTPRÉ.

On mi przebacza, dobrze! wyborny! on przebacza!

L E O N.

Tak jest, bo pan nie mogłeś odgadnąć co z tego ostatecznie wypadnie.

PAN DE VERTPRE.

Cóż wypadło?

L E O N.

Możebym nie powinien tego powiedzieć, bo człowiek honoru powinien zachować podobne tajemnice, jeżeli nie dla niego, to przynajmniej dla kobiety, która mu je powierzyła, ale...

PAN DE VERTPRE.

Ale daliśmy słowo, wszystko wzajemnie powiedzieć sobie.

L E O N.

Pamiętasz mój wuju... dziś rano mówiłem ci, że nie znam pisma twojej żony...

PAN DE VERTPRE.

Cóż?

L E O N.

Teraz już je znam.

PAN DE VERTPRE.

Pisała do ciebie.

L E O N.

Pisała.

PAN DE VERTPRE.

To być nie może!

L E O N.

To być nie może! Rzecz szczególna! oni są wszyscy tacy! godzien byłbyś, abym ci pokazał list.

PAN DE VERTPRE.

Nie wierzę temu, drwię z tego.

LEON. (*pokazując rękę lewą, w której ściska list*)

A więc, patrz! nie mogę ci go pozwolić czytać, ale widzisz!

PAN DE VERTPRÉ. (*chcąc go wziąć*)

Leonie, w imię honoru twojego wuja tak okropnie skompromitowanego, bo jest okropnie skompromitowany honor twojego wuja... pewnym jesteś tego?

L E O N.

Tak mój wuju, jestem pewnym tego.

PAN DE VERTPRÉ

Oddaj mi ten list, błagam cię!

L E O N.

Ale mój wuju, list, to jest dowód; czyliż ja powinienem ci go dawać?

PAN DE VERTPRÉ.

Oddam ci go, daję słowo honoru. (*wyrywa*)
Mam go!

L E O N.

Mój wuju, mój wuju!

PAN DE VERTPRÉ.

Zostaw mię, postąpię rozsądnie. Czegóż się dowiem? (*pada bez sił na krzesło*)

LEON. (*mówiąc do siebie*)

Co za dziwactwo, pytam się! czekać powrotu męża, kiedy widząc mię codziennie sam na sam, łatwo jej było...

PAN DE VERTPRÉ. (*wstając z żywością*)

Co mówisz?

L E O N.

Biedny wuju, przebacz!

PAN DE VERTPRÉ.

Ah! (*rzucając się w objęcia jeden drugiego, ściskają się kilkakrotnie*) Dalej odważnie! (*otwiera list w największym wzruszeniu, postać jego w miarę czytania przybiera oznakę wesomości*)

Pismo Pauliny!... Cóż to znaczy? jestżeś pewnym, że to moja żona oddała ci ten list?

L E O N.

On jeszcze wątpi!

PAN DE VERTPRÉ.

A więc rozumiem.

L E O N.

Biedny człowiek! on rozumie! To straszliwie! (*Pan de Vertpré śmieje się*) Jak on jest wzruszony! (*Pan de Vertpré idzie w głąb sceny*) Cóż uczyni? gdzież on idzie, mój wuju, postępuj roztropnie!

PAN DE VERTPRÉ.

Bądź spokojny.

L E O N.

Ten list, oddaj mi przynajmniej ten list.

PAN DE VERTPRÉ.

Oddam ci go w obecności mojej żony.

SCENA XVIII I OSTATNIA.

LEON, PANI DE VERTPRÉ, PAN DE VERTPRÉ
PAULINA.

PANI DE VERTPRÉ, PAULINA. (*ukazując się we drzwiach swego pokoju*)

Otóż jesteśmy.

L E O N.

Słuchały obie.

PAN DE VERTPRÉ. (*idzie do żony i przyprowadza ją za rękę naprzód sceny*)

Pani, odtąd kiedy Paulina listy pisać będzie, proś jej, żeby je adressowała, a oszczędzisz mi

jednego z wypadków najdotkliwszych w mojem zyciu.

PANI DE VERTPRÉ.

'To cię nauczycy, co to być zazdrosnym.

PAN DE VERTPRE.

Ja zazdrosny!... Czy można tak powiedzieć... Paulino... (*oddając jój list*) Oddaj ten list panu Leonowi.

L E O N.

Jako? ten list...

P A U L I N A.

Jest odemnie. Czy gniewasz się o to, żem pi-
sała do ciebie?

L E O N.

Oh! (*do pani de Vertpré*) A więc, kiedy tak,
to pani mię nie kochasz?

PANI DE VERTPRE.

Weale nie, ale należało trzpiotowi dać nauczkę.

L E O N.

Oh, dziękuję! Lecz ta scena!...

PANI DE VERTPRE.

Nie powiedziałeś mi sam, że wyrzuty, które
ci uczyniłam i Paulina także uczynić mogła? By-
łam jój pełnomocnikiem.

L E O N.

Ah! mogeż przynajmniej mieć nadzieję?...

PANI DE VERTPRE. (*patrząc na Paulinę*)

Chcemy wierzyć, że dziś rano powiedziałeś
prawdę, mówiąc, żeś nie kochał nigdy i nikogo
prócz niej.

L E O N.

A więc Paulina?...

PANI DE VERTPRE.

Jest twoją.

PAN DE VERTPRE.

Tak jest twoją, mój siostrzeńce. I teraz można powiedzieć, że to wszystko było skutkiem potrzeby uchodzenia za umarłego.

L E O N.

Ah! teraz spodziewam się, że nam wyjaśnisz przyczynę...

PAN DE VERTPRE.

Nic słusznieszego. Wyobraź sobie... (*wszyscy słuchają.*)

HELENA. (*wchodzi*)

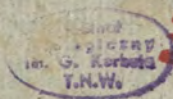
Notariusz przyszedł z intercyzą ślubną.

PAN DE VERTPRE.

Jutro ci opowiem.

KONIEC KOMEDJI I TOMU PIĄTEGO.

*Exemplarzy nieopatrzonych mają cyfrą,
prawnie poszukiwać będą.*



INSTITUT
LITERACKICH
I OTĘK
ul. Nowy Świat
26-68-69
ADAM
BI
20-330 W.

The image shows the front cover of an old book. The cover is decorated with a traditional marbled paper pattern, often called a 'stone' or 'shell' pattern, featuring irregular, organic shapes in shades of brown, tan, and black. A circular white paper label is affixed to the upper right corner of the cover. The label contains handwritten text in black ink. The letter 'K' is at the top, followed by the number '22.963' on the next line, and the number '5' on the third line. The book's spine, visible on the right edge, is bound in a dark, possibly black or dark brown, material.

K

22.963

5